ODKRYWCA®

SKARB • WOJNA • HISTORIA

NR 06 (221) CZERWIEC 2017 NAKŁAD 12 100 CENA 14,70 ZŁ (W TYM VAT 5%)

> NIECH PRZEMÓWIĄ KULE, CZYLI JĘZYK PÓL BITEWNYCH

> DETEKTOR KRZEMOW – ŚLADAMI ZAGADKI LUBIĄSKIEGO „TRANZYSTORA”

POMIĘDZY FAKTEM A LEGENDĄ:

TAJEMNICA ZAMKOWEGO DZIEDZIŃCA

www.odkrywca.pl

Indeks 37010X ISSN 1505-6104
06
9 771505 610056

Viking

NAJWIĘKSZY WYBÓR WYKRYWACZY METALI W POLSCE OD 1998!

wodoszczelny do 3m • odporny na warunki atmosferyczne • do poszukiwania złota • podwodny

GARRETT METAL DETECTORS
www.garrett.com

NOWOŚĆ

ACE 200i

ACE 300i

ACE 400i

Ace 150

Ace 250

Euro Ace

AT Pro

AT Gold

GTI 2500

Sea Hunter Mark II

ATX

white's

Coinmaster

Treasure Master

Treasure Pro

NOWOŚĆ

MXSPORT

MX5

Matrix M6

MXT Tracker

MXT Pro

Spectra VX3

Spectra V3i

BeachHunter

TM 808

FISHER RESEARCH LABS
Detecting & Underground Locating Equipment

F5

F11

F22

F44

F19

F70

F75

F75 LTD

Pro-Tech

Pro-Arc

CZ 21

1280-X Aquanaut

MINELAB

X-Terra 305

X-Terra 505

X-Terra 705

Safari

E-Trac

CTX 3030

GPZ 7000

SDC 2300

Excalibur II

GO-FIND 20

GO-FIND 40

GO-FIND 60

XP METAL DETECTORS

ADX150

Adventis 2

GMaxx II

Gold Maxx

Deus

Nokta DETECTION TECHNOLOGIES

VELOX One

FORS CoRe

GROUND EFX

MX100E

MX200E

MX300

MX400

Pin Pointery

Garrett Pro-Pointer II

Garrett Pro-Pointer AT

White's Bullseye TRX

Minelab Pro-Find 25

Deteknix XPointer

ul.Radna 6, 00-341 Warszawa tel./fax: 22 829 84 80 viking@viking.waw.pl

www.viking.waw.pl

sklep stacjonarny czynny 6 dni w tygodniu, sprzedaż wysyłkowa i ratalna

SZANOWNI PAŃSTWO, DRODZY CZYTELNICY

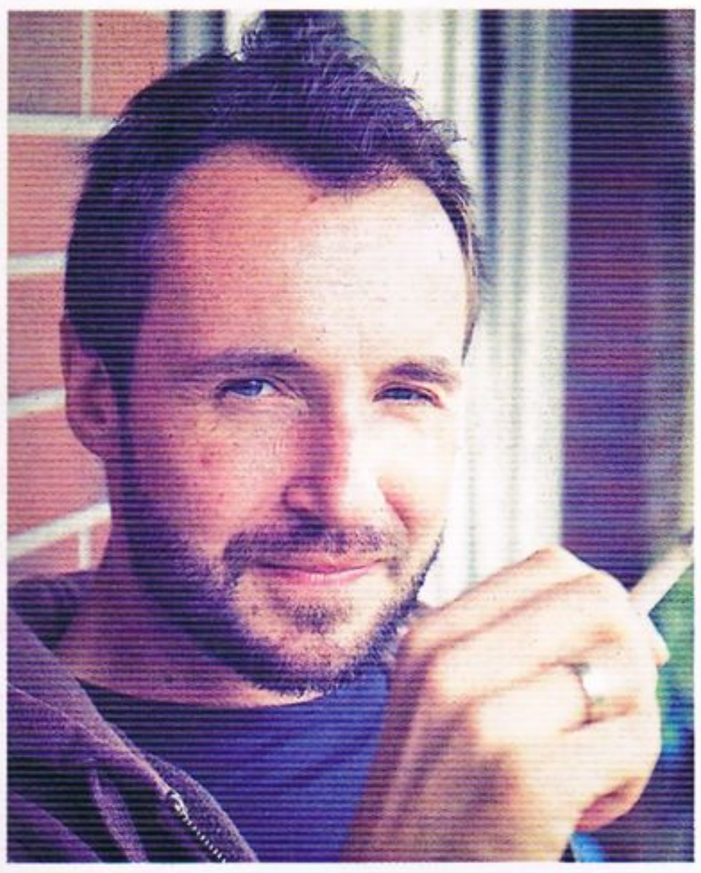

fot. Maciej Stajniak

PIOTR MASZKOWSKI
REDAKTOR NACZELNY

W naszym, jakże specyficznym, obszarze zainteresowań, oscylującym wokół wszelkiego rodzajów tajemnic przeszłości, badania inwazyjne mają szczególne znaczenie. Pozwalają bowiem zweryfikować anomalie uzyskane podczas wcześniejszego, bezinwazyjnego etapu prac, przy wykorzystaniu licznych metod prześwietlania gruntu geofizycznymi urządzeniami pomiarowymi. Niestety, po przeprowadzeniu odwiertów, czy też wykopów, w większości przypadków wyniki są negatywne, a rezultaty wydają się rozczarowujące. Jednak bez tych działań trwalibyśmy w nieustającym przekonaniu o istnieniu w danym miejscu np. podziemnego obiektu lub ukrytego depozytu. Bezwzględnie więc taka wiedza posuwa nas do przodu. Zawsze jednak pozostaje nadzieja…

Nadzieja na przełom w licznych tematach i spektakularne odkrycia powinna jednak pozostać niezachwiana. Odnajdywane są wciąż nowe źródła archiwalne, pojawiają się nieustająco nowe tropy znanych historii. Zatem owe nadzieje nie są wyłącznie kwestią wiary, ale również wielowymiarowej wiedzy. Na naszych łamach prezentujemy ją regularnie, oczywiście również w bieżącym numerze.

Zaczynamy artykułem Łukasza Orlickiego, który prezentuje wyniki kolejnego etapu badań, jakie niedawno przeprowadziliśmy na zamku Grodno. Następnie Piotr Jabłoński mierzy się z tajemnicą jednego z wałbrzyskich schronów. Wokół jego rozmiarów i przeznaczenia narosło wiele lokalnych mitów, częściowo popartych oryginalnym planem. Sugerował on istnienie za betonową obudową dodatkowych pomieszczeń. Z kolei Olaf Popkiewicz opisuje fascynującą, zakończoną sukcesem akcję poszukiwań obozu 1 Pułku Legii Poznańskiej. Jednostka brała udział w napoleońskim oblężeniu Kołobrzegu. Krzysztof Krzyżanowski natomiast przybliża i praktycznie rozwiązuje sprawę zagadkowego zapadliska, jakie pojawiło się na jednym z dolnośląskich pól. Zwracam też uwagę na tekst Jacka Dzika o odnalezieniu celtyckich monet, ukazującym także doskonałą współpracę pomiędzy poszukiwaczami, archeologami i Wojewódzkim Konserwatorem Zabytków. Wbrew utartym opiniom jest to możliwe… Życzę miłej lektury.

znajdź nas na:
www.facebook.com/odkrywca

Okładka: fot. A. Daczkowski (Łukasz Orlicki i Paweł Piątkiewicz na dziedzińcu zamku Grodno, kwiecień 2017)

ODKRYWCA®
SKARBY • WOJNA • HISTORIA

WYDAWCA
Instytut Badań Historycznych i Krajoznawczych Sp. z o.o.
ul. Wojska Polskiego 15 c,
62-500 Konin, tel. 632 191 013

PREZES ZARZĄDU:
Magdalena Haber,
REDAKCJA MIESIĘCZNIKA „ODKRYWCA"
ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław
Tel.: 71 329 71 85, 71 329 71 86
fax: 71 328 83 71
e-mail: **redakcja@odkrywca.pl**
www.odkrywca.pl
http://www.facebook.com/Odkrywca

REDAKTOR NACZELNY:
Piotr Maszkowski
e-mail: maszkowski@odkrywca.pl
SEKRETARZ REDAKCJI
Andrzej Daczkowski
e-mail: daczkowski@odkrywca.pl
DZIAŁ FORTYFIKACJE
Jerzy Sadowski
STALI WSPÓŁPRACOWNICY
Proteus, Leszek Adamczewski, Marek Dudziak, Piotr Galik, Janusz Skowroński, Tomasz Rzeczycki, Lech Zwirełło, Tomasz Bienek
KONSULTANCI
dr Wiesław Nawrocki
• Geofizyka.
dr Paweł Konczewski
• Archeologia.
Michał Banaś
• Geologia.
Piotr Galik
• Historia wojskowości.
Maciej Kęszycki
• Militaria i technika wojskowa.
Krzysztof Krzyżanowski
Dariusz Wójcik
• Górnictwo Dolnego Śląska.
Aleksander Rostocki
• Nieśmiertelniki.
Marek Sokołowski
• Numizmatyka.

DZIAŁ GRAFICZNY
Małgorzata Biernacka
Projekt, opracowanie graficzne.

DZIAŁ REKLAMY I PROMOCJI
Tel.: 71 329 71 71
e-mail: reklama@odkrywca.pl

TWÓRCA I ADMINISTRATOR STRONY WWW.ODKRYWCA.PL
Kazimierz Ruszel „Bocian"

GRUPA EKSPLORACYJNA MIESIĘCZNIKA „ODKRYWCA" (GEMO)
Łukasz Orlicki
e-mail: gemo@odkrywca.pl

DRUK
Zakład Poligraficzny TECHGRAF
ul. Przemysłowa 7
37-100 Łańcut

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji, skracania i opracowania redakcyjnego tekstów. Zastrzega także prawo przedruku nadesłanych tekstów i materiałów graficznych w czasopismach współpracujących z „Odkrywcą". Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Wszelkie przedruki artykułów i kopiowanie materiałów graficznych – wyłącznie za zgodą redaktora naczelnego.

SPIS TREŚCI

ODKRYCIA I POSZUKIWANIA

3 Z ZAUŁKÓW WOJSKOWYCH ARCHIWÓW
PIOTR MASZKOWSKI

4 ZAMEK GRODNO – TRZY ZAGADKI, TRZY ROZWIĄZANIA
ŁUKASZ ORLICKI

8 6 MONET CELTYCKICH
JACEK DZIK

12 SCHRON PRZY INTERNATOWEJ
PIOTR JABŁOŃSKI

14 CZARNA MINNA. POLE, GDZIE ZAPADŁA SIĘ ZIEMIA
KRZYSZTOF „CZARNY" KRZYŻANOWSKI

20 BAJKA O TRANZYSTORACH Z LUBIĄŻA. CZĘŚĆ 3.
ROMUALD OWCZAREK

26 OBÓZ 1 PUŁKU LEGII POZNAŃSKIEJ ODNALEZIONY!
OLAF POPKIEWICZ

34 SKRZYNIE KAPITANA REUTERA. CZĘŚĆ 3.
MACIEJ BARTKÓW

KULISY HISTORII

40 OSTATNIA STACJA
LESZEK ADAMCZEWSKI

48 BAKTERIE MADE IN POLAND. CZĘŚĆ 3.
ADAM GAAFAR

52 CO NAM MÓWIĄ KULE, CZYLI POŻYTKI Z ARCHEOLOGII MILITARNEJ. CZĘŚĆ 1.
MICHAŁ MACKIEWICZ

58 ZAKŁADY R1 KOWARY
JACEK DROŻDŻ

FORTYFIKACJE

64 ŻELBETOWE WIEŻE – SCHRONY PRZECIWLOTNICZE. CZĘŚĆ 2.
MARCIN DUDEK

FELIETON

70 ZAWODOWCY
RADOSŁAW BICZAK

71 **KSIĘGARNIA „ODKRYWCY"**
NOWOŚCI CZERWCA

Z ZAUŁKÓW WOJSKOWYCH ARCHIWÓW

PIOTR MASZKOWSKI

Dzięki współpracy z Archiwum Wojskowym w Oleśnicy już wkrótce zaprezentujemy unikatowe dokumenty.

Dyrektor Archiwum Wojskowego w Oleśnicy dr Daniel Koreś oraz redaktor naczelny „Odkrywcy" Piotr Maszkowski przy jednym z odnalezionych planów kompleksu „Riese".

Od kilkudziesięciu lat trwają nieustające starania o rozwiązanie licznych tajemnic przeszłości. Staramy się je wyjaśniać, badać, pogłębiać i uzupełniać wiedzę. Poszukujemy wszelkich źródeł, docieramy do świadków, wertujemy wspomnienia i pamiętniki, realizujemy pogłębione kwerendy w archiwach. Wreszcie weryfikujemy informacje w terenie przy użyciu wszelkich dostępnych technik. Wszystko po to, by ruszyć zastygłe w czasie sprawy do przodu. Większość owych tematów w mniejszym lub większym stopniu obejmują zagadnienia związane z historią wojskowości. Jednak często na próżno szukać właściwych informacji związanych z tą dziedziną na łamach dostępnych opracowań, szczególnie w tak specyficznym obszarze naszych zainteresowań. Aby zrobić kolejny krok do przodu, konieczna jest szczegółowa kwerenda w archiwach wojskowych.

Nowe czasy

Do niedawna archiwa wojskowe dość skrzętnie skrywały swoje zasoby. Stosunkowo wąskie grono historyków wojskowości, publicystów, z rzadka entuzjastów miało dostęp do tego typu instytucji. Instytucji wymagających od badaczy spełnienia licznych procedur, włącznie z uzyskaniem odpowiednich rekomendacji. W efekcie jednak docierali tam nieliczni pozauniwersyteccy i pozaresortowi badacze. Czasy się jednak zmieniają, również pod kątem procesu odtajnienia objętych klauzulą poufności materiałów archiwalnych.

W 2016 roku po połączeniu Centralnego Archiwum Wojskowego oraz Wojskowego Biura Badań Historycznych Wojskowego Centrum Edukacji Obywatelskiej powstało Biuro Badań Historycznych, którego dyrektorem został dr hab. Sławomir Cenckiewicz. Instytucji tej podlegają również jednostki zewnętrzne – Archiwa Wojskowe w Oleśnicy, Gdyni, Nowym Dworze Mazowieckim i Toruniu. Wraz ze zmianą organizacji i kierownictwa zostały zainicjowane poważne przemiany, mające na celu uczynienie zasobów archiwalnych łatwiej dostępnymi dla szerszego grona zainteresowanych.

Nowy cykl

Ostatnio udało nam się zacieśnić współpracę z Archiwum Wojskowym w Oleśnicy, którego zasób zawiera liczne materiały archiwalne bezpośrednio dotyczące naszej tematyki. Dzięki uprzejmości dyrektora placówki dr. Daniela Koresia w wyniku prowadzonych kwerend udało się dotrzeć do niezwykle istotnych źródeł. Na tyle licznych i ważnych dla podejmowanych przez nas tematów, że postanowiliśmy prezentować je regularnie na naszych łamach. Począwszy od przyszłego numeru będziemy publikować niezwykle ciekawe dokumenty. Na początek związane z nieznaną dotąd szerzej inwentaryzacją kilku obiektów podziemnych i naziemnych w Górach Sowich, jaką przeprowadziło Wojsko Polskie w 1964 roku. Następnie będziemy się starali przedstawić Państwu dokumentację zawierającą szczegóły dotyczące poligonów i baz Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej. Kolejne tematy będą równie fascynujące. Więcej szczegółów już wkrótce. <

fot. AWO, Radosław Szewczyk

ZAMEK GRODNO
TRZY ZAGADKI – TRZY ROZWIĄZANIA?

ŁUKASZ ORLICKI

W grudniu 2016 roku rozpoczęliśmy najbardziej emocjonujący i obiecujący etap poszukiwań na Zamku Grodno – badania archeologiczne. Ich celem pozostawało zweryfikowanie intrygujących wyników, jakie otrzymaliśmy dzięki zastosowaniu georadaru i detektorów metali. Skoncentrowaliśmy się wtedy na piwnicach pozostałych pod zniszczonym, zachodnim skrzydłem zamku. W jednej z nich, gdzie prezentowana jest stała ekspozycja „izby tortur", udało się nam zlokalizować ślady po domniemanej skrytce, umieszczonej pod posadzką piwnicy. Szczegóły tamtych badań zostały opublikowane w styczniu na łamach naszego miesięcznika (Odkrywca nr 1/216, styczeń 2017 r.).

Kolejne odkrycia miały nadejść w kwietniu 2017 roku. Tym razem naszym celem stało się uzyskanie odpowiedzi na trzy pytania. Pierwsze dotyczyło pochodzenia tajemniczej metalowej anomalii znajdującej się pod brukiem górnego dziedzińca. Drugie – ziemnego nasypu w rejonie międzymurza, którego pochodzenie i budowa stanowiły dotychczas zagadkę. A trzecie – istnienia domniemanego podziemnego tunelu.

Tajemnica studziennego dziedzińca

Interesujący nas dziedziniec stanowi centralną część zamku górnego. Otoczony jest murami obronnymi i południowym oraz wschodnim skrzydłem mieszkalnym. Zachodnie zawaliło się pod koniec XVIII wieku, kiedy zamek popadł w ruinę. Miejsce to wzbudziło chyba najwięcej emocji wśród miłośników tajemnic, poszukiwaczy i dziennikarzy zainteresowanych niewyjaśnionymi zagadkami przeszłości. To właśnie z dziedzińcem miała być związana historia niejakiego Leonharda von Schrecka, czyli autora listów wysłanych w latach 90. do redakcji „Słowa Polskiego", gdzie opisywał on okoliczności ukrycia w piwnicach nieistniejącego, zachodniego skrzydła zamku tajemniczych skrzyń. Złożone w podziemnej komorze pod dziedzińcem miały zostać zaminowane i zabezpieczone przez wojskowych saperów. Choć treść zawarta w liście budzi wątpliwości i liczne kontrowersje, a przez część badaczy uznawana jest za prowokację kogoś związanego ze środowiskiem poszukiwaczy przełomu lat 80. i 90., to zawarta w nim barwna opowieść o ukryciu skarbu do dziś znajduje swoich zwolenników.

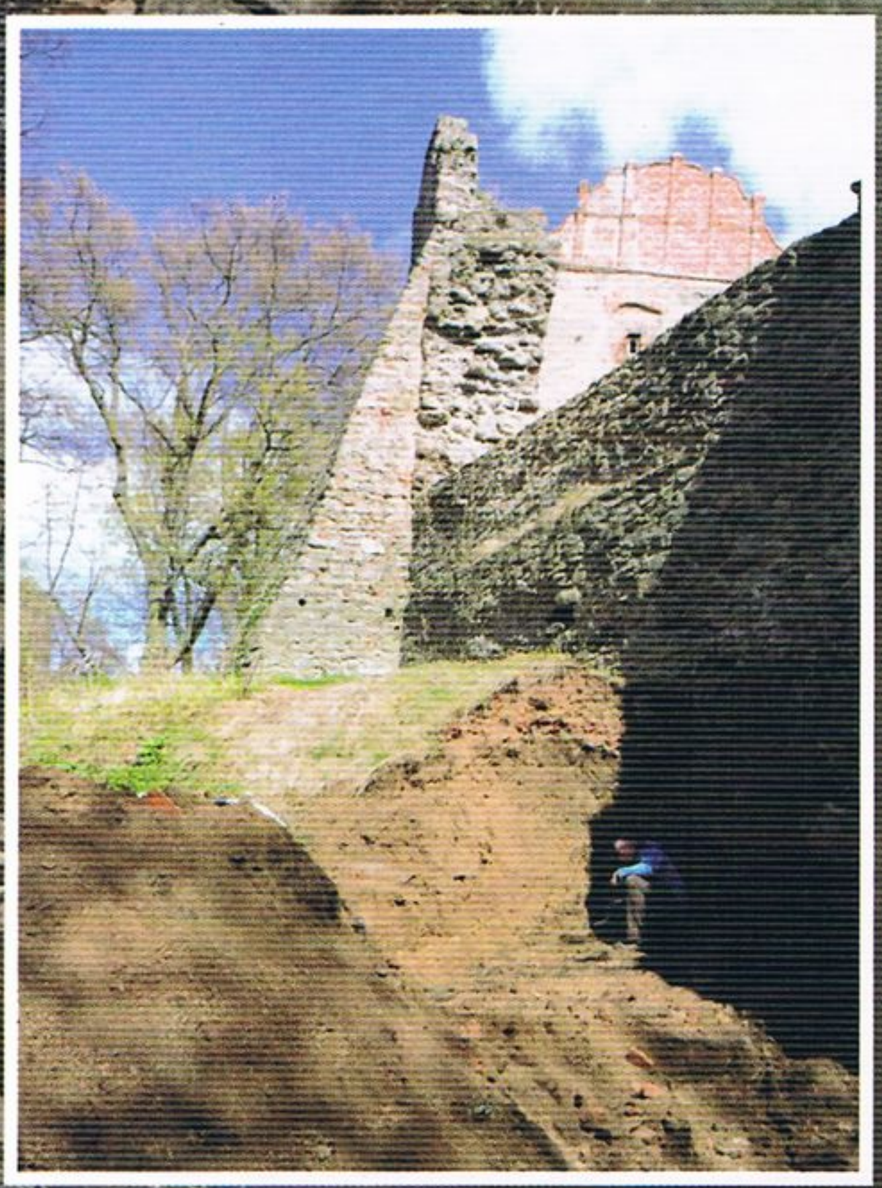

NASZE BADANIA WSPIERAJĄ:

HELIKON-TEX.com

GRALmarine

ARPOL
www.arpol.net.pl

ODKRYWCA®
SKARBY • WOJNA • HISTORIA

OBEJRZYJ FILM

Kanał filmowy czasopisma „Odkrywca": zapraszamy na reportaż z prac eksploracyjnych na zamku Czocha. Zapraszamy również na inne filmy:

- Sokołowsko,
- Szczelina Jeleniogórska,
- Tajemnice podziemnego Lubania,
- Kryptonim Karaibe.

Zachęcamy do subskrybcji naszego kanału filmowego.

(fot. Szymon Wasyłów, Andrzej Paczkowski)

Skarbową tajemnicę zamku Grodno próbowało rozwiązać wielu eksploratorów i dziennikarzy. Wspólnie z red. Joanną Lamparską sprawą zajmowali się śp. Wojtek Stojak, nasz redakcyjny kolega, a także założyciel „Odkrywcy", Marek Dudziak. Na dziedzińcu prowadzono też kilkukrotnie badania georadarowe wykonywane m.in. przez Roberta Kmiecia znanego z programów „Było, nie minęło", których przebieg prezentowano w programach telewizyjnych, jak choćby w jednym z odcinków serii prowadzonej przez red. Bogusława Wołoszańskiego. Niejednoznaczne wyniki stawały się podstawą do powielanych później opowieści i pogłosek dotyczących możliwości istnienia pod dziedzińcem nieznanych pomieszczeń i przedmiotów.

Obecnie dziedziniec praktycznie na całej powierzchni pokrywa kamienny bruk, przechodząc w pobliżu południowego i wschodniego skrzydła w skałę, na jakiej posadowiono zamek. Pośrodku dziedzińca znajduje się studnia, a właściwie cysterna (ok. 5 m głębokości) z zapasem wody, wykuta wg jednej z zamkowych legend przez tureckiego jeńca. Przygotowując plan badań na zamku górnym, szybko okazało się, że choć dysponowaliśmy wieloma fotografiami zamkowych wnętrz, ujęciami bryły zamku, pamiątkowymi fotografiami z dolnego dziedzińca i różnych wnętrz zamku, to nigdzie nie udało się odnaleźć fotografii czy też rysunków, na których uwieczniono dziedziniec górny.

Gdy w 2016 roku rozpoczęliśmy nasze badania georadarowe, szybko udało się ustalić, że na dziedzińcu pojawiały się bardzo interesujące anomalie, ale ciekawsze informacje udało się uzyskać później dzięki kwerendzie w zasobach wałbrzyskiego konserwatora zabytków.

Okazało się, że w 1987 roku, kilka lat przed wysłaniem listów von Schrecka do redakcji „Słowa Polskiego", na zamku przeprowadzono badania archeologiczne pod kierownictwem arch. Leszka Berduły. Obok przebadania pomieszczenia uznawanego za kuchnię ich celem pozostawało częściowe przebadanie dziedzińca. Wyglądał on zupełnie inaczej niż dziś. Na całej szerokości pokrywała go gruba ok. sześćdziesięciocentymetrowa warstwa ziemi i gruzu, porośnięta trawą, w której tkwiły ślady zniszczeń dokonanych na zamku w XVIII wieku. Być może widok zaniedbanego dziedzińca skłonił autora listów von Schrecka do opisania skrytki umieszczonej jakoby pod gruzem zawalonego skrzydła zamku. Ówczesne badania skoncentrowały się w połowie dziedzińca i w pobliżu studni (cysterny). Archeologom udało się ustalić, że w północno-wschodniej części dziedzińca, pod warstwą ziemi i gruzu, znajdował się oryginalny XVII-wieczny bruk. Prawdopodobnie na podstawie tych wyników 30 lat temu rozpoczęto oczyszczanie dziedzińca do obecnego poziomu. Niestety, zarówno o badaniach archeologicznych jak i pracach remontowych szybko zapomniano. Po podjętych wtedy poważniejszych pracach renowacyjnych i budowlanych nie udało się odnaleźć śladu ani w dokumentacji zamkowej i konserwatorskiej, ani w ludzkiej pamięci. Jaki był ich charakter i czy objęły one rejon wyznaczonych przez nasz georadar anomalii?

Szczególnie interesujący dla nas był spory metalowy sygnał znajdujący się pod starym brukiem i poza rejonem prac archeologicznych z 1987 roku. W wytypowanym miejscu wykonaliśmy sondażowy >>>

>>> wykop o powierzchni 1 m^2. Choć w zasypie odnaleźliśmy fragmenty m.in. starego budowlanego klina, to szybko okazało się, że bruk wyglądający na starszy, został tu wtórnie ułożony kilkadziesiąt lat wcześniej. A metalowa anomalia okazała się… fragmentem odgromnika, niwecząc nadzieję na odnalezienie w tym miejscu śladów przedwojennej historii zamku.

Nasyp

Sporych rozmiarów wał ziemi ciągnący się wzdłuż międzymurza i przylegający do południowego muru zamku górneg od lat stanowił zagadkę. Wg ustnych przekazów powstał on poprzez zrzucanie na niego pozostałości prac remontowych prowadzonych na zamku górnym. Choć XX-wieczne pochodzenie wierzchniej warstwy było widoczne na pierwszy rzut oka, to nikt nie był w stanie odpowiedzieć na pytanie, co kryło się głębiej. Zresztą same opowieści, jak to zwykle bywa, wahały się od tych bardziej prawdopodobnych sugerujących, że nasyp powstał jeszcze w XIX wieku w związku z pracami renowacyjnymi, po zupełnie fantastyczne lokalizujące pod nasypem… słynną, zaminowaną skrytkę von Shrecka. Celem naszych kwietniowych prac było sondażowe przebadanie nasypu umożliwiające ocenę jego nawarstwień. A ta, po przeprowadzeniu prac, nie pozostawiła wątpliwości. Praktycznie na całej wysokości w profilu nasypu widoczne były przemieszane warstwy zawierające fragmenty dwudziestowiecznych przedmiotów – od fragmentów rozbitych niemieckich filiżanek po liczące kilkanaście lub kilkadziesiąt lat pozostałości kabli. A więc nasyp powstał z całą pewnością podczas remontowych prac powojennych prowadzonych w latach 50. i 80. XX wieku. Na dnie czekała nas jednak wielka niespodzianka – solidna, gruba warstwa spalenizny. Takiego rodzaju warstwy są bardzo wartościowym znaleziskiem, najczęściej zapisem jednego pojedynczego wydarzenia, zawierając w sobie zabytki z epoki. Wg dr. Pawła Konczewskiego, odnalezione podczas prac sondażowych przedmioty pochodzą najprawdopodobniej z XVII wieku. Oznaczałoby to, że spalenizna jest związana z którymś z gwałtownych wydarzeń, jakie dotyczyły zamku w owym okresie. Być może stanowią świadectwo pobytu wojsk szwedzkich, które wg legendy podczas wojny trzydziestoletniej poszukiwały w tym miejscu ukrytych kosztowności i skarbów. A może są to pozostałości mgliście wspominanych wydarzeń z 1679 roku, gdy zbuntowani chłopi szturmowali zamek oczekujący na odsiecz ze Świdnicy? Mamy nadzieję, że odpowiedź na to pytanie uzyskamy już niedługo podczas kolejnych badań archeologicznych, w których skupimy się na odnalezionej warstwie – świadectwie gwałtownych wydarzeń w historii zamku.

Tunel

Podziemne korytarze wybiegające poza obręb zamków i starych zrujnowanych pałaców są nieodmiennym, stałym elementem legend. Trudno byłoby chyba znaleźć w Polsce zamek, gdzie nie pojawiają się opowieści o ukrytych średniowiecznych tunelach ucieczkowych, czy innego rodzaju tajnych przejściach wiodących poza mury. Grodno nie jest tu oczywiście wyjątkiem. Historia o tajemniczym przejściu, którym można było wydostać się poza mury oparta jest w przeważającej mierze na domniemaniach bądź opowieściach

Tunel biegnie na głębokości ok. 2 metrów pod zamkowym dziedzińcem. Prace przy jego oczyszczaniu trwają.

fot. Szymon Wasyłów

NASZE BADANIA WSPIERAJĄ:
HELIKON-TEX.com
GRALmarine
ARPOL www.arpol.net.pl
www.odkrywca.pl

przewodników, którym przed laty mieli przekazywać te informacje niemieccy turyści odwiedzający zamek. Relacje te lokalizowały wejście do owego tunelu w przebadanej już przez nas siedemnastowiecznej piwnicy z ekspozycją izby tortur bądź w niewielkim i zdawałoby się ślepo zakończonym korytarzyku wybiegającym z obecnej „celi księżniczki Małgorzaty". Wg jednych opowieści tunelik miał biec pod dziedziniec studzienny na zamku wyższym wprost do studni/cysterny, a według innych wybiegać nawet poza obręb zamku. Prof. Jerzy Rozpędowski, autor „Zamku Grodno" najpełniejszego, napisanego prawie 60 lat temu opracowania, wspominał istniejący pod dziedzińcem jeden podziemny ciąg – przebiegający tuż przy fundamencie nieistniejącego zachodniego skrzydła mieszkalnego – głęboki i wąski kanał odwadniający dziedziniec. Kończy się on tuż za licem muru, odprowadzając wodę w obszar międzymurza.

Jednak drobiazgowe bezinwazyjne badania dziedzińca ujawniły jeszcze jedną anomalię, która może być związana z jakiegoś rodzaju podziemnym korytarzykiem. Przebiegała ona równolegle i bardzo blisko istniejącego kanału. Ten nieznany tunelik wydaje się zaczynać w niewielkim wspomnianym wyżej podziemnym korytarzyku z „celi Małgorzaty", do którego można było się dostać również wąskim szybem z dziedzińca. Jednak dojście do niego było zablokowane solidnym i ciężkim granitowym słupem, umieszczonym tam w latach 80. bądź 90. XX wieku. Aby umożliwić dalsze badanie, należało się z nim uporać. Ważący ponad 200 kg słup udało się nam usunąć dzięki pomocy Dariusza i Łukasza Gwiazdy z firmy TechDiam, która wspierała nas podczas ostatnich poszukiwań „Sztolni Australijczyka". Nareszcie mogliśmy swobodnie zajrzeć do wnętrza.

Tunelik biegnie na głębokości ok. 2 metrów i jest zasypany u wlotu oraz częściowo obwalony. Jego niewielkie rozmiary sugerują jednak, że pełnił funkcję techniczną. Niemniej położenie w bardzo bliskiej odległości od istniejącego kanału odwadniającego budzi zdziwienie i może oznaczać, że stanowi pamiątkę po jakichś nieznanych fazach przebudowy zamku. Choć prace przy oczyszczaniu tuneliku będą trwały, to jego budowa nie wskazuje na to, aby stanowił początek tunelu ucieczkowego wybiegającego poza zamek. Czy takowy gdzieś istnieje? Tej zagadki nie udało się nam jeszcze rozwiązać. Prace prowadzone były pod kierownictwem dr Pawła Konczewskiego i dzięki wsparciu dyrektora Centrum Kultury i Turystki w Walimiu Pawła Brzozowskiego oraz pracownikom Zamku Grodno. Ekipie „Odkrywcy" towarzyszyli nasi przyjaciele z pisma „Relikte der Geschichte". <

Łukasz Orlicki
Szef działu badań terenowych i archiwalnych, kierownik Grupy Eksploracyjnej Miesięcznika „Odkrywca".
„Odkrywca" – GEMO.

REKLAMA

Ocalone pamiątki, zachowana pamięć

Centralne Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu ogłasza wielką zbiórkę pamiątek związanych z pobytem żołnierzy w niemieckich i radzieckich obozach jenieckich oraz w obozach internowania w państwach neutralnych podczas II wojny światowej. Ponieważ los jeńca był udziałem obywateli różnych krajów i osób wielu narodowości, dlatego naszej akcji nie ograniczamy do żołnierzy polskich.

Zbiórka odbędzie się pod hasłem *Ocalone pamiątki, zachowana pamięć*, a jej celem jest uchronienie od zapomnienia jenieckich rzeczy i ich dziejów, a wraz z nimi historii ludzi, z którymi były związane.

Muzeum czeka na wszelkiego rodzaju artefakty – przedmioty używane bądź wytworzone w niewoli, dokumenty, korespondencję, rysunki, fotografie, ubrania itp. – niezależnie od stanu ich zachowania.

Wszystkie dary wzbogacą zbiory Muzeum. Zostaną zabezpieczone i zinwentaryzowane. Dzięki temu staną się źródłem wiedzy i nośnikiem pamięci o jeńcach wojennych i internowanych, a tym samym o coraz bardziej odległej historii.

Osoby zainteresowane przekazaniem pamiątek do Muzeum, proszone są o kontakt osobisty, telefoniczny, listowny lub mailowy. Każda propozycja zostanie rozważona w możliwie krótkim czasie. Po zdigitalizowaniu obiektów darczyńcy otrzymają albumy z wizerunkami pamiątek, a także z ich zapisem cyfrowym.

Za zbiórkę odpowiedzialny jest Dział Zbiorów i Konserwacji Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu, ul. Muzealna 4, 48–316 Łambinowice, tel./fax +48 77 434 34 75

zbiorkapamiatek@cmjw.pl **www.cmjw.pl**

Centralne Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu
45–017 Opole, ul. Minorytów 3, tel./fax +48 77 453 78 72, 77 453 92 16

Projekt dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Marszałka Województwa Opolskiego

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

6 MONET CELTYCKICH

JACEK DZIK

Po odkryciu 6 monet celtyckich Podkarpacki Wojewódzki Konserwator Zabytków w Przemyślu podjął decyzję o przeprowadzeniu ratunkowych badań archeologicznych.

O „skarbie" dowiedziałem się od Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków. Zadzwonił telefon i usłyszałem, że jest zgłoszenie pisemne znaleziska 6 monet celtyckich w... rozgrzebanej lisiej norze. Pracownik WKZ zapytał mnie, czy nie zechciałbym pomóc w przeszukaniu terenu i wytypowaniu potencjalnych miejsc atrakcyjnych pod względem badań archeologicznych. Propozycja bardzo mnie ucieszyła – nie dość, że ciekawe było to znalezisko z dużym potencjałem, a do tego możliwość współpracy z WKZ i archeologami – a to jest chyba marzenie każdego poszukiwacza. Bez wahania umówiłem się na spotkanie w biurze Podkarpackiego Konserwatora Zabytków z siedzibą w Przemyślu.

Współpraca poszukiwacza z archeologiem

Pojawiłem się na spotkaniu w tym samym momencie co właściciel firmy Archaia – Grzegorz Płoskoń, archeolog. Jego firma miała przeprowadzić badania terenowe na wyznaczonym terenie, a ja miałem pomóc zlokalizować potencjalne inne artefakty i monety, które pozostały do tej pory nieodkryte. Po krótkiej rozmowie ustaliliśmy plan prac i termin ich rozpoczęcia. Wyjaśniłem też pracownikom WKZ, w jaki sposób będą wyglądać moje badania i typowanie miejsc pod poszczególne wykopy. Poprosiłem też o wystawienie stosownej zgody na prowadzenie poszukiwań z użyciem sprzętu elektronicznego w tym terenie imiennie na mnie oraz firmę Archaia. Znając już miejsce i teren, w którym znaleziono monety, wiedziałem, że natkniemy się na dużą ilość pozostałości pierwszowojennych oraz drugowojennych. Jest to obręb pierścienia zewnętrznego Twierdzy Przemyśl, w linii okopów i ziemianek austriackich. A jak wiadomo – takie miejsca obfitują w puszki po konserwach, łuski, odłamki i masę kulek po szrapnelach.

Co znaleziono?

Przypadkowo odkryte srebrne monety celtyckie w liczbie 6 sztuk to numizmaty typu Velky Bysterec. Bite były na terenie północnej Słowacji i łączone są z Kotynami (chociaż słowo „bite" ma tu inne znaczenie – ponieważ monety wykonano odlewem w formach).

Nie są to jedyne monety celtyckie odkryte w pobliżu Przemyśla – jedno z takich znalezisk zanotowano w dzielnicy Zasanie oraz okolic Medyki (w podobnej odległości od centrum Przemyśla co wieś Pikulice), a także w okolicach Hurka.

Ratunkowe badania archeologiczne

Wkrótce Podkarpacki Wojewódzki Konserwator Zabytków w Przemyślu podjął decyzję o przeprowadzeniu ratunkowych badań archeologicznych, które odbyły się w podprzemyskiej miejscowości Pikulice w dniach 16–25 lutego 2016 roku. Kierownikiem prac był archeolog mgr Grzegorz Płoskoń (aktualnie członek Grupy Badawczej KAPONIERA Eksploracja, Pasja i Historia – wtedy to nawiązała się nasza współpraca na dobre. Grzegorz zainteresował się wówczas naszą działalnością – wspiera nas swoją wiedzą i doświadczeniem podczas

fot. Grzegorz Płoskoń

6 srebrnych monet celtyckich typu Velky Bysterec (pochodzenie północna Słowacja).

podejmowanych przez nas prac eksploracyjnych na terenie Twierdzy Przemyśl i nie tylko, tak aby wszystko odbywało się profesjonalnie i obowiązującym prawem).

Miejsce badań i prowadzonych prac ratunkowych to okolice wsi Pikulice, położonej w gminie Przemyśl. Podczas I wojny światowej i oblężenia Twierdzy stacjonowały tu wojska austriackie, były tu zaplecza fortów m.in. Optynia, Łuczyc i Grochowiec. Znajdowały się także koszary austriackie, które po zakończeniu działań wojennych posłużyły jako miejsce przetrzymywania jeńców wojennych, a w okresie międzywojennym stacjonowało tu do 1939 roku wojsko polskie.

Prace archeologiczne rozpoczęliśmy od wytyczenia przez geodetę dwóch punktów, od których wytyczyliśmy wykop o wymiarach około 40 m długości i około 7 m szerokości. W związku z tym, że szukaliśmy monet, a teren stwarzał duże utrudnienia (zalesiony stok) – badania przeprowadziliśmy przy użyciu sprzętu elektronicznego. Podczas przeprowadzonej prospekcji terenowej użyłem wykrywacza metalu z sondą 13" oraz 9" – teren przeszukałem systematycznie wzdłuż oraz w poprzek według wcześniej przygotowanej siatki – celem wyeliminowania tzw. martwych punktów. Przeszukaliśmy teren o powierzchni około 280 m² w obrębie wyznaczonego wykopu, który później poszerzyliśmy w kierunku wschodnim o 3 m i zachodnim o 4 m. Cały stok przebadałem kilkukrotnie z użyciem dwóch różnych cewek, w celu upewniania się, że cały obszar został dobrze sprawdzony. Miejsca wskazujące na zaleganie przedmiotów metalowych były zaznaczane, następnie zostały wykonane w nich wkopy. W większości wytypowanych punktów – źródłem sygnałów były kulki ołowiane od szrapnela, gwoździe, druty i kapsle. W jednym z wkopów o nr 1 odkryliśmy dwie maluteńkie monety srebrne.

Odnalezione podczas prac ratunkowych na stanowisku w Pikulicach k. Przemyśla monety to dwa srebrne denary. Znajdowały się one na głębokości około 20 cm. Są to denary należące do emisji Kolomana Uczonego (1095–1116). Był on królem węgierskim w latach 1095–1116 i chorwacko-dalmatyńskim w latach 1102–1116. Rozrzut czasowy obu znalezisk – tj. monet celtyckich i denarów – wskazuje, że możemy mieć do czynienia – według moich przypuszczeń – z przypadkowym depozytem, który został rozwleczony na tym terenie podczas budowy ziemianki artyleryjskiej lub po wybuchu pocisku artyleryjskiego – w pobliżu znajdował się lej.

Jak współpracować?

Prace te są przykładem, jak może odbywać się pomiędzy środowiskiem poszukiwaczy, archeologów i konserwatorów współpraca. >>>

>>> Zdrowe podejście do przepisów prawnych oraz otwartość daje możliwość zacieśnienia tej kooperacji na przyszłość, co zapewne będzie skutkowało wieloma spektakularnymi odkryciami, nowymi eksponatami w muzeach oraz pogłębi wiedzę o naszej historii. Myślę, że jest duża szansa na stworzenie systemu właściwych praktyk akceptowalnych zarówno wśród poszukiwaczy, jak i służb konserwatorskich. Aktualnie pracujemy nad modelem współpracy opartym na aktualnym systemie prawnym, ale także dążymy do zmian w ustawach regulujących poszukiwania. Jest wiele dróg, pomysłów – ale najważniejsza jest chęć dialogu i niesprowadzanie naszego środowiska do poziomu „przestępców i grabieżców". Niestety, w całej Polsce jest tylko kilka województw, w których poszukiwacze mają w miarę przyjazne stosunki ze służbami konserwatorskimi i WKZ-tami – oczywiście pod warunkiem poruszania się w ramach aktualnego prawa.

W większości przypadków uprzedzenia do nas, poszukiwaczy, mają gdzieś swój początek. Spróbujcie umówić się z Waszym przedstawicielem Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków, porozmawiajcie, zadeklarujcie swoją pomoc archeologom w typowaniu miejsc występowania przedmiotów metalowych, powiedzcie, że zrobicie to gratis w ramach dobrej współpracy – opowiedzcie o korzyściach, o tym, że technika pomaga, że więcej będą w stanie odkryć. Takie rozmowy powinny się zaczynać od tego, co oni dzięki temu zyskają – bo na pewno nie stracą. Dajcie dobry przykład innym. Nie mogę zagwarantować, że od razu będzie łatwo, miło i przyjemnie – bo droga jest długa – sam swoją latami przecierałem. Zróbcie krok w dobrym kierunku – będzie to procentować dla całego środowiska – ale też bądźcie czujni i potępiajcie wszelkie złe i nieetyczne zachowania.

Jest też pozytywny finał naszych prac. Znalazca monet celtyckich, który przyniósł je do WKZ oraz zgłosił i wskazał miejsce ich odnalezienia, otrzymał nagrodę pieniężną od Skarbu Państwa. Według informacji uzyskanych od pracowników Urzędu Ochrony Zabytków, monety po dokonaniu niezbędnych prac konserwatorskich zostaną wyeksponowane na wystawie archeologicznej w Muzeum Narodowym Ziemi Przemyskiej.

Więcej o sposobach współpracy, o tym jak to się robi poza granicami naszego kraju, o kodeksie poszukiwacza, napiszę w odrębnym materiale – ten materiał niech będzie wstępem do tego, że poszukiwania można prowadzić zgodnie z prawem. Opiszę także system, który już działa w Europie oparty na bazie danych i GPS oraz telefonie komórkowym. <

Góra: Miejsce oznaczone strzałką wskazuje lisią norę, gdzie znaleziono skarb celtycki.

Dół: miejsce odnalezienia 2 srebrnych denarów.

Jacek Dzik
Prezes Stowarzyszenia Grupa Badawcza KAPONIERA – Eksploracja, Pasja i Historia, autor publikacji o tematyce eksploracyjnej, poszukiwacz z 28-letnim doświadczeniem, specjalizuje się w eksploracji pierwszowojennych pól bitewnych Karpat Ukraińskich oraz archeologii pola bitwy Twierdzy Przemyśl. Członek wielu ekspedycji badawczo-eksploracyjnych na terenie Polski i Ukrainy. Dyrektor prywatnego Muzeum Archeologii Pól Bitewnych Twierdzy Przemyśl (w organizacji).

fofot. Grzegorz Płaskoń

Dwa srebrne denary należące do emisji Kolomana Uczonego (1095–1116). Był on królem węgierskim w latach 1095–1116 i chorwacko-dalmatyńskim w latach 1102–1116.
Denary zostały odnalezione podczas prac ratunkowych na stanowisku w Pikulicach k. Przemyśla.

LITERATURA

L. MORAWIECKI, **Mennictwo celtyckie, Polskie Towarzystwo Archeologiczne i Numizmatyczne,** Oddział w Krakowie, Kraków 1986.

M. RUDNICKI, L. ZIĄBKA, **Moneta celtycka z Kalisza-Piwonic a początki mennictwa na ziemiach Polski,** w katalogu wystawy Od Calisii do Kalisza.

J. PIASKOWSKI, **Celtyckie pieniądze żelazne,** kwartalnik Polskiego Towarzystwa Archeologhicznego „Z otchłani wieków", 1/1963, Ossolineum.

http://artefactes.proantica.org/index.php?option=com_content&view=article&id=3:the-mint-of-celts&catid=7:general&Itemid=10

https://www.nbportal.pl/wiedza/numizmatyka/historia-monet/starozytnosc/inne-celtowie-i-ich-monety

https://pl.wikipedia.org/wiki/Hurko

http://fortytwierdzyprzemysl.pl/gminy-zgftp-1/77-medyka.html

REKLAMA

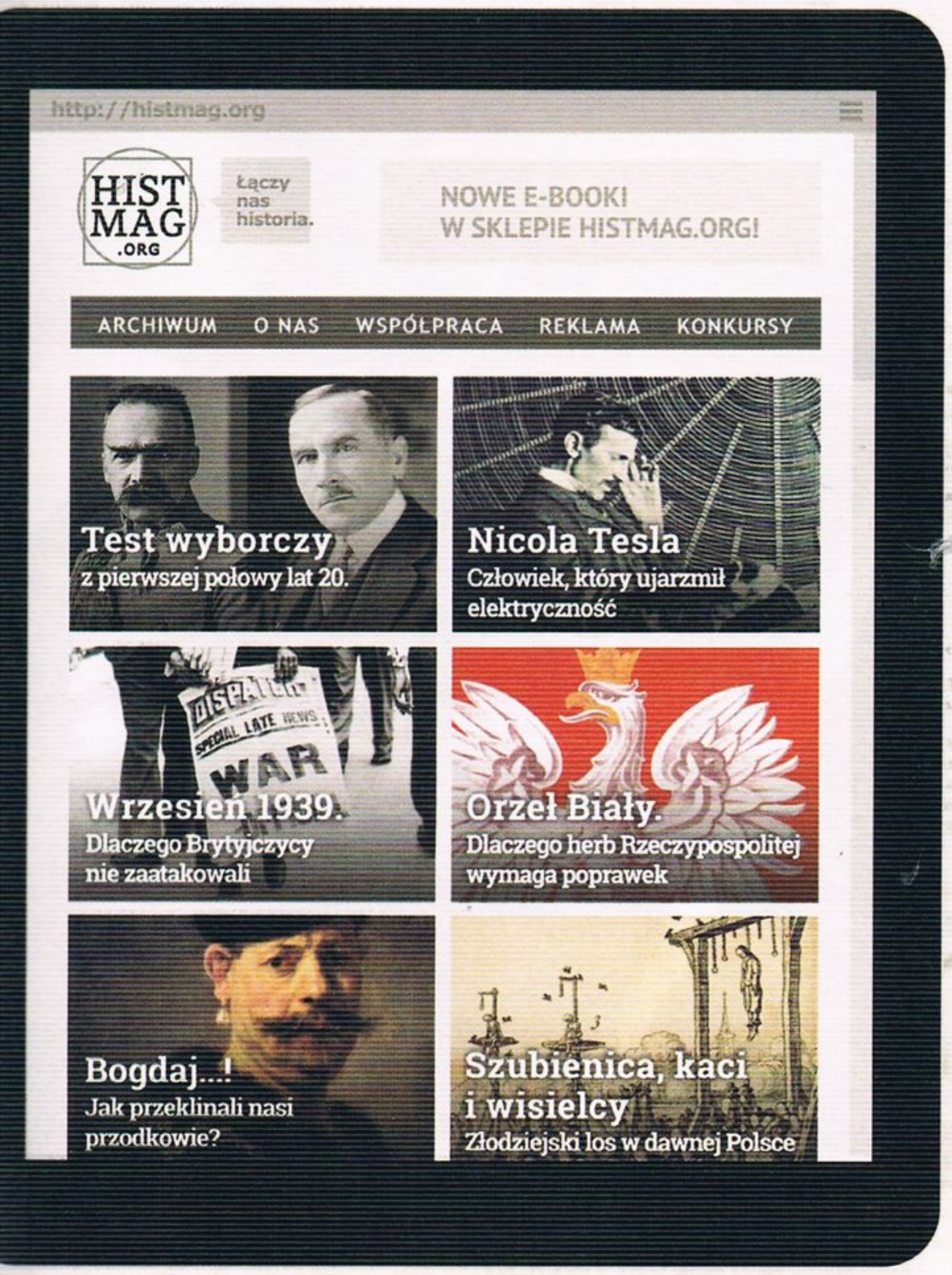

Najbardziej merytoryczny magazyn historyczny w Internecie

Histmag.org to najświeższe newsy, rzetelne artykuły popularnonaukowe, wnikliwe recenzje i zajmująca publicystyka. Wszystko co najlepsze w papierowych czasopismach, dzięki nam znajdziesz także online. Całkowicie za darmo!

HISTMAG.ORG

Łączy nas historia!
www.histmag.org

SCHRON PRZY INTER

DOWÓD NA NAZISTOWSKĄ MAL

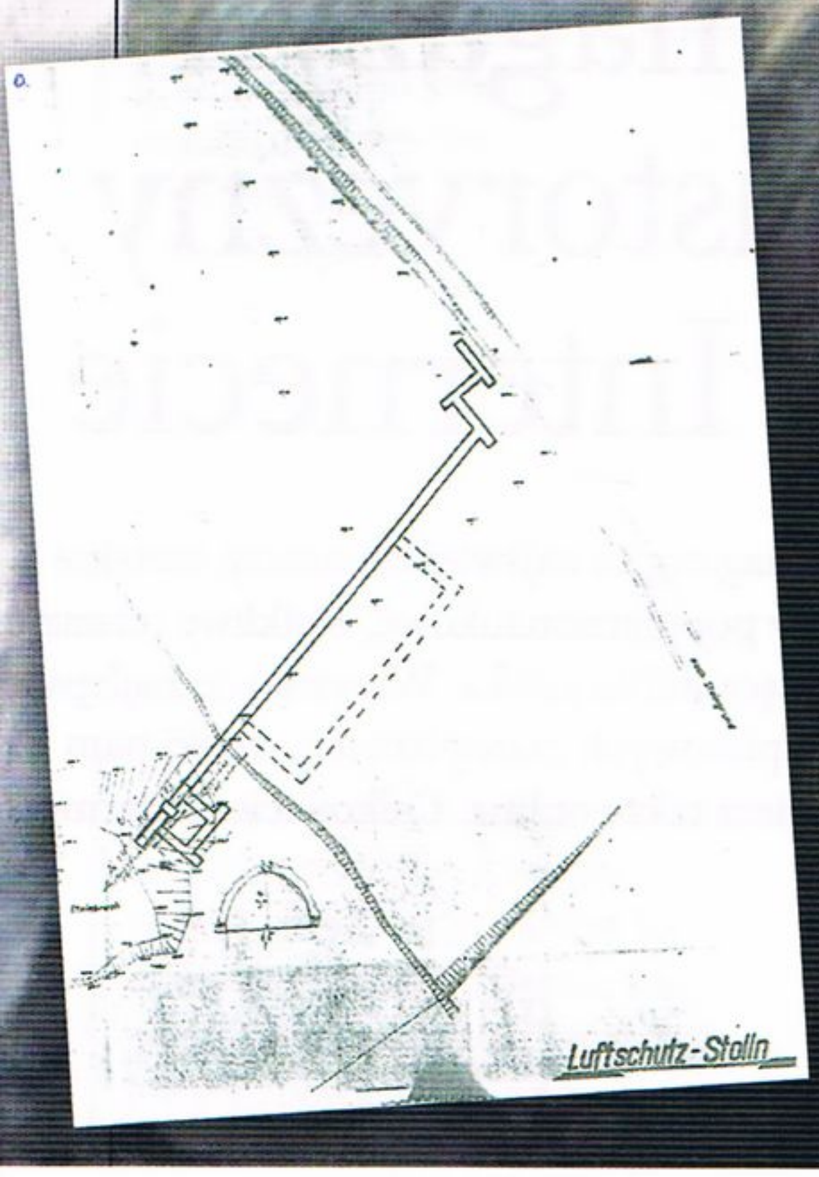

www.odkrywca.pl

NATOWEJ WERSACJĘ?

W piękny sobotni, majowy poranek Stowarzyszenie ODYN z Kalisza i Grupa KLIN z Głuszycy ponownie spotkały się Wałbrzychu u stóp starego nieczynnego kamieniołomu. Zaopatrzeni we wszelką dokumentację, pozwolenia i sprzęt, postanowiliśmy sprawdzić prawdziwość niemieckich planów schronu przeciwlotniczego przy ulicy Internatowej. Tematem zajmowaliśmy się dość długo, chociaż bez nadmiernego przekonania co do istniejących tam nieznanych podziemi. Zebraliśmy dość pokaźny materiał i zeznania świadków, ale jak to bywa z opowieściami z Dolnego Śląska, w których niemal zawsze pojawiają się ciężarówki ze złotem, tak i tu nie brakowało przekazów o przewiezionych kosztownościach z gmachu policji i zdeponowanych w sztolni, po czym wejście zamaskowano… Całej pikanterii dodawał jeszcze fakt, że wśród poszukiwaczy krążyły niemieckie plany tych podziemi i w żaden sposób nie odzwierciedlały one… stanu obecnego. W dokumentach istniało ok. 200 m chodnika plus jeden chodnik nieukończony. To należało dokładnie zweryfikować. Dzięki bardzo dobrej współpracy z Nadleśnictwem Wałbrzych, które jest właścicielem terenu, oraz Konserwatorem Zabytków w Wałbrzychu, otrzymaliśmy wszelkie zgody na wykonanie badań inwazyjnych w formie odwiertów na ścianach obudowy betonowej. Wykonana jest ona na długości 12 m od wejścia w formie sklepienia łukowego. Na miejscu wykonaliśmy dokładne prace pomiarowe z naniesieniem na istniejącą obudowę, danych z posiadanych niemieckich planów, wyznaczając w ten sposób miejsca do odwiertów poziomych, gdzie powinny znajdować się zamaskowane pomieszczenia. Wierceniem zajęła się specjalistyczna firma TECHDIAM Dariusza Gwiazdy. Oględziny obudowy potwierdziły, że została ona wykonana z bardzo kiepskiego betonu, koniecznym było więc kotwienie chemiczne. Z niecierpliwością czekaliśmy na zakończenie procesu chemicznego, żeby można było zamontować wiertnice na prowadnicy i rozpocząć wiercenie. Atmosfera gęstniała, adrenalina wzrastała…Kiedy już można było zamontować prowadnice rozpoczęliśmy wiercenie. Wiertło wchodziło coraz głębiej i wszyscy wstrzymywali oddech z emocji. Analiza pierwszych rdzeni potwierdzała beton, wiertło dalej wchodziło jak w masło, a my czekaliśmy na kolejne rdzenie…Po około metrze nawiercania rdzenie pokonały nas. Zamiast betonu pojawił się piaskowiec, mogliśmy przeanalizować dokładne łączenie się betonu z piaskowcem. To były złe wiadomości… Dalszy odwiert potwierdza tylko występowanie jednolitego piaskowca drobnoziarnistego. To znaczyło, że w tym miejscu nie można było liczyć na jakiekolwiek pomieszczenie. Podjęliśmy następną próbę w drugim wyznaczonym miejscu. Niestety sytuacja z piaskowcem się powtórzyła. Wyjaśnienie tej sytuacji, może mieć dwie przyczyny. Pierwsza zakłada, że plan, którym dysponowaliśmy, jest elementem dokumentacji projektowej obiektu, którego budowy nigdy nie ukończono. Postawimy jednak kolejną tezę, która wpisuje się w jedną z teorii mówiących, że podczas realizacji budowy Riese w Górach Sowich doszło do malwersacji finansowych – innymi słowy - wielkiego przekrętu. Projekt ten nie został nigdy ukończony, a stan jego wykończenia jest w stosunku do zaangażowanych sił i środków nieproporcjonalnie niski. Być może więc podobne zjawisko miało miejsce przy innych tego typu przedsięwzięciach. W naszym przypadku to zainkasowanie gigantycznej kwoty przez wykonawców, a wydrążenie zaledwie 20 m sztolni, zamiast całego obiektu zgodnego z planem. Takiej sytuacji w obliczu upadku III Rzeszy i chaosu ostatnich dni wojny nie można przecież wykluczyć.

OBEJRZYJ FILM

Zapraszamy na reportaż z prac eksploracyjnych, które przebiegały w schronie przy ulicy Internatowej.
Film znajduje się na „Nazi Secret" – oficjalnym kanale Stowarzyszenia Historycznego ODYN.

Piotr Jabłoński
Prezes Stowarzyszenie Miłośników Historii „Odyn".

CZARNA MINNA
POLE, GDZIE ZAPADŁA SIĘ ZIEMIA

KRZYSZTOF „CZARNY" KRZYŻANOWSKI

Co kryje się pod polem za Chroślicami? Zbieramy wszystkie informacje i poddajemy analizie.

Tadeusz Gorczanin miał na ten dzień pilną robotę. Zbliżały się żniwa, trzeba było przygotować sprzęt, załatwić kombajn i jeszcze setkę innych, drobniejszych spraw. Uruchomił ciągnik, aby podjechać na pole, gdzie rosła wyjątkowo udana w tym roku pszenica. Ruszył asfaltową drogą, ciesząc się łagodnym lipcowym słońcem. Przed zjazdem z szosy zwolnił, łagodnie skręcił w lewo i... co to jest?! Noga wbiła się w hamulec, ciągnik znieruchomiał, a rolnik przez dłuższą chwilę z niedowierzaniem patrzył przed siebie. Na środku pola pszenicy, dokładnie tam, gdzie kilka dni temu pracował ciężkim sprzętem, zionęła... ogromna dziura.

17 lipca 2013 roku „Nowa Gazeta Jaworska" donosiła na pierwszej stronie: „Tajemnicze zapadlisko na polu za Chroślicami. W ostatnią sobotę, 13 lipca br., rolnik z Chroślic, Tadeusz Gorczanin, z ogromnym zdumieniem zauważył na swoim polu pszenicy ogromne zapadlisko o objętości równej co najmniej czterem kombajnom Bizon. Pan Tadeusz jeszcze niedawno prowadził prace na tym polu, o czym świadczą ślady kół ciągnika, które kończą się na krawędzi zapadliska. Miejsce to znajduje się dosłownie kilkadziesiąt metrów od szosy Jawor--Złotoryja, zaraz za Chroślicami, po lewej stronie drogi". Poruszona wydarzeniem była żona pana Tadeusza: „Tam może być nawet zaginiona bursztynowa komnata, ukryta w starych sztolniach, jakich jest wiele w gminie Męcinka. Wiadomo, że przez nasz powiat wiodły szlaki dzieł sztuki i cennych przedmiotów zrabowanych przez okupantów niemieckich". Wojciech Sokołowski, autor prasowej relacji, stawiał pierwsze, odważne hipotezy: „Może to sztolnia starej kopalni złota i srebra? W pobliżu znajduje się hałda pokopalniana porośnięta co najmniej dwustuletnimi dębami. Jest tam też jakby murowane wejście do sztolni lub szybu. To najpewniej szkoda górnicza, którą powinny zająć się odpowiednie służby".

fot. Krzysztof Krzyżanowski

www.odkrywca.pl

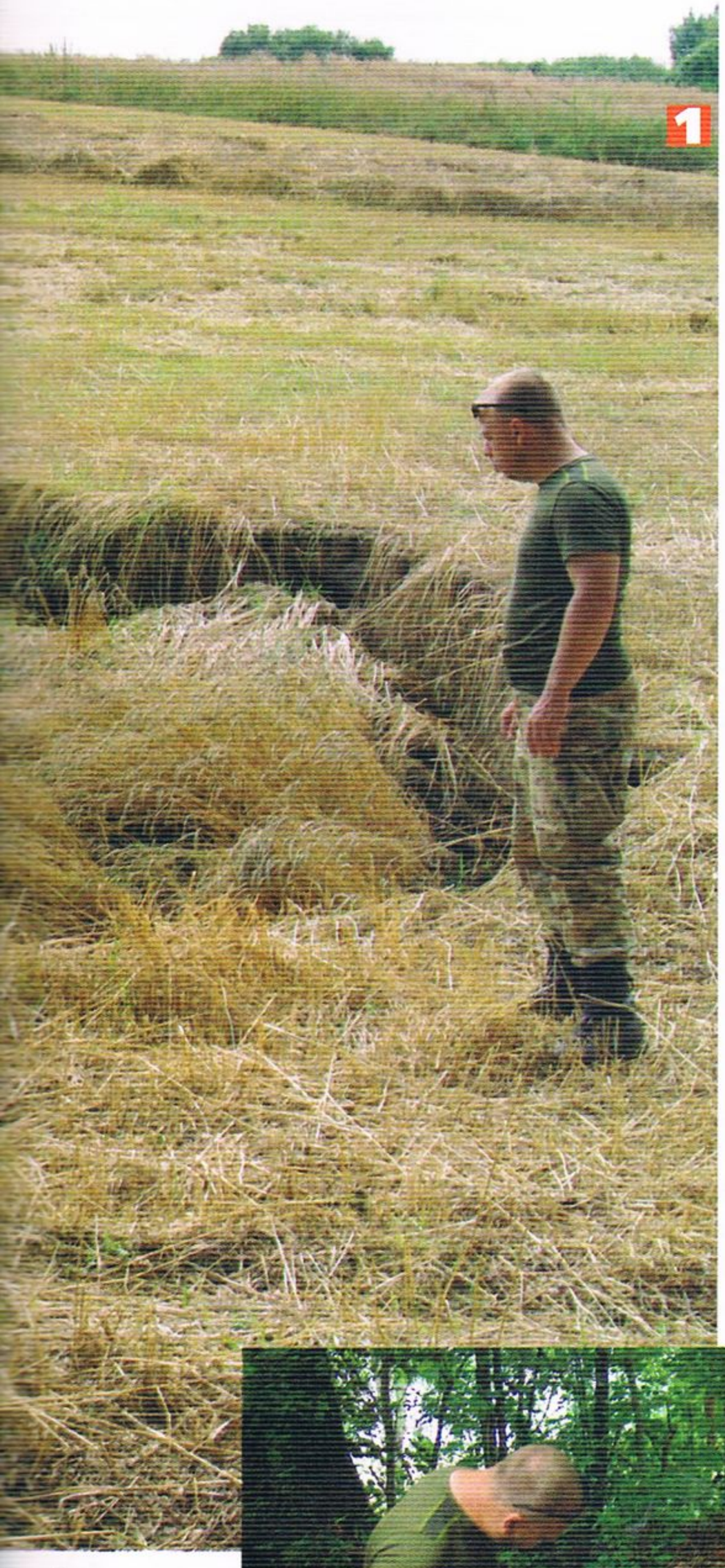

Zapadlisko w sierpniu 2013 roku podczas pierwszych oględzin.

Pozostałości ceglanej budowli w okolicy zapadliska. Rejon Chroślic, pow. jaworski.

Pierwsza wizyta

Informacja o tajemniczym zapadlisku dociera do nas przez zaprzyjaźnioną osobę. Przyjeżdżam na miejsce razem z Pawłem Piątkiewiczem na początku sierpnia 2013 roku. „Dziura" widoczna jest już z szosy, przypomina ogromny lej niczym po wybuchu bomby (zdj. nr 1). Na krawędzi leja wciąż wiszą ogromne kęsy ziemi, a w dole zgromadziło się już nieco deszczowej wody. Na skraju pola i przy samym otworze wbite żółte, ostrzegawcze tabliczki z napisem „Uwaga! Głębokie wykopy" –wyraźny znak, że w sklepach brakuje tabliczek informujących o tajemniczych zapadliskach. Pszenica została skoszona niemal równo z obrysem „krateru", dowód na niespotykany akt odwagi operatora kombajnu lub samego pana Tadeusza. Mierzymy z Pawłem „dziurę": 13 metrów średnicy, do powierzchni wody 5 metrów. Nie wiem, czy zmieściłyby się tutaj „cztery kombajny Bizon", ale średniej wielkości dom z pewnością tak.

W kępie drzew na skraju pola odnajdujemy pozostałości dziwnej infrastruktury, o której pisał Wojciech Sokołowski z „Nowej Gazety Jaworskiej": solidny, ceglany mur i betonowe fundamenty (zdj. nr 2). Wokół resztki potężnych cegieł i brył betonu. Całość rozrzucona jest wokół wyraźnej, regularnej hałdy. Tuż za nią płynie niewielki potok Błotnica, dalej rozciągają się pola w kierunku Sichowa. Stojąc na hałdzie, spoglądamy na cel naszego przyjazdu: do otworu w polu jest około 50 metrów, ale czy ma ona związek z resztkami nieznanej budowli, trudno naprawdę powiedzieć.

Na początku września zdobywam telefon do pana Gorczanina. „Oczywiście" – tłumaczy w czasie rozmowy – „przyjadę porozmawiać, najlepiej na pole, powiem kilka ciekawych rzeczy". Przed spotkaniem szukam w swoim archiwum czegokolwiek o górnictwie w rejonie Chroślic, ale nie mogę znaleźć kompletnie niczego. W dalszym ciągu nie wiem, dlaczego zapadlisko powstało i czy w ogóle ma jakiś związek z dawnym górnictwem.

Pan Tadeusz Gorczanin jest energicznym mężczyzną w średnim wieku. „Jestem przekonany, że to ma związek z dawną kopalnią. Ta hałda i cegły to nie przypadek, tu musiała stać jakaś wieża wyciągowa, może tu był szyb. Kto mi teraz zapłaci za szkody górnicze, przecież, aby zasypać tę dziurę, potrzebuję tony piasku!", martwi się gospodarz. „Byłem w gminie prosić, by napisali pismo do urzędu górniczego, ale nie ma żadnej odpowiedzi. Nie wiem nawet, czy praca na tym polu jest bezpieczna: zapadlisko może się przecież powiększyć albo, nie daj Boże, powstanie kolejne – trzecie". Zaraz, zaraz, jak to… trzecie? Chyba drugie?! „To jest drugie zapadlisko", tłumaczy Tadeusz Gorczanin. „Kiedy gospodarzem był ojciec, powstało pierwsze zapadlisko na tym polu, o… tutaj", wskazuje na miejsce bliżej szosy, pomiędzy obecną ziejącą dziurą i tajemniczą hałdą. „To było ponad 30 lat temu. Dziura była wtedy trochę mniejsza, ale i tak jej zasypanie przysporzyło nam sporo kłopotu. Wydawało się, że z polem będzie już spokój, ale jak widać >>>

www.odkrywca.pl

>>> nie jest lekko". Kiwam ze zrozumieniem głową. Raz jeszcze oglądamy zapadlisko i rozjeżdżamy się do domów. Zagadka pozostaje nierozwiązana.

Trzy lata później: mapa

Na trop prowadzący do jej rozwiązania przyszło poczekać prawie 3 lata, kiedy to Krzysztof i Marcin Maciejakowie, badacze historii górnictwa, natrafili w Archiwum Państwowym w Katowicach na dwie ciekawe mapy z 1854 roku. Dokumenty zostały przygotowane przez górniczych urzędników jako załącznik do koncesji na budowę kopalni węgla brunatnego. Oba arkusze przynosiły szereg wskazówek do tego, z czym mogły być związane zapadliska na polu pana Gorczanina. Przyjrzyjmy się im zatem dokładniej.

Na arkuszu oznaczonym 4421 (ilustracja nr 3) widzimy drogę prowadzącą z Jawora do Złotoryi, karczmę położoną tuż przy drodze, potok i zabudowania Chroślic (Hennersdorf). Są to gospodarstwa „Bauerów" Junga – po lewej stronie, Wittiga – w środku i Arnolda, który zajmuje dom nad niewielkim stawem. Zdaniem Maciejaków „wydaje się, że na węgiel brunatny w rejonie Chroślic natrafiono przypadkiem, podczas budowy jednego z domów, zapewne podczas kopania fundamentów bądź drążenia studni". Wniosek taki można wysnuć z faktu, że mapa pochodzi z 1854 roku, a dom Wittigów wzniesiono w 1849, co wynikać ma z tablicy fundacyjnej na elewacji. Na mapie widać wyraźnie dwa zgłębione szyby – jeden jest tuż przy budynku, drugi kilka metrów dalej – przy którym urzędnik skreślił fantazyjnie napis „Fundgrube". To dosłownie „miejsce odnalezienia kopalni", jej najważniejszy punkt przy umieszczaniu na mapie. Kiedy przyjrzymy się dokładniej, widzimy także oznaczone kolejnymi cyframi otwory, najpewniej próbne odwierty, którymi starano się zbadać zalegające poniżej złoże węgla brunatnego. Nie ma zapisu, czy kolejne odwierty ryjące podwórko podobały się Wittigowi, można jednak przyjąć, że zyskał finansowo na tym niespodziewanym odkryciu.

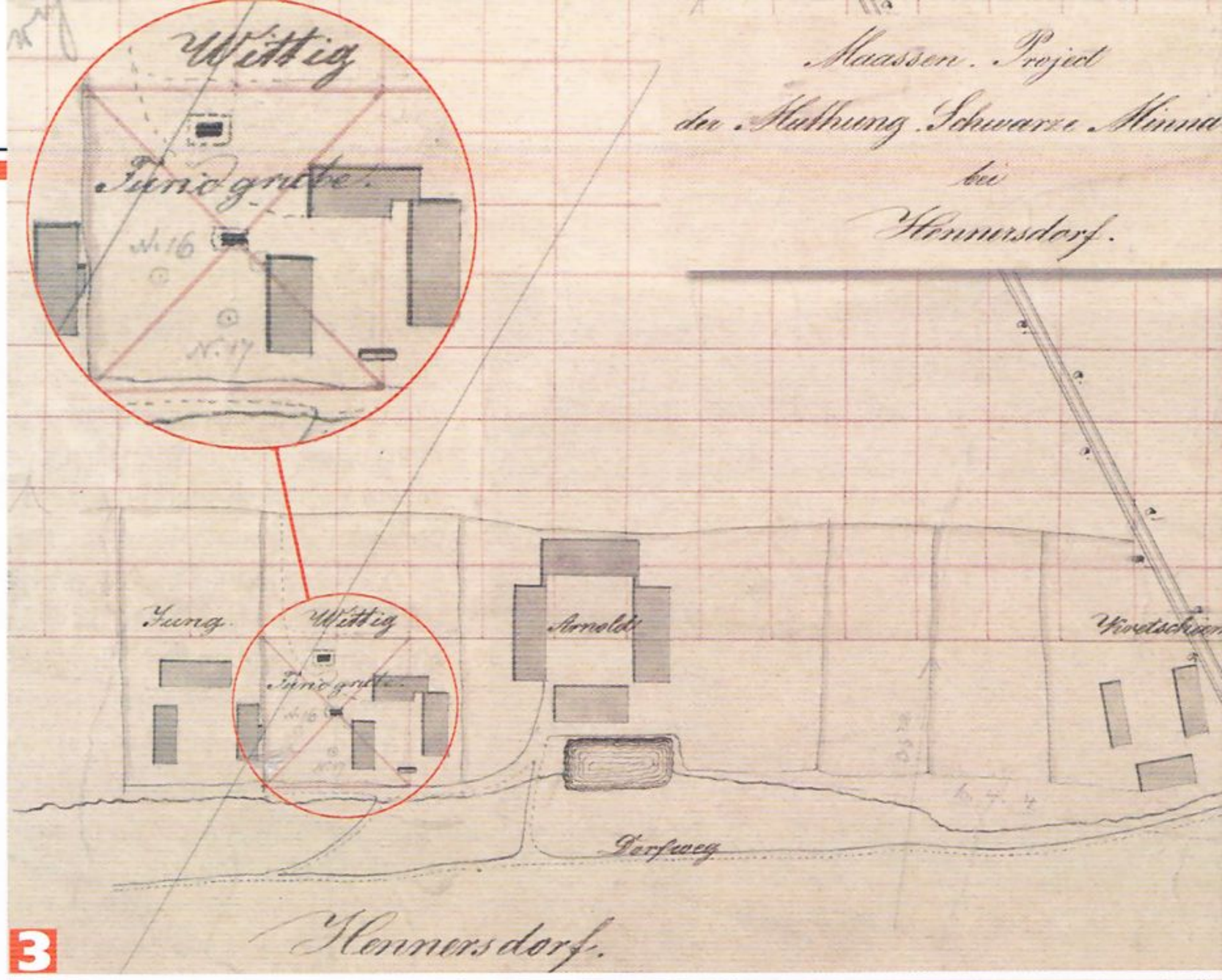

3

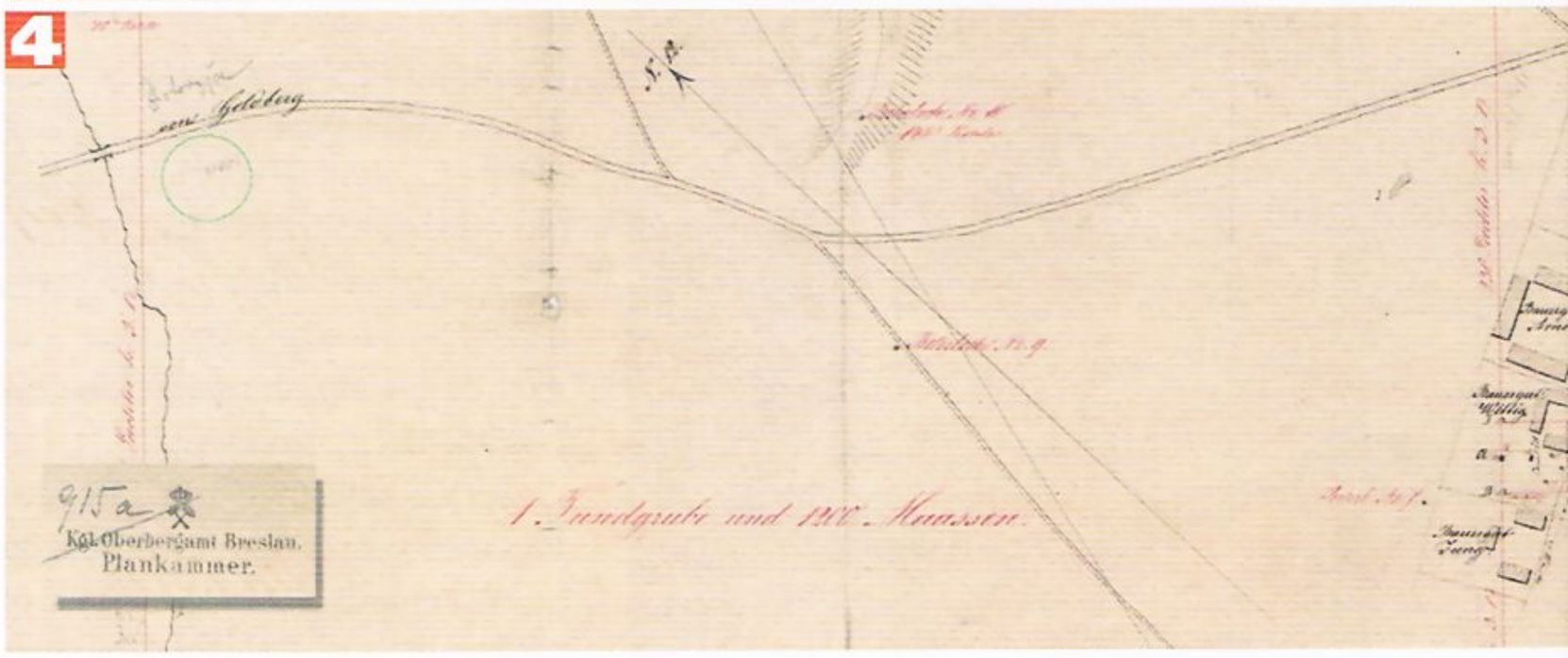

4

Fragment mapy z 1854 roku. Widoczne zabudowania Chroślic i miejsce natrafienia na złoże węgla.

Mapa pola górniczego Schwarze Minna. Po prawej zabudowania Chroślic, po lewej, w zielonym okręgu,miejsce gdzie powstało zapadlisko.

Badania węgla brunatnego musiały okazać się obiecujące, ponieważ w tym samym 1854 roku wyznaczono pole górnicze kopalni, którą nazwano „Schwarze Minna", czyli „Czarna Minna" (ilustracja nr 4). Pole było olbrzymim prostokątem, niemal 1200 na 880 metrów i rozciągało się od zabudowań Wittiga, Junga i Arnolda aż do potoku Błotnica, obejmując swoją powierzchnią także szosę Jawor – Złotoryja i pola po jej północnej stronie. Z ciekawością zauważyłem, że zachodnia krawędź pola górniczego obejmowała także tajemniczą hałdę i miejsce, gdzie w 2013 roku w polu pszenicy otworzyła się ziemia. Na początku nie zauważyłem także drobnego, ale istotnego szczegółu: powiększając mapę na ekranie komputera, dostrzegłem nakreślony ołówkiem symbol odwiertu i numer „15". Było to dokładnie miejsce, gdzie na polu rodziny Gorczanin zapadała się ziemia!

Krzysztof i Marcin Maciejakowie: „Odkryciem zainteresowano przedsiębiorcę z Brzegu – Breslauera, który (...) prowadził prace poszukiwawcze za srebrem, ołowiem, miedzią i żelazem w odległym o niespełna 10 kilometrów Chełmcu". Według badaczy, kopalnia rozpoczęła działalność w 1854 roku i prowadziła ją przez sześć lat do roku 1860. Z zapisów górniczego periodyku „Zeitschrift für das Berg-, Hütten - und Salinenwesen im preussischen Staate" wynikać ma także, że w kopalni doszło w grudniu 1853 roku do wypadku, kiedy to cieśli szybowemu K. Schwedlerowi spaść miała na głowę obluzowana belka. Jako że na mapie kopalni nie ma żadnych innych szybów poza oznaczonymi na podwórku Wittigów, należy przyjąć, że do wypadku doszło właśnie tam.

Wróćmy jednak do Breslauera, który z pozyskanej kopalni eksploatował od 1854 roku koks. Maciejakowie

www.odkrywca.pl

wspominają, że w 1857 roku „we Wrocławiu odbywała się wystawa przemysłowa śląskich hut żelaza, na której część poświęcono koksowi". W relacji z tej imprezy, do której dotarli badacze, można wyczytać, że „(...) godną wspomnienia jest mała próbka koksu z kopalni węgla brunatnego Schwarze Minna pod Chroślicami, którą wystawił właściciel tej kopalni pan kupiec Breslauer. (...) Koks wydaje się mieć niewielką twardość, z którego to powodu, przy niskiej cenie, polecany jest kowalom, gwoździarzom i innym rzemieślnikom". Według „Słownika historycznego kopalń węgla na ziemiach polskich" Jerzego Jarosa, produkcja kopalni w 1858 roku wyniosła około 43 ton urobku. O kopalni wzmiankował także XIX-wieczny przyrodnik Göppert oraz Sachs, omawiając w swojej pracy złoża węgla brunatnego na Dolnym Śląsku. Najciekawsza zdaje się relacja Zinckena z 1867 roku, który określił miąższość – grubość warstwy – złoża w Chroślicach na 5–27 stóp i dodawał, że węgiel „włożony [jest] w pokład tufu bazaltowego", z zachowanymi śladami prehistorycznych... cyprysów. Dodatkowo, według K. i M. Maciejaków, nad kopalnią zamontowano maszynę parową o mocy 50 KM, wydarzenie na tyle istotne, że doczekało się wzmianki w fachowym czasopiśmie górniczym z 1859 roku oraz w opracowaniu słynnego Rudolfa von Carnalla, dyrektora Wyższego Urzędu Górniczego z 1862 roku.

Jak wspomniałem, kopalnia zakończyła działalność w 1860 roku, choć z ustaleń, które dokonali Maciejakowie, wiadomo, że był to tak naprawdę koniec pierwszego etapu życia tego obiektu. Lipcowe wydanie „Breslauer Zeitung" z 1860 roku informowało (przytaczam za autorami opracowania z 2015 roku), że „gwarectwo kopalni »Schwarze Minna« z żalem twierdziło, że węgiel brunatny zalega tylko gniazdowo i wielokrotnie przerywany jest luźną skałą bazaltową (tuf), zawierającą śliczne i ciekawe odciski liści. Na dodatek znaczny napływ wody czyni pracę kopalni trudną i przy wydobyciu wyłącznie węgla brunatnego nierentowną". Po raz pierwszy odnajdujemy więc dowód na niszczycielskie działanie podziemnych cieków, które mogły przyczynić się do wypłukiwania i niszczenia podziemnych wyrobisk. Z tego samego roku pochodzi informacja, że „zaprzestano wykorzystywania maszyn", w tym najpewniej drogiej w utrzymaniu maszyny parowej. W ostatnim roku działania kopalni węgla brunatnego wydobyto już tylko 15,5 tony urobku.

Powulkaniczny tuf

„Czarna Minna" miała jednak swoje drugie górnicze szczęście – powulkaniczny tuf. Zmielony tuf, po wymieszaniu go z wapnem i paskiem staje się idealnym wręcz materiałem... wodoszczelnym, dorównujący słynnemu cementowi portlandzkiemu. Według opracowania z 2015 roku w 1860 roku wykonano szereg wierceń, które wykazały, że „(...) użyteczny tuf zalega w miąższości rzędu 2–12 łatrów [ok. 4–25 metrów – dop. autora] około 20 łatrów [40 metrów – dop. autora] pod powierzchnią, na dodatek w tak dużej ilości, że przy najintensywniejszym wydobyciu pokład ten nie zostanie prędko wyczerpany". Niejako w celu zareklamowania produktu otynkowano nawet posiadłość Kärgerhof przy dzisiejszej ulicy Sokolniczej na wrocławskim Szczepinie. Zawiązano spółkę, która podpisała umowę na dostawę surowca i rozpoczęto jego sprzedaż. K. i M. Maciejakowie przytaczają nawet zachowane opisy zachwalające podjaworski tuf, podają informacje o sposobie jego pakowania, ceny i inne działania handlowe. Wszystko świetnie, brakuje tylko informacji, gdzie precyzyjnie prowadzono to wydobycie – czy bliżej zabudowań Chroślic, czy po drugiej stronie pola górniczego, niedaleko potoku Błotnica? A może i tu, i tu?

Brak także pewnej informacji do którego roku „Czarna Minna" dostarczała cenny tuf. Pewne jest, że w 1913 roku kopalnia znalazła się w spisie kopalń i pól górniczych z zaznaczeniem, że należała do gwarectwa opartego na „starym prawie" („Gewerkschaft alten Rechts"). Po tym roku najpewniej poszła w zapomnienie lub też nie odnaleziono do tej pory materiałów, które mogły by świadczyć przeciwnie. Co ciekawe, wspomniano o niej oficjalnie w czasach już powojennych, w urzędowym orzeczeniu Ministra Górnictwa Ryszarda Nieszporka, które przenosiły na własność Państwa pola górnicze wymienione w załączniku. Pod numerem 472 wskazano pole górnicze „Schwarze Minna", położone w Chroślicach, powiat Jawor. Według treści orzeczenia „pole górnicze przechodzi na własność Państwa bez odszkodowania w całości, wolne >>>

KALENDARIUM

HISTORIA GÓRNICZA OKOLIC CHROŚLIC

1854 – DOKUMENTY PRZYGOTOWANE PRZEZ GÓRNICZYCH URZĘDNIKÓW JAKO ZAŁĄCZNIK DO KONCESJI NA BUDOWĘ KOPALNI WĘGLA BRUNATNEGO, OKOLICE CHROŚLIC.

1854 – WYZNACZONO POLE GÓRNICZE KOPALNI, KTÓRĄ NAZWANO „SCHWARZE MINNA", CZYLI „CZARNA MINNA".

1858 – PRODUKCJA KOPALNI WYNIOSŁA OKOŁO 43 TON UROBKU.

1859, 1862 – WZMIANKI O ZAMONTOWANIU MASZYNY PAROWEJ O MOCY 50 KM.

1860 – KONIEC DZIAŁALNOŚCI KOPALNI.

1860 – WYKONANO SZEREG WIERCEŃ, KTÓRE WYKAZAŁY MOŻLIWOŚĆ WYDOBYCIA TUFU.

1913 – „CZARNA MINNA" ZNALAZŁA SIĘ W SPISIE KOPALŃ I PÓL GÓRNICZYCH.

1950 – „CZARNA MINNA" WSPOMNIANA W ORZECZENIU MINISTRA GÓRNICTWA.

LATA 80. XX W. – PIERWSZE ZAPADLISKO.

16 LIPCA 2013 – DRUGIE ZAPADLISKO.

13 SIERPNIA 2013 – PIERWSZA WIZYTA EKIPY „ODKRYWCY" (KRZYSZTOF KRZYŻANOWSKI, PAWEŁ PIĄTKIEWICZ).

KWIECIEŃ 2016 – DRUGA WIZYTA „ODKRYWCY" W CHROŚLICACH.

CZERWIEC 2017 – PUBLIKACJA ARTYKUŁU O ZAPADLISKU W „ODKRYWCY".

www.odkrywca.pl

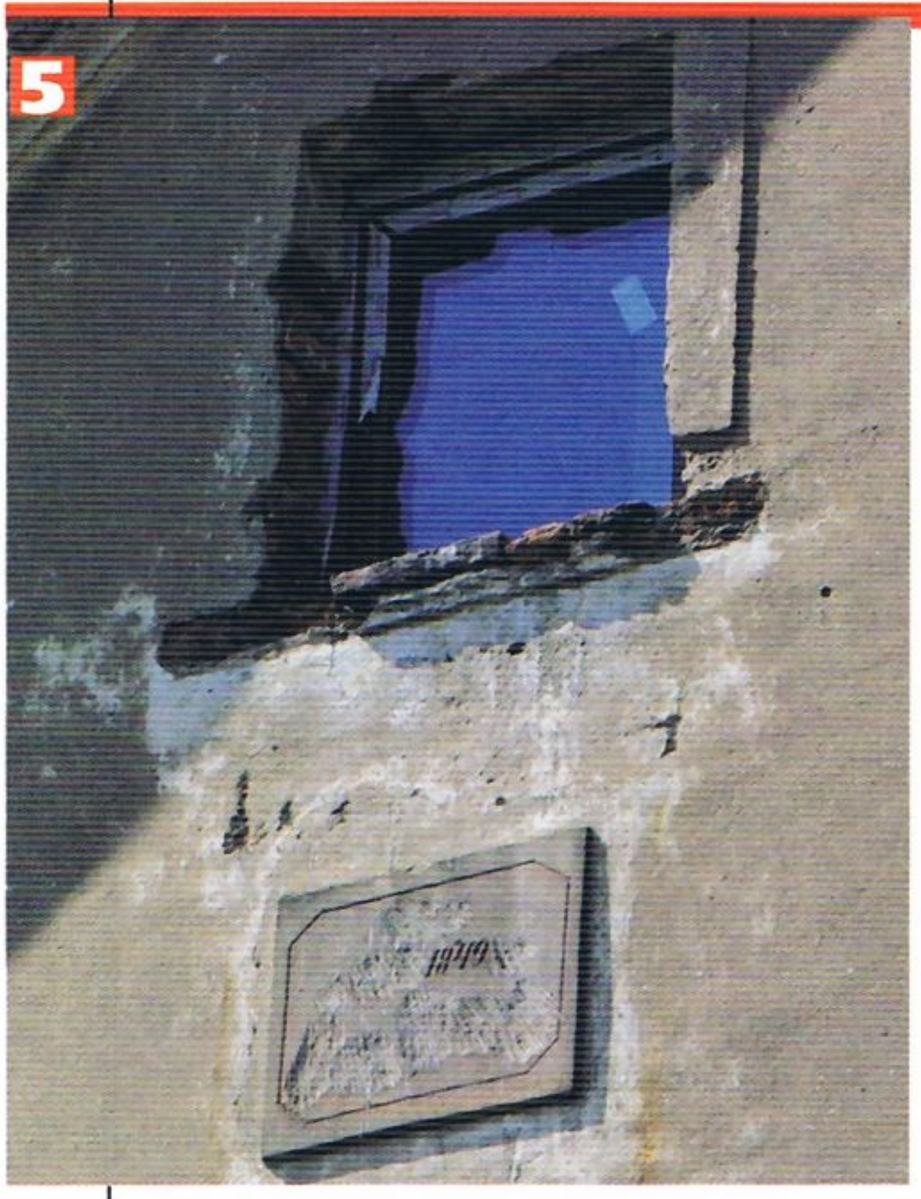
5

od obciążeń i zobowiązań". Z pewną urzędniczą swobodą orzeczenie informowało w ostatnim akapicie, że „nie ma znaczenia prawnego niedokładności w określeniu pola górniczego, jeżeli z orzeczenie wynika, o jakie pole górnicze chodzi". Można sądzić, że w przypadku „Czarnej Minny" wątpliwości takowych nie było, a to ze względu na dobrze zachowane mapy górnicze.

Elementy układanki

W kwietniu 2016 roku odwiedzam Chroślice i gospodarstwo, gdzie mieszkali przed wojną Wittigowie. Pod zwieńczeniem dachu rzeczywiście dostrzegam kamienną płytę, na której ktoś cierpliwie skuł dawne niemieckie napisy, pozostawiając rok „1849" (zdj. 5). W domu mieszkają dwie rodziny i nie wiem kogo mogę zapytać o pozwolenie na wejście na podwórko, gdzie znajdował się „Fundpunkt". Pierwsza napotkana przeze mnie kobieta wręcz ucieka, kiedy zadaję jej pytanie o dawną kopalnię węgla brunatnego – ma mnie albo za nieszkodliwego wariata, albo za domokrążcę. Na ganek wychodzi po chwili gospodarz, ma umorusane ręce i wyraźnie małą ochotę na historyczno-górnicze dywagacje. Humoru nabiera dopiero, gdy wspominam, że jestem dziennikarzem, tropiącym zagadkę zapadliska na polu Tadeusza Gorczanina. „A, to słyszałem", odpowiada energicznie. „Ale że to z moim domem związane? Niemożliwe!". Wyciągam opracowanie Maciejaków, obiecuję pokazać, wytłumaczyć. „To chodź pan zobaczyć te podwórko", zaciąga mnie za budynek. Pokazuje mi starą studnię, „właściwie nie używaną". Czyżby Fundpunkt „Czarnej Minny"? Patrzę krytycznie na powiększone fragmenty map, gospodarz zerka mi przez ramię. Przyszła też żona, robota poczeka. Chyba nie, studnia jest nie w tym miejscu, gdzie powinna być, ta jest blisko muru budynku, na mapie szyb był odsunięty na środek podwórka. Wszystko wskazuje na to, że szyb zasypano, a teren wyrównano. „No, ale studnia przecież jest, pan sprawdzi jeszcze raz?", gospodarz wydaje się zawiedziony. „Może to otwór po wierceniu", dodaję mu otuchy. Każdy ma przecież prawo do kawałka tajemnicy.

Dawne gospodarstwo Wittigów. Tablica z datą budowy domu 1849.

W drodze powrotnej raz jeszcze zatrzymuję się na polu, gdzie w 2013 roku szumiała pszenica Tadeusza Gorczanina. Stojąc nad skrajem „krateru", głowię się nad sensowną hipotezą. Od 1854 roku istniała tutaj kopalnia, która wydobywała węgiel brunatny, a od 1860 roku powulkaniczny tuf. Według wszelkiego prawdopodobieństwa wydobywano urobek (węgiel? tuf?) także i przy potoku Błotnica, na samym skraju pola górniczego. Okolica nie jest w widoczny sposób przeobrażona, a więc najpewniej przez szyb. Jak głęboki? Mógł mieć 20, a może nawet 40 metrów, jeśli przyjąć za pewnik opracowanie z 1860 roku. W podszybiu mogła być komora wydobywcza, zapewne też szerokie chodniki wydrążone w miękkim surowcu. Wystarczy kilkanaście, kilkadziesiąt lat działania wody i… tąpnięcie gotowe. Pierwsze, ostrzegawcze, w latach 80., drugie, poważniejsze – w 2013 roku. A pobliska hałda? Też jest tutaj zapewne nieprzypadkowo – albo stała tutaj maszyna parowa o mocy 50 koni mechanicznych, albo – jak sugerują K. i M. Maciejakowie – pozostałość młyna kruszącego tuf, pozostałość po drugim etapie życia kopalni.

Elementy układanki ułożone? Mam taką nadzieję. Gdybym jednak pofolgował nadto wyobraźni lub źle zinterpretował fakty, radziłbym nie ryzykować prac ciężkim sprzętem na dolnej części pola pana Gorczanina. W sposób niebywale przykry można tam bowiem stracić nie jeden ciągnik, ale nawet cały zestaw kombajnów.

P.S. Pan Tadeusz chyba nie otrzymał pomocy z urzędu górniczego i nie zasypał otworu na swoim polu. Zapadlisko wciąż znajduje się na polu, widoczne jest już także na popularnych serwisach z mapami (Google maps, Geoportal). Jeśli ktoś będzie chciał je obejrzeć podaję współrzędne geograficzne: N 51° 5' 35" E 16° 4' 20".

Krzysztof „Czarny" Krzyżanowski
Pasjonat dawnego górnictwa i starych dokumentów kartograficznych. Główna specjalizacja: zapomniane podziemia na Dolnym Śląsku. Współautor i autor ok. 130 publikacji oraz 5 książek o tej tematyce. Uczestnik i organizator akcji eksploracyjnych i poszukiwawczych. Współpracownik „Odkrywcy" od 2008 roku, członek Grupy Eksploracyjnej Miesięcznika „Odkrywca". Autor książki „Skarb generała – tropem tajemnic Szczeliny Jeleniogórskiej" wydanej w 2015 roku, wydawnictwo Technol.

Jeśli ktoś z czytelników posiada nowe lub nieznane informacje o opisywanej przeze mnie sprawie, proszę o kontakt na adres: mediator.wroclaw@wp.pl lub przez portal społecznościowy Facebook (Grupa Eksploracyjna Miesięcznika Odkrywca / GEMO).

LITERATURA

K. MACIEJAK, M. MACIEJAK, **„Kopalnia Schwarze Minna", Hereditas Minariorum, Vol. II (2015),** Politechnika Wrocławska (opracowanie dostępne także online).
Maasen project de Muthung „Schwarze Minna" bei Hennersdorf, sygn. 12/396/OBB III/4421, Archiwum Państwowe w Katowicach
Maasen project von der Braunkohlen Muthung "Schwarze Minna" bei Hennersdorf, sygn. akt 12/396/OBB III/4419, Archiwum Państwowe w Katowicach
Orzeczenie nr 14 Ministra Górnictwa z dnia 27.12.1950 r. o przejściu pól górniczych na węgiel brunatny na własność Państwa.

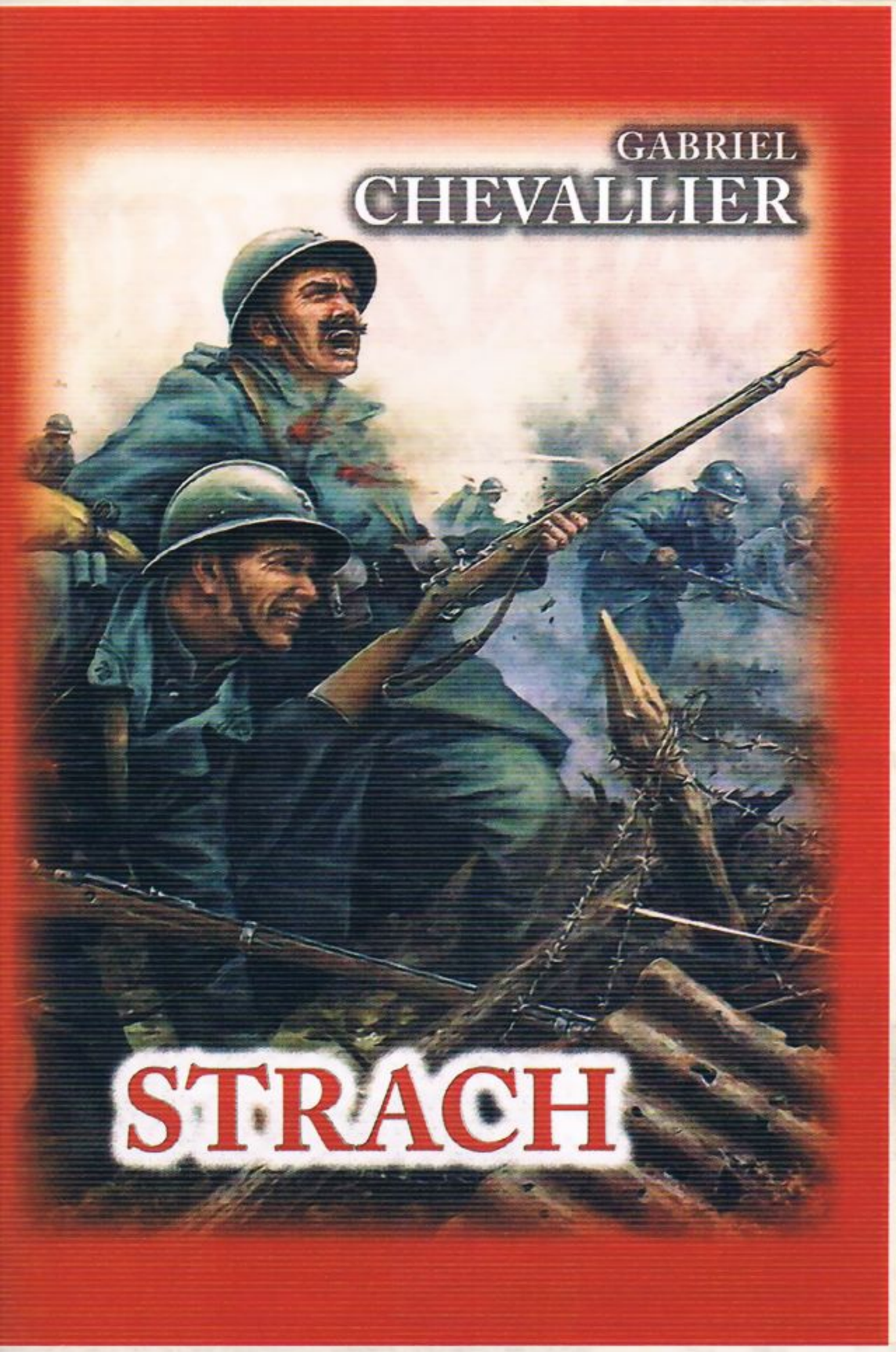

GABRIEL CHEVALLIER
STRACH

„Strach” jest wyjątkowym i przerażająco szczerym zapisem doświadczeń młodego człowieka zaplątanego w wojnę, która – jak większość wojen – jest konfliktem możnych i potężnych, pokarmem dla przemysłowców i narkotykiem dla ogarniętych patriotycznym (szowinistycznym?) obłędem mas. Wojna Chevalliera jest inna; mroczna, niechciana, bezsensowna. Wojna, na której nie ma bohaterów – jest tylko... strach. Jak pięknie powiedział John Berger, to książka, w której nie ma kartek, jest w niej tylko krzyk. Chyba nawet głośniejszy, niż w „Na zachodzie bez zmian” Remarque´a, czy w „Dymach wojny” Aramiljewa. I tym straszniejszy, że absolutnie nic, co napisał autor, nie przestało być aktualne dzisiaj.

KSIĘGARNIA HISTORYCZNA

NAJTANIEJ KUPISZ W:
www.ksiegarniahistoryczna.org

MILITARIA ODKRYWCA SKARBY • WOJNA • HISTORIA

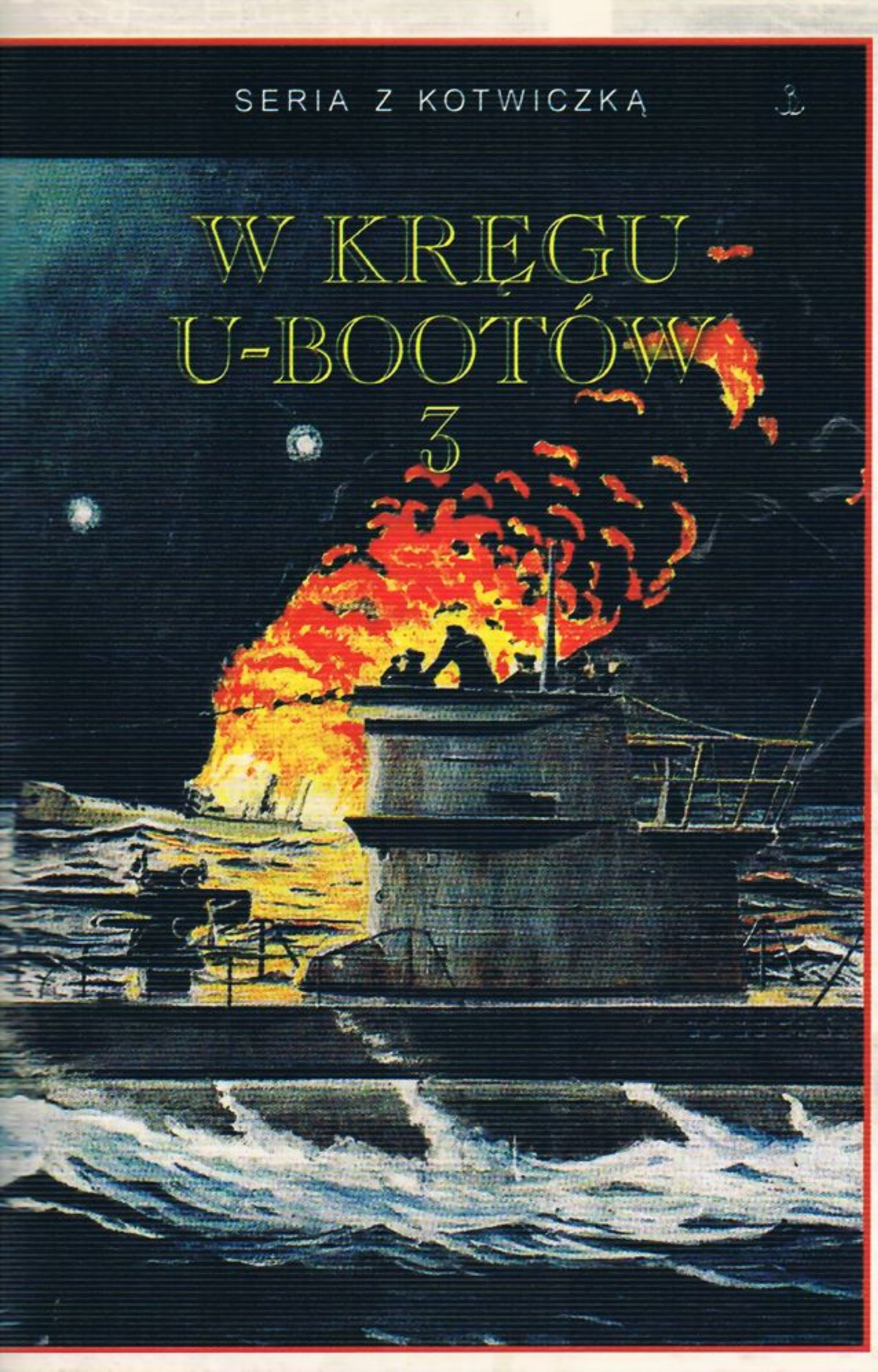

W KRĘGU U-BOOTÓW 3

Zbeleteryzowana historia trzech dowódców U-bootów: E.F. Kentrata, A. Brandiego i G. Lassena, których łączą trzy rzeczy: byli wybitnymi dowódcami, osiągającymi niewiarygodne sukcesy, zostali odznaczeni Krzyżem Rycerskim i udało im się przeżyć wojnę.

Kentrakt i Brandi nie dali się zabić na 10 patrolach, co było ewenementem, bo działali w latach 1942–1944, a więc wtedy, gdy przewaga aliantów w wojnie przeciw U-bootom była już znaczna, a warunki do przeżycia znacznie trudniejsze niż na początku wojny.

Brandiemu udało się uciec śmierci, topiąc 2 brytyjskie i jeden amerykański niszczyciel.

Lassen podczas jedynie 4 patroli osiągnął niebywałe sukcesy, torpedując podczas nich aż 31 statków aliantów, z których 25 posłał na dno, osiągając wynik zatopień ponad 150 000 ton!

NAJTANIEJ KUPISZ W:
www.ksiegarniahistoryczna.org

II WOJNA ŚWIATOWA W SZCZEGÓŁACH MILITARIA ODKRYWCA SKARBY • WOJNA • HISTORIA

BAJKA O TRANZYST

ROMUALD OWCZAREK

Zupełnie inne urządzenie powinno rozsławić dolnośląski klasztor. To detektory krzemowe, które naprawdę tam powstały!

W poprzednich numerach „Odkrywcy" przedstawiłem projekty naukowe i związane z nimi prace badawcze, jakie realizowano w Lubiążu od maja 1943 roku do stycznia 1945 roku. Przypomnę tylko, że dotyczyły one prac nad najnowszą niemiecką technologią wykorzystującą fale o długości od 3 do 10 cm. Skupiono się tutaj głównie na zbudowaniu specjalnego detektora – czujki dla wysokich częstotliwości – oraz części badań dotyczących urządzeń do nowego systemu radiolokacyjnego „BERLIN A", mającego pracować na fali o długości 9 cm. O ile szybko zbudowano nowy rodzaj detektora z użyciem nowego półprzewodnika – syntetycznego krzemu, to już kwestia budowy podzespołów do systemu „BERLIN A" nastręczała wiele trudności. Dotyczyło to głównie odbiornika sygnałów odbitych, z którymi Telefunken miał szczególne kłopoty na etapie wzmacniania sygnału.

Drugim kierunkiem badań były anteny radarowe oraz urządzenia naprowadzające na cel. Warto jednak wrócić do polskich publikacji, które informowały, że w Lubiążu pracowano nad prototypami tranzystorów. Tę sensacyjną wiadomość eksponuje się jako prawdę oczywistą, gdy tymczasem analiza dokumentów pokazuje całkiem inne oblicze tej sprawy.

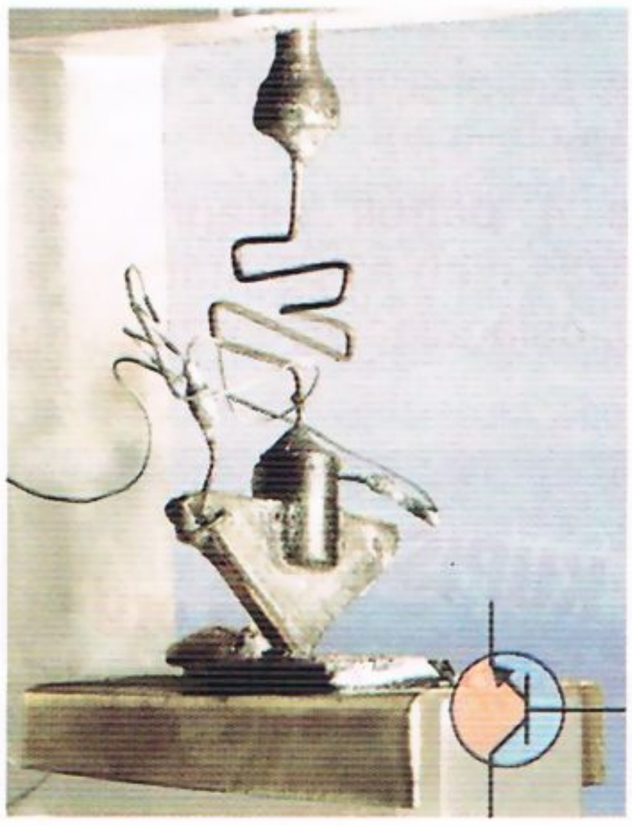

Pierwszy tranzystor z Laboratorium Bella.

Prawda czy kaczka dziennikarska?

By nie było nieporozumień, pozwolę sobie przytoczyć dokładnie, jakie to rewelacje ogłoszono w ramach wyjaśniania wojennych tajemnic klasztoru w Lubiążu:

a) „klasztor na tranzystorach; Niemcy wynaleźli pewien drobiazg, który zrewolucjonizował świat; pierwszy tranzystor; prototyp został stworzony na Dolnym Śląsku, naukowcy przenieśli się do Lubiąża i tam kontynuowali prace, konstruując prototyp tranzystora, dokonali tego Herbert F. Matare i Heinrich Welker, fizycy z zakładów Telefunken. I to właśnie oni, a nie Amerykanie powinni dostać Nagrodę Nobla[1],

Herbert F. Matare.

b) tajemnica dolnośląskiego Lubiąża rozwiązana. To tu naziści pracowali nad wynalazkiem, który zrewolucjonizował świat; dwaj niemieccy fizycy wynaleźli tranzystor; jego prototypy powstały w Lubiążu; Herbert F. Matare i Heinrich Welker związani byli z zakładami Telefunken; tajny program „Radar"; w Lubiążu, jako elementy udoskonalenia radaru powstawały pierwsze prototypy tranzystora – projekt miał kryptonim „Naxos"[2],

c) internowani w Lubiążu Luksemburczycy potwierdzają, że w podziemiach klasztoru oraz w części parterowej pałacu opatów powstawały prototypy tranzystorów[3]".

fot. Wikipedia

ORACH Z LUBIĄŻA

CZĘŚĆ 6

Przede wszystkim pragnę zwrócić uwagę, że ogłoszone rewelacje podano w formie faktów dokonanych (Niemcy wynaleźli, pierwszy tranzystor został stworzony na Dolnym Śląsku, Luksemburczycy potwierdzają, że w podziemiach klasztoru powstawały prototypy tranzystorów). Dla mnie – badacza dziejów historii Telefunkena na Dolnym Śląsku – najbardziej zaskoczyły informacje mówiące o tym, że Matare i Welker pracowali razem w firmie Telefunken oraz o istnieniu tajnego programu„Radar". O wiele większą sensacją było podanie, że istniał konkretny projekt„Naxos" dotyczący prototypu tranzystora. Ba, postawiono również tezę, że Amerykanie nie powinni dostać Nagrody Nobla za swoje prace nad tranzystorem.

Jako źródło tych rewelacji podaje się artykuły prof. Michała Riordana, który na kilka lat przed śmiercią Herberta Matare rozmawiał z nim w jego domu w Malibu, w Kalifornii.

Używanie terminu „tranzystor z Lubiąża"

Konia z rzędem temu, kto przedstawi dokument z taką terminologią. Samo słowo„tranzystor" powstało w laboratorium Bella dopiero pod koniec 1947 roku. Wywodzi się od słów „transkonduktancja" (transconductance) z „półprzewodnikowym" przyrostkiem -stor ze słowa warystor (varistor)[4]. Spotyka się też relacje, że„tranzystor" powstał z połączenia części słów„transfer resistor". Jeśli mamy jednak mówić o jakimś wynalazku z Lubiąża (a był inny), to po prostu trzeba napisać, że chodzi o..., co potwierdzają następujące źródła historyczne. Nawet jak ktoś chce się nadal upierać, że może nie tranzystor, a jego prototyp – to nie ma sprawy. Jednaj trzeba uczciwie napisać, że w Lubiążu pracowano konkretnie nad... Na pewno nie nad tranzystorem ani transistronem (powstał w czerwcu 1948 roku w francuskim laboratorium Societe des Freins et Signaux Westinghouse pod Paryżem).

Warto wspomnieć, że teoretyczne zasady działania zjawiska tranzystorowego opatentował w 1926 roku urodzony we Lwowie fizyk pochodzenia żydowskiego Julius Edgar Lilienfeld (1882–1963)[5]. Swoje teoretyczne rozważania określił dla tranzystora polowego i złączowego. Co ciekawe swoje patenty ogłosił w USA, Kanadzie i Niemczech. Niestety, nie udało mu się zbudować działającego złącza półprzewodnik-metal z uwagi na brak„czystych" monokryształów półprzewodnika. Kiedy pod koniec 1947 roku w laboratorium Bella udało się to zrobić w postaci diody ostrzowej, pierwszym odruchem wynalazców było złożenie patentu w USA. Ale tutaj wynalazców – Johna Bardeena i Waltera Brattaina – spotkała przykra niespodzianka. Urząd patentowy nie przyjął wniosku, przypominając, że ich pomysł opatentował już... Lilienfeld[6]!

Krótko mówiąc nie było żadnego klasztoru na tranzystorach.

Fizycy Herbert Matare i Heinrich Welker z zakładów Telefunken

Ta rewelacja nie ma żadnego pokrycia w faktach. Wystarczy przeczytać życiorys Heinricha Welkera, genialnego fizyka niemieckiego, by przekonać się, że nigdy nie pracował on w firmie Telefunken[7]. Był on za to mocno związany z firmą konkurencyjną Telefunkena – czyli Siemens&Halske. Ponadto w czasie wojny obydwaj fizycy pracowali nad dwoma różnymi półprzewodnikami. Welker wciąż udoskonalał wcześniej skonstruowane detektory z germanu, gdy tymczasem Matare„raczkował" nad szukaniem optymalnych rozwiązań do nowych detektorów z użyciem krzemu. Welker pracował w tym czasie w instytutach naukowych w Monachium i Oberfaffenhofen.

Dopiero w 1947 roku Welker zaprosił do współpracy Matare. Tworząc, na zlecenie rządu francuskiego, laboratorium badawcze pod Paryżem, potrzebował kogoś, kto będzie mu pomagał w zakresie pomiarów hałasu. Przypomniał sobie, że w czasie wojny Matare w firmie Telefunken miał w tym zakresie duże doświadczenie. Matare po wojnie przyznał się, że„podglądał" detektory germanowe autorstwa Welkera i był zaskoczony wysoką jakością kryształów z germanu. We francuskim >>>

Julius E. Lilienfeld.

Heinrich Welker.

J. Bardeen, W. Brattain, W. Shockley.

www.odkrywca.pl

>>> laboratorium Welker wciąż pracował przy piecach, dążąc do uzyskania germanu o jeszcze lepszej czystości, bez zbędnych domieszek.

Luksemburczycy: w podziemiach powstawały prototypy tranzystorów

To bardzo ryzykowna teza. W zasadzie Luksemburczyków podaje się tutaj jako głównych świadków. Problem w tym, że podczas funkcjonowania placówki Telefunken w Lubiążu od lipca 1943 roku do stycznia 1945 roku… nie było tutaj żadnych ludzi tej narodowości!

Wystarczy spojrzeć na tablicę pamiątkową w Lubiążu poświęconą internowanym Luksemburczykom w klasztorze, na której wyryto, że przebywali tutaj w okresie od września 1942 roku do stycznia 1943 roku (wisi od 23 sierpnia 1985 roku). Pozostaje tylko nadzieja, że przewodnicy z Lubiąża spoglądają od czasu do czasu na tablicę pamiątkową i nie opowiadają o Luksemburczykach mających potwierdzać powstawanie prototypów tranzystora w klasztorze. Oby tak było.

Tajny program „Radar"

Brzmi to dumnie, choć to nieprawda. Z bardzo prozaicznej przyczyny. Niemcy nie używali w czasie wojny określenie„radar". Koniec kropka. Od samego początku urządzenia radiolokacyjne nazywane były FuMG lub FuG, czyli Funkmessgeräte (radiowe urządzenia pomiarowe). Wszystkie programy były tajne, również te realizowane w Lubiążu. Kiedy w lutym 1943 roku zestrzelono blisko Rotterdamu brytyjski bombowiec Short Stirling, Niemcy zorientowali się, jak są daleko w tyle w porównaniu z alianckimi radarami. Od razu powołali specjalny zespół roboczy Arbeitsgemeinschaft -„Rotterdam" (AGR). Już na pierwszym posiedzeniu AGR postanowiono przystąpić do realizacji dwóch tajnych programów:

–„Gerät-Rotterdam", mający na celu skopiowanie w jak najszybszym czasie angielskiego radaru pokładowego H2S, pracującego na fali o długości 9 cm (z wykorzystaniem części angielskich, pozyskiwanych ze zestrzelonych bombowców),

– Anlage„BERLIN" – system radiolokacji zbudowany w całości z niemieckich podzespołów i niemieckiej myśli technicznej. Szczegółowo opisano to w„Odkrywcy" nr 11 (2016).

Prototyp tranzystora – projekt o kryptonimie „Naxos"

Nikt nie wie, jak się nazywał prototyp„tranzystora", ale ktoś nagle wie, że naziści mieli nawet na ten drobiazg

Szkic pierwszego detektora krzemowego w szklanej obudowie, testowanego w Lubiążu.

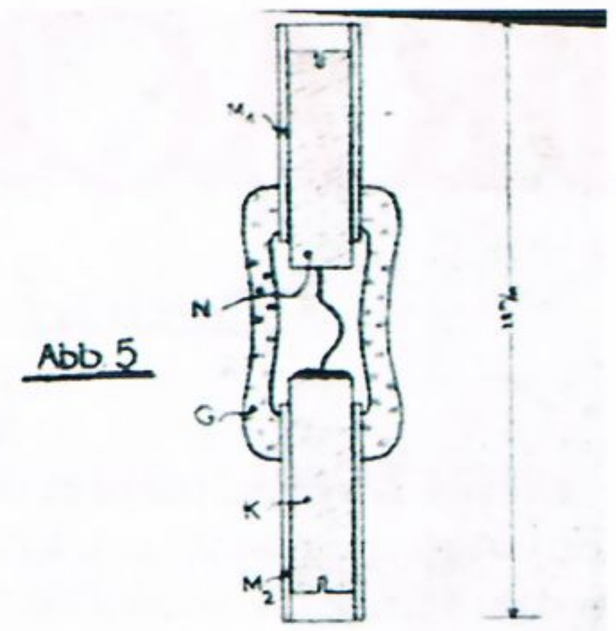

projekt pod kryptonimem„Naxos". Szkoda, że na ten temat nie napisano czegoś więcej. Zapewne projekt był tak tajny, że nawet Hermann Göring o nim nie słyszał.

Tak się jednak składa, że H. Göring znał dobrze problem„Naxos". Była to pierwsza poważna sprawa, jaką zajął się zespół roboczy„Rotterdam". Chodziło o zbudowanie w trybie pilnym urządzenia ostrzegawczego, sygnalizującego zbliżanie się angielskich samolotów, wyposażonych w radar H2S. Urządzenie miało charakter pasywny i potrafiło jedynie wyszukiwać fale o długości 8–12 cm. Jego efektywność była mała, bo ograniczała się tylko do określania kierunku, z którego nadlatują samoloty. Istniały dwie podstawowe wersje: Fug 350 dla Luftwaffe i Fu MB7 Naxos U dla Kriegsmarine. Później opracowano jeszcze wersje naziemną – Korfu[8].

Drobiazg, prototypy, Lubiąż, Matare, Telefunken, Naxos…

Czy powyższe słowa, uwypuklane w relacjach medialnych coś jednak

REKLAMA

www.wykrywacze24.pl

POLECAMY SZEROKI WYBÓR DETEKTORÓW
DLA KAŻDEGO POSZUKIWACZA

JESTEŚMY DYSTRYBUTORAMI MAREK

DORADZAMY…SPRZEDAJEMY…SERWISUJEMY…
tel. 660 797 830, e-mail: El-car@tlen.pl
72-200 Nowogard, ul. 3 Maja 44

łączy? Na pewno nie drobiazg a la tranzystor, bowiem tutaj powstał„flagowy" produkt firmy Telefunken – DETEKTOR z SYNTETYCZNYM KRZEMEM (zwany w firmie potocznie detektorem syntetycznym). To rzeczywiście była całkowita nowość. Po pierwsze udowodniono, że w tamtych czasach do detekcji mikrofal lepszy jest krzem niż german (szybszy czas odzyskiwania sygnału). Po drugie detektor krzemowy potrafił znajdować fale o długości 9 cm, co pozwalało prowadzić w 1944 roku prace rozwojowe nad zbudowaniem Gerät -Rotterdam oraz urządzeń do systemu„BERLIN". Również nowy detektor był zastosowany w urządzeniach„Naxos" i„Korfu". Sam detektor opracowano w kilku prototypach w serii E.D.700 do E.D.705.

Krótko mówiąc – Lubiąż na detektorach krzemowych buduje swoją sławę. I na koniec pozostał nam mocny zarzut.

Amerykanie nie powinni dostać Nagrody Nobla, tylko Matare i Welker

Dopiero w tym miejscu nadarza się okazja, aby wyjaśnić skąd to całe zamieszanie, szczególnie z Herbertem Matare. To jego udzielane wywiady pod koniec życia spowodowały, że wielu badaczy historii rozwoju radarów zainteresowało się szerzej historią powstania„francuskiego tranzystora" – czyli transistrona. Tranzystor i transistron powstały prawie w tym samym czasie w USA i we Francji (ze środków rządu francuskiego) w latach 1947–1948. Nie ulega wątpliwości, że gotowe urządzenie pierwsi publicznie zaprezentowali Amerykanie, choć zrobili to z opóźnieniem dopiero po 6 miesiącach – w czerwcu 1948 roku. (pojawiły się wcześniej wspomniane problemy z patentem Lilienfelda). Kwestię aspiracji niemieckich fizyków (a tak naprawdę tylko Herberta Matare) należy rozpatrywać w dwóch aspektach:

a) uznanie praktycznej przydatności transistronu (zwanego w Paryżu francuskim tranzystorem),

b) dążeń Matare do uznania jego badań w czasie II wojny światowej za mające istotne znaczenie dla zbudowania w 1948 roku transistronu, co miałoby dowodzić, że Mataremu też się należy eksponowane wyróżnienie, co najmniej na poziomie Nagroda Nobla.

Dodatkowo trzeba uczynić jeszcze jedną uwagę dotyczącą faktu, za co tak naprawdę dostali Amerykanie Nagrodę Nobla. Kiedy w 1947 roku powstał tzw. tranzystor, a w 1948 roku francuski transistron – to oba urządzenia pracowały jako diody 2-ostrzowe. Niestety, były tak duże, że stanowiły tylko niezgrabne egzemplarze eksperymentalne. Przez krótki czas idea transistronu została wykorzystana w budowie wzmacniaczy sygnałów we francuskim systemie telefonicznym. Prawdziwym mankamentem były niestabilne kontakty ostrzowe.

Funkcjonujące urządzenie – prototyp praktycznego tranzystora, zbudowany został przez amerykańskich fizyków Brattaina i Bardeena w Laboratorium Bella. Z tym wydarzeniem związana jest swego rodzaju afera. Sam fakt uzyskania działającego urządzenia odbył się pod nieobecność ich kolegi – brytyjskiego fizyka – geniusza Williama Shockleya. Kiedy Shockley wrócił do nich, okazało się, że nie chcą oni go włączyć do wniosku patentowego. Shockley znany ze swej megalomanii mocno to przeżył ambicjonalnie i... odsunął Brattaina i Bardeena od dalszych prac nad nad nowymi modelami„tranzystora". Przede wszystkim Shockley zarzucił oby wynalazcom, że zrobili coś, czego nie potrafią naukowo wytłumaczyć pod kątem zjawisk zachodzących na 2-ostrzowym styku na złączu p-n (metal- półprzewodnik). Wówczas Shockley postawił na swoim i jako pierwszy na świecie opracował 1950 roku teorię, która wyjaśniła zjawiska związane z dziurami elektronowymi i poziomami walencyjnymi. Skutkowało to powstaniem prawdziwego tranzystora, który otrzymał nazwę tranzystora bipolarnego[9]. Prototypy ostrzowe nie stanowiły już konkurencji i szybko odeszły do lamusa.

W 1956 roku cała trójka naukowców z Laboratorium Bella otrzymała Nagrodę Nobla, ale za dwa różne projekty naukowe. Osobiście uważam, że przy przyznaniu Nagrody Nobla pominięto jedną ważną osobę – Morgana Sparksa, który był >>>

>>> współpracownikiem Shockleya. Był on bowiem twórcą pierwszego gotowego do produkcji na skalę przemysłową mikrowatego tranzystora bipolarnego[10] (teoretycznie wymyślonego przez Shockleya). To dzięki Sparksowi tranzystor mógł opuścić laboratorium, zastępując lampy elektronowe, stając się jednocześnie„motorem" rozwoju współczesnej elektroniki. Postępy w tej dziedzinie są ogromne. W 2001 roku holenderscy naukowcy z Uniwersytetu Technicznego w Delft zbudowali tranzystor z jednej nanorurki węglowej[11]. Ten tranzystor jest wielkości jednego nanometru i, co ciekawe, do zmiany swojego stanu potrzebuje tylko jednego elektronu!

Błądzący we mgle H. Matare

Na zakończenie kilka uwag o Herbercie Franzu Matarem (który podczas pobytu we Francji podpisywał się jako Herbert Francois Matare). Postać tę można poznać dzięki świetnej pracy doktorskiej Kai Christiana Handela z 1999 roku poświęconej biografiom 4 fizyków, znanych z niemieckich badań nad półprzewodnikami (H. Welker, K. Sailer, E. Spenke, H. Matare). Jest to niezwykle cenne źródło historyczne, ponieważ K. Handel w ramach pracy doktorskiej opublikował, przeprowadzony w dniu 9 lutego 1998 roku, wywiad z H. Matarem[12].

Warto więc przytoczyć najważniejsze kwestie z wywiadu:

a) „przenieśliśmy się do laboratorium w formie warsztatów. Była tu ogromna liczba osób. Mieliśmy dobre warunki, mógłbym powiedzieć, że byliśmy »rozpieszczani«. Z Berlina przywożono wiele artykułów, bo tu nic nie było, mimo że mieliśmy kartki";

b) „gdy zbudowaliśmy detektor krzemowy, zrozumieliśmy, że ciężka praca dopiero przed nami. Niezbędne było zbudowanie generatora impulsowego dla fal o długości 3 cm oraz nowego typu odbiornika. Ja w tym czasie nie miałem z tym nic wspólnego";

c) „ja znałem teoretyczne charakterystyki niezbędnych czułości do nowych urządzeń. Kiedy Rothe utworzył nowe laboratorium, zostałem szefem Oddziału Odbioru EA (Empfangsabteilung) w Lubiążu";

d) „tutaj pracowałem nad duodiodami i posiadałem kilka opracowań badawczych, ale ja nie rozumiałem zachodzących zjawisk";

e) „ja z produkcją detektorów nie miałem nic wspólnego. Produkcja zapewne była w dziale lamp. Ale dostawałem też detektory germanowe z Monachium z adnotacją »bardzo dobre«".

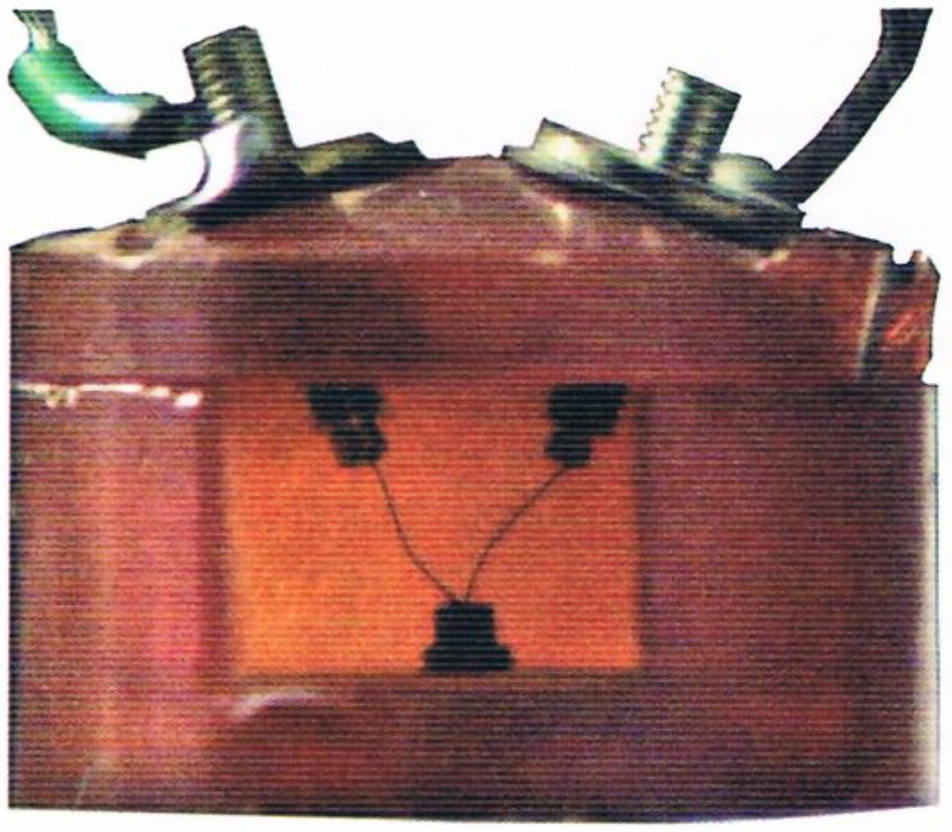

Transistron, zwany francuskim tranzystorem.

W tym wywiadzie H. Matare dzieli się ciekawą informacją o współpracowniku Karlu Seilerze, który razem z prof. Güntherem pracowali nad syntetycznym krzemem:

„... w Lubiążu mieszkaliśmy razem. Mimo to ja nie wiedziałem nic więcej, co wynikało z oficjalnej współpracy. Siedzieliśmy razem w pokoju, każdy miał swoje biurko i każdy robił swoje!".

To był bardzo ważny wywiad przy pisaniu biografii o H. Matarem. Proszę zwrócić uwagę, że Matare nie wnosi żadnych swoich roszczeń co do badań dotyczących idei przyszłościowego tranzystora. Uczciwie mówi, że pracował nad duodiodami i choć stosował eksperymentalnie dwa ostrza kontaktowe, to też uczciwie przyznaje, że w ogóle nie rozumiał zachodzących zjawisk podczas prób z krzemem.

Sytuacja się zmieniła, kiedy na kilka lat przed śmiercią H. Matare, udzielając wywiadu prof. Riordanowi, zaczął upominać się o uwzględnienie jego prac nad duodiodami w Lubiążu, które miały być w jakiś sposób powiązane z powstaniem tranzystora.

Kontrowersje z H. Matare

Die Welt w 2008 roku na swoich łamach donosił:

„Als er im Jahr 1998 einen Fachartikel mit dem Titel »The lesser known history of the crystal amplifier« (frei übersetzt: »Die weniger bekannte Geschichte des

REKLAMA

www.pawlo.sklep.pl

OFERUJEMY WYKRYWACZE:
- GARRETT,
- XP,
- TEKNETICS,
- MINELAB,
- RUTUS

ORAZ INNYCH PRODUCENTÓW.

W NASZEJ STAŁEJ OFERCIE POSIADAMY RÓWNIEŻ MYJKI ULTRADŹWIĘKOWE.

FHU „PAWLO" Paweł Piec
65-124 Zielona Góra, ul. Wołodyjowskiego 8
tel.: +48 603 469 561, fax: +48 68 41 43 222, e-mail: pawel@pawlo.sklep.pl

Transistors«) bei der Fachzeitschrift »Proceedings of the Institute of Electrical and Electronics Engineers« einreichen wollte, wurde dies vom Herausgeber kurzerhand abgelehnt[13]".

Kiedy Matare przygotował swój artykuł pt.„Mało znana historia tranzystora" dla prestiżowego miesięcznika „Proceedings of the Institute Electrical und Electronics Engineers" (Prezentowanie oryginalnych badań mających znaczenie w rozwoju elektroniki), spotkała go największa klęska życiowa. Rada naukowa po prostu odrzuciła artykuł w całości z bardzo prostej przyczyny. Były tam tylko wspomnienia z Lubiąża nie poparte żadnymi dowodami naukowymi.

W tym samym numerze Die Welt zamieszczono anons, że H. Matare zostanie wręczona honorowa nagroda niemieckiej Fundacji Eduarda Rheina w Hamburgu. Był to Pierścień Fundacji, który wręczony został H. Mataremu w 2008 roku. W uzasadnieniu podano, że wyróżnienie przyznano za wzmacniacz tranzystorowy z 1948 roku oraz 60 lat pracy naukowej. Niektórzy członkowie Fundacji próbują tej nagrodzie nadawać nawet rangę nieoficjalnego Nobla w stosunku do„zapomnianych" osobistości ze świata nauki i kultury.

Trochę to dziwne jak się spojrzy na listę laureatów tej nagrody. Tuż przed H. Matarem takie wyróżnienie otrzymali np. Walentyna Tiereszkowa (za loty kosmiczne) czy dyrygent Herbert von Karajan[14]. <

Romuald Owczarek

PRZYPISY

[1] Joanna Lamparska „Klasztor na tranzystorach" http://historia.focus.pl/wojny/lubiaz-na tranzystorach-1207?
[2] Tomasz Bonek „Tajemnica dolnośląskiego Lubiąża rozwiązana. To tu naziści pracowali nad wynalazkiem, który zrewolucjonizował świat" http://wiadomosci.onet.pl/tylko-w-onecie/tajemnica-dolnoslaskiego-lubiaza-rozwiazana-to-tu-nazisci-pracowali-nad-wynalazkiem/d8t2xp
[3] Tomasz Bonek, Marta Ringart-Orłowska „Lubiąż. Klasztor mrocznych tajemnic" Wyd. Replika 2015
[4] https://pl.wikipedia.org/wiki/Tranzystor
[5] https://pl.wikipedia.org/wiki/Julius_Edgar_Lilienfeld
[6] Katarzyna Ostasiewicz „Geniusz i megaloman" www.wiz.pl/8,271,html
[7] https://en.wikipedia.org/wiki/Heinrich_Welker
[8] https://de.wikipedia.org/wiki/Naxos_(Radardetektor)
[9] Katarzyna Ostasiewicz „Geniusz i megaloman" www.wiz.pl/8,271,html
[10] http://kopalniawiedzy.pl/Morgan-Sparks-tranzystor-William-Shockley-John-Bardeen-Walter-Brattain,4800 dostęp 22.10.2016
[11] https://pl.wikipedia.org/wiki/Uniwersytet_Techniczny_w_Delft
[12] Kai Christian Handel „Anfänge der Halbleiterforschung und -entwicklung. Dargestellt an den Biographen von vier deutschen Halbleiterpionierem" Aachen 1999, str. 239 – 259.
[13] „Der Deutsche Erfinder der Transistors" Die Welt 14.11.2008 https://www.welt.de/welt_print/article2721871/Der-deutsche-Erfinder-des-Transistors.html,
[14] https://en.wikipedia.org/wiki/Eduard_Rhein_Foundation

REKLAMA

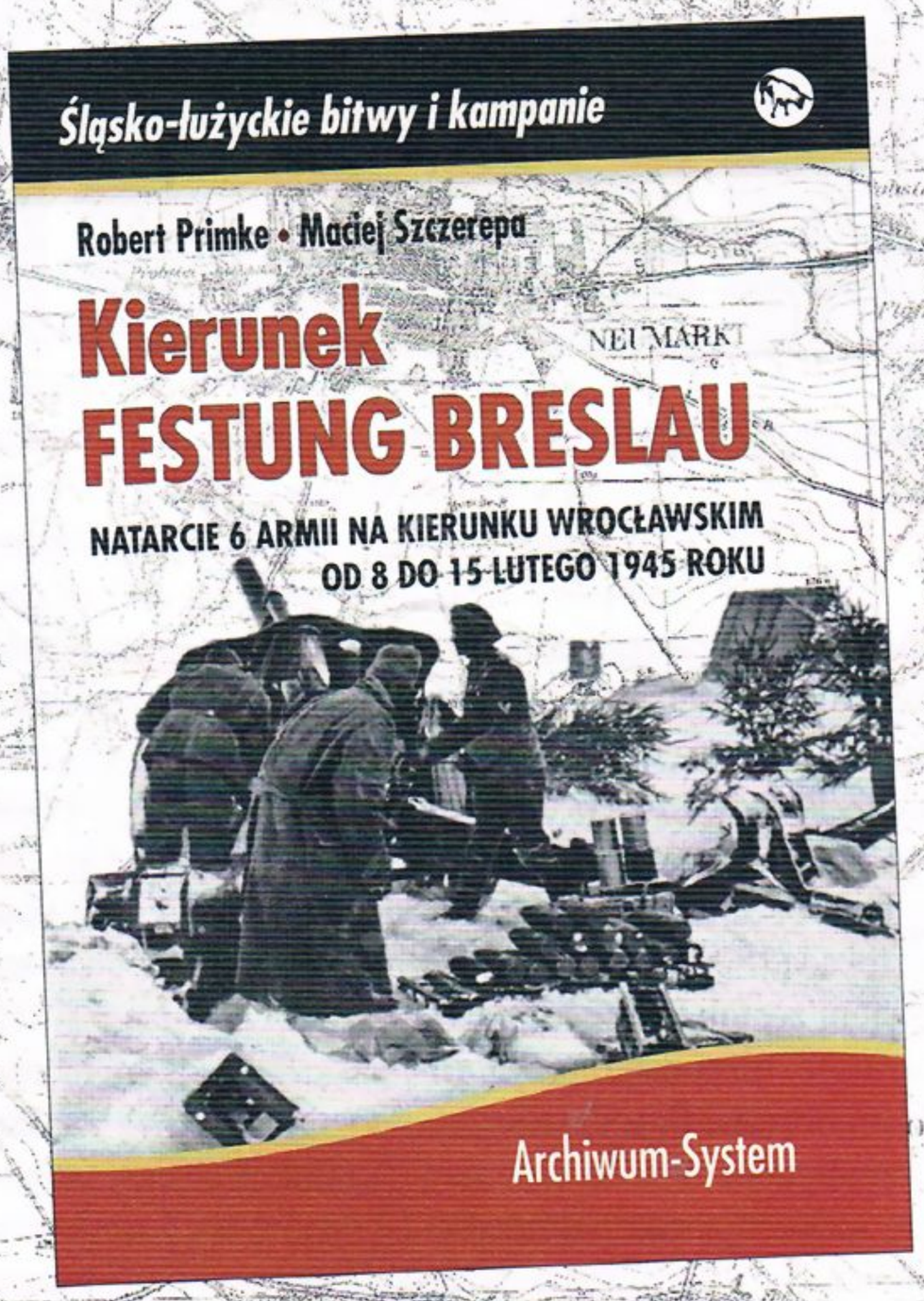

Kierunek Festung Breslau

to szczegółowa relacja opisująca szlak bojowy 6 Armii gen. Władymira Głuzdowskiego i wspierającego ją 7 Korpusu Zmechanizowanego Gwardii od przyczółku malczyckiego do bram Wrocławia. Autorzy dzień po dniu, a czasami nawet godzina po godzinie ukazują przebieg walk w rejonie Malczyc, Środy Śląskiej, Kostomłotów, Kątów Wrocławskich, Kobierzyc, dzisiejszych dzielnic Wrocławia: Leśnicy, Strachowic, Muchoboru Wielkiego, Oporowa i wielu innych miejscowości.

Do nabycia w sklepie internetowym

www.archiwum-system.pl

OBÓZ 1 PUŁKU LEGII POZNAŃSKIEJ ODNALEZIONY!

OLAF POPKIEWICZ

Żołnierze Sułkowskiego brali udział w oblężeniu pruskiego Kołobrzegu w 1807 roku i obozowali na wschód od miasta. Teraz wiemy dokładnie gdzie.

W toku walk toczonych w latach 1806–1807, wojska francuskie zajęły większość twierdz Królestwa Prus, z wyjątkiem Grudziądza, Kłodzka, Koźla, Srebrnej Góry i Kołobrzegu. Ich opór stał się dla Prusaków symbolem walki z francuskim najeźdźcą.

Kołobrzeg będący portem morskim, znajdując się na dalekich tyłach armii Napoleona, był wymarzonym przyczółkiem dla desantu wojsk IV koalicji antyfrancuskiej. Obroną tego miasta dowodził pułkownik Ludwik Moritz von Lucadou, a po nim od kwietnia 1807 roku major August Neithard von Gneisenau. Na tle defetyzmu, który niczym gangrena trawił morale poddanych króla pruskiego, ci dwaj dowódcy jawili się jako bastiony lojalności. Od momentu, kiedy 9 listopada 1806 roku z kwitkiem odprawieni zostali francuscy parlamentariusze, rozpoczęto przygotowania do obrony. Przede wszystkim wzmocniono obsadę twierdzy, a także modernizowano umocnienia polowe.

Przepiękny, bukowy las skrywa tajemnicę sprzed 200 lat.

Oblężenie 1807

Miasto leżące na terenie nizinnym i podmokłym było stosunkowo łatwe do obrony. Strzegły go wysunięte daleko poza obręb murów miejskich silne fortyfikacje ziemne. Po wschodniej stronie Kołobrzegu, na wzniesieniu górującym nad Lasem Kołobrzeskim, obrońcy usypali Fort Wilczy, umocniono lasek Załęże, który bronił dostępu do portu. Celem oczyszczenia przedpola dla artylerii spalono przedmieścia Lęborskie i Radzikowskie. Szczególnie dobrym posunięciem obrońców było opuszczenie grodzi na Parsęcie, w wyniku czego otaczające miasto pola zniknęły pod wodą, czyniąc je niemożliwymi do sforsowania przez szturmujących.

Francuzi pod Kołobrzeg przybywali niespiesznie. Przywykły do gremialnie poddających się Prusaków Napoleon nie traktował miasta nad Parsętą poważnie. A powinien, bo zanim stanęły pod nim francuskie siły oblężnicze, 12 stycznia 1807 roku Kołobrzeg stał się więzieniem dla schwytanego w Choszcznie dowódcy oblężenia, generała Claudea Victora. Kolberg stał się bazą wypadową dla

fot. Olaf Popkiewicz, Aleksandra Kurzman

W czasie oblężeń doby napoleońskiej prowadzono odzysk wystrzelonych kul armatnich. Pociski wystrzelone przez Prusaków były skrzętnie zbierane przez żołnierzy strony przeciwnej i odsyłane z powrotem do twierdzy drogą powietrzną.

legendarnej jednostki ochotniczej dowodzonej przez kapitana Ferdinanda Schilla, którego brawurowe działania podjazdowe spędzały Francuzom sen z powiek. Jednym słowem – Kołobrzeg był swoistym przytuliskiem dla wszystkich, którym nie w smak była francuska okupacja. A takich w Królestwie Prus nie brakowało.

Dopiero w lutym 1807 roku pod miastem stanęły siły włosko-francuskie pod dowództwem generała Piotra Teulie. Jego oddziały nie dość że były mniej liczne od załogi twierdzy kołobrzeskiej, to na domiar złego nie dysponowały artylerią oblężniczą. Po kilku potyczkach, w których obydwie strony mierzyły swe siły, oblegającym udało się ustanowić kordon stanowisk przygotowanych do… obrony przed wycieczkami obrońców.

11 kwietnia 1807 roku zniecierpliwiony brakiem postępów cesarz wysłał pod oblężone miasto marszałka Edwarda Mortiera wraz z elementami jego VIII korpusu celem „zrobienia porządku z tą małą twierdzą". Francuzi zaczęli traktować broniący się Kołobrzeg odrobinę poważniej, jednak w dalszym ciągu kontyngent oblegających zarówno pod względem liczebności, jak i uzbrojenia nie był w stanie zagrozić murom miejskim. Gneisenau preferował aktywną taktykę obrony, przez co otaczający Kołobrzeg Francuzi i Włosi czuli się trochę jak Rzymianie blokujący wioskę Asterixa i Obelixa – chwilami nie wiadomo było, kto właściwie kogo oblega…

Siły francuskie skupiły się na szturmowaniu usytuowanego na wschodnim przedpolu dzieła obronnego zwanego Fortem Wilczym. Fort ten w toku trwających ponad miesiąc walk przechodził z rąk do rąk, by 11 czerwca zostać ostatecznie zajętym przez oblegających. Zajęcie Wolf Schanze, okupione zostało śmiercią generała Piotra Teulie. Zdobycie fortu było wszystkim, na co było stać oblegających miasto Francuzów i w niczym nie przybliżyło ich do zajęcia Kołobrzegu.

W ten właśnie sposób minęły cztery miesiące oblężenia. Napoleon zajęty walką z Rosjanami poprzestawał na blokadzie miasta od strony lądu, nie będąc w stanie wyasygnować większych sił niezbędnych do jego zdobycia. To właśnie lekceważący stosunek cesarza do „małej twierdzy" spowodował, >>>

Szczęśliwy znalazca prezentuje jelec od pruskiego tasaka M 1715/44.

W akcji udział wzięli członkowie Fundacji Strażnicy Historii.

www.odkrywca.pl

Plan oblężenia Kołobrzegu. W prawym górnym rogu widoczna fregata szwedzka „Af Chapman" ostrzeliwująca polski obóz.

Kolberg im Jahre 1807.

. Marien-Kirche.
s in Brand stehende
thhaus.
. Spiritus-Kirche.
nigl. Klosterkirche.
ilg. Hospital.
as Königl. Kloster.
rovianthaus.
er im Feuer stehende
auhof.
9. Barraken.
10. Lauenburger Thor.
11. Lauenbgr. abgebrannte Vorstadt.
12. St. Georg.-Kirche, woraus eine Schanze gemacht worden.
13. Blockhäuser.
14. Der in Feuer stehende Stadthof.
15. Wolfsberg-Schanze.
16. Pulverhäuser.
17. Polnische Lager.
18. Sächsische Lager.
19. Dorf Bullenwinkel.
20. Französische Lager.
21. Die Mauze.
22. Französ. Vorposten.
23. Preußische Vorposten.
24. Dorf Tram.
25. Marketenderzelte.
26. Französisches Lager.
27. Begräbniß des franz. Generals Theullie.
28. Hohenberg Schanze.
29. Ziegelei.
30. Dorf Neckuien.
31. Altstadt Schanze.
32. Johanneskirche.
33. Dorf Altstadt.
34. Dorf Sellnow.
35. Ein Garten, worin das Denkmal der 8 gebliebenen ital. Offiziere.
36. Dorf Werder.
37. Dorf Spie.
39. Dorf N. Werder.
39. Fichtkamp.
40. Franz. und preuß. Kavallerieattaque.
41. Weißkruch. Schanze.
42. Abgebrannte Gelder-Vorstadt.
43. Gelder-Thor.
44. Ziegeleischanze.
45. Zuckerschanze.
46. Salzberg, worin ein preuß. Lager.
47. Moraitschanze.
48. Maikuhle.
49. Münder Fa
50. Münder Thu
51. Münde.
52. Pfannenschmi
53. St. Nikolaik
che in einer
lag und ab
worden.
54. Stubbenhage

Plan oblężenia Kołobrzegu sporządzony w 1835 roku z naniesionymi polskimi pozycjami.

>>> że miasto nad Parsętą trwało we francuskiej powodzi przez ponad kwartał.

Wyścig po laury

Sytuacja zmieniła się diametralnie po bitwie pod Frydlandem, kiedy to pogrzebana została IV koalicja antyfrancuska. Zagrożenie ze strony Rosji definitywnie zażegnano i pod Kołobrzeg przymaszerowały z dawna oczekiwane posiłki, podwajając siły oblegających. Od tej chwili dowodzący oblężeniem generał Louis Loison mógł rozwinąć skrzydła. Nowe możliwości, jakie się przed nim otworzyły, zrodziły nową taktykę, która za cel ataku obrała zachodnią flankę miasta. Po silnym przygotowaniu artyleryjskim w dniu 1 lipca, francuski szturm spadł na lasek Załęże, zmuszając wroga do odwrotu. Prusacy stracili lewy brzeg Parsęty, a Francuzi podeszli pod fortyfikacje główne miasta. Mimo pogarszającej się z godziny na godzinę sytuacji obrońców, Gneisenau odmówił poddania twierdzy. W odpowiedzi Loison zarządził bombardowanie artyleryjskie. W ciągu jednej nocy z 1 na 2 lipca zabudowa Kołobrzegu ucierpiała bardziej niż w ciągu całego, półrocznego oblężenia.

Można się domyślać, że Loison na wieść o rozmowach pokojowych chciał zebrać laury chwały zdobywcy niepokornego miasta. Z drugiej strony Gneisenau, który nie przejmował się zbytnio losem oblężonego Kołobrzegu, w obliczu rychłego rozejmu dążył do zapewnienia sobie opinii niezłomnego obrońcy królewskiej twierdzy. Efektem owych przeciwstawnych dążeń było silne zdewastowanie miasta w pojedynku, którego motorem były oficerskie ambicje. Kołobrzeg lizał rany przez całe dziesięciolecia, by już nigdy nie powrócić do dawnej świetności. Obydwie strony zaprzestały walki dopiero w wyniku interwencji pośpiesznie przysłanych przez Napoleona i króla Prus egzekutorów rozejmu, którego artykuł trzeci głosił:

„W twierdzach w Kołobrzegu, Grudziądzu oraz Piławie pozostaną

www.odkrywca.pl

rzeczy w takim stanie, w jakim są teraz".

Ten krótki zapis przyczynił się do całkowitego zniszczenia kołobrzeskiego ratusza, pożarów domów i magazynów kupieckich. Czasem pióro bywa silniejsze od miecza…

Jak Polacy oblegali Kołobrzeg

Pośród wielonarodowej mozaiki wojsk oblegających Kołobrzeg był jeden pułk, któremu należałoby się przyjrzeć dokładniej. Chodzi mianowicie o 1 pułk Legii Poznańskiej. Jednostka ta powstała w wyniku ustaleń poczynionych 5 października 1806 roku pomiędzy Napoleonem Bonaparte a generałem Henrykiem Dąbrowskim, które zaowocowały odezwą do mieszkających w zaborze rosyjskim i pruskim Polaków, aby stanęli po stronie „Napoleona Wielkiego". Pokłosiem tych działań było utworzenie trzech polskich legii, których okręgami werbunkowymi był Poznań, Kalisz i Warszawa. 1 pułk Legii Poznańskiej werbowany był w garnizonie gnieźnieńskim, skąd każde 10 domów miało obowiązek wystawić jednego rekruta w wieku od 18 do 24 roku życia. Rekrut stawić się miał zaopatrzony w bieliznę, obuwie oraz miesięczny żołd. O resztę miał zadbać pułk, który sponsorowany był przez 21-letni gołowąsa, księcia Antoniego Pawła Sułkowskiego, ordynata rydzyńskiego. Ów młodociany arystokrata na wieść o napoleońskich przewagach w Wielkopolsce, na złamanie karku galopował z Paryża aż do Rydzyny, gdzie wdział najlepsze szaty i do Poznania wjechał dwa dni przed Cesarzem. Napoleon przez wzgląd na pamięć o słynnym kuzynie księcia, łaskawie przychylił się do propozycji młodzika, dając mu dowództwo nad pułkiem pod warunkiem, że ordynat sam za niego zapłaci.

Pułk werbowany był sprawnie, jednak borykał się z poważnymi brakami w dziedzinie ekwipunku wojskowego. Zabrakło tornistrów i ładownic, a uzbrojenie zaczepne składało się w przeważającej mierze z broni palnej i białej zdobytej na Prusakach. Można się domyślać, że kiesa młodego ordynata nie była bezdenna i intendentura pułku musiała radzić sobie jak mogła, w miejsce tornistrów wydając płócienne worki, nakazując przy tym żołnierzy, aby naboje przenosili w… kieszeniach.

W chwili kiedy kolumny 1 pułku przybyły pod Kołobrzeg, miał on już za sobą zdobycie Tczewa i oblężenie Gdańska. 1190 żołnierzy i 33 oficerów zgrupowanych w dwóch batalionach stawiło się w kwaterze VIII korpusu francuskiego, celem otrzymania wytycznych dotyczących szczegółowych zadań stawianych przed pułkiem. Polacy skierowani zostali na wschodnią rubież pierścienia oblężenia zaciskającego się wokół Kołobrzegu. Mieli kontrolować drogę, która pasem nadmorskich wydm wiodła do Ustronia Morskiego.

Tradycyjnie otrzymaliśmy najgorszy odcinek frontu. To właśnie ową drogą odbywały się pruskie wycieczki z oblężonej twierdzy.

Mapa prototopograficzna okolic Kołobrzegu datowana na 1835 rok przedstawiająca tajemniczą, trapezowatą polanę w sercu Lasu Kołobrzeskiego.

Na domiar złego 30 kwietnia na kołobrzeskiej redzie kotwice rzuciła szwedzka fregata „Af Chapman", której 40 dział skutecznie wspierało oblężony garnizon. Okręt ten dał się we znaki 1 pułkowi Legii Poznańskiej bombardowaniem dokonanym w dniu 15 maja, zmuszając Polaków do przeniesienia obozu poza zasięg artylerii okrętowej, na południowy skraj malarycznego bagna solnego. Aby zapewnić sobie komunikację pomiędzy obozowiskiem a pozycjami strzegącymi plaży, Polacy usypali groblę umożliwiającą przejście przez trzęsawiska. Warunki obozowania odbiły się niebawem na kondycji zdrowotnej żołnierzy. Wybuchła epidemia „febry", która nie ominęła nawet samego księcia.

Trudy walki nasi rodacy umilali sobie w najróżniejszy sposób. Do legendy przeszła patriotyczna demonstracja przeprowadzona przez >>>

www.odkrywca.pl

>>> oficerów i żołnierzy pułku, którzy 3 maja 1807 roku, pod lufami pruskich dział, na kołobrzeskiej plaży, po raz pierwszy w historii obchodzili święto uchwalenia Konstytucji 3 Maja. Inicjatorem obchodów był kapelan pułku Ignacy Przybylski.

Mimo owych przeciwności 1 pułk odznaczył się męstwem w walkach o kołobrzeską twierdzę. Szczególnie dali się we znaki obrońcom Fortu Wilczego, strzegącego północno-wschodniej flanki miasta. Ze względu na aktywny charakter pruskiej obrony, żołnierze Sułkowskiego ciągle niepokojeni byli atakami obrońców. Apogeum tego stanu rzeczy nastąpiło w momencie, kiedy 3 czerwca 1807 roku nasze posterunki zmuszone było odpierać desant morski nieprzyjaciela.

200 lat później

Od czasu kiedy kolumny żołnierzy generała Loisona ze spuszczonymi na kwintę nosami wycofywały się spod Kołobrzegu, w Parsęcie upłynęło naprawdę dużo wody. Niepotrzebne już nikomu szańce i reduty zarosły wydmuchrzycą piaskową i drzewami, zalane przez obrońców przedpola miasta zapełniły się domami. Wraz z rozbudową Kołobrzegu, zbryzgany krwią setek żołnierzy Wilczy Szaniec przemienił się w amfiteatr, a suchy, wydmowy piasek pochłonął kule i granaty miotane przez artylerię obydwu stron. Dziś mało który z turystów odwiedzających tę uzdrowiskową miejscowość pamięta o Polakach, którzy u boku Napoleona oddawali swe życie w nadziei, że owa danina krwi przybliży moment odzyskania przez Polskę niepodległości.

Tę pamięć postanowił przywrócić mój kolega Robert Maziarz, związany z Kołobrzegiem od dziecka. Sposób, w jaki chciał to uczynić, był tak bliski memu sercu, że nie byłem w stanie odmówić, kiedy zaproponował mi udział w owym eksploracyjno-archeologicznym przedsięwzięciu.

Można utrzymywać świadomość narodową na wiele sposobów.

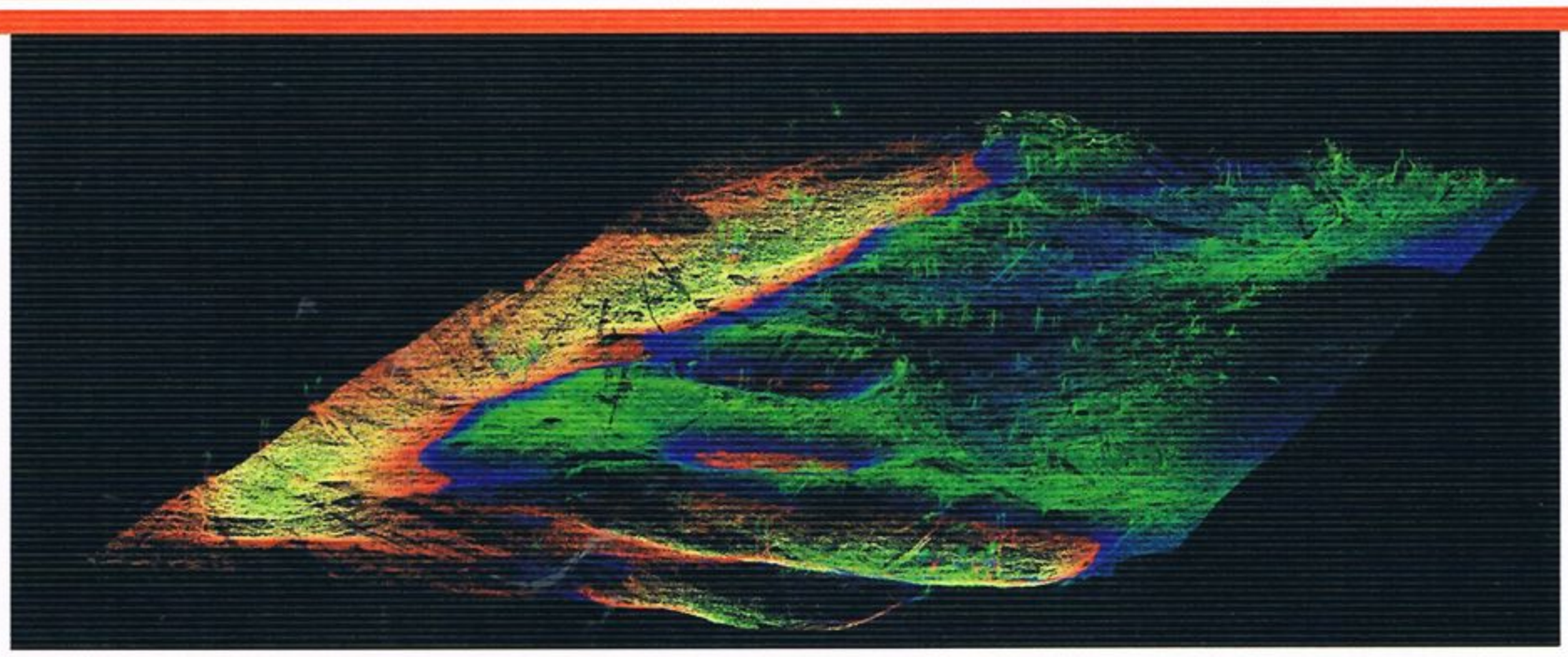

Skaning laserowy z chmury punktów wydobył południowo-wschodni narożnik.

Powszechnie preferowaną metodą są przemówienia na stojaka w takt patriotycznych pieśni. Propozycja Roberta była dużo ciekawsza. Zawierała wszystko, co lubię, czyli historyczne łamigłówki, pisk wykrywaczy i ziemię za paznokciami. Ów kołobrzeski pasjonat historii zapragnął ni mniej ni więcej tylko odnaleźć ukryty w ostępach Lasu Kołobrzeskiego obóz, w którym żołnierze księcia Sułkowskiego zmagali się z malarią i Freikorpusem.

Chwilę trwało, zanim siedząc w otoczeniu wspaniałych pamiątek kołobrzeskiej historii, jakie Robert zgromadził w swoim muzeum, wdrożyłem się w temat, któremu ów pasjonat historii poświęcił całe lata.

Z nosem w mapach

Robert dotarł do map, które nosiły tytuł „Plan der Festung Kolberg im Jahre 1807" i sporządzone zostały siedemnaście lat po oblężeniu. Przedstawiały rozlokowanie jednostek oblegających Kołobrzeg oraz ich stanowiska. Gdzieś na wschodniej rubieży oblężenia, opodal drogi na Koszalin czerwieni się prostokąt ze strzałką, podpisany jako „1 Rgt Polen". Na innym arkuszu, w podobnej lokalizacji naniesiona była adnotacja „Polnisches Lager". Ten trop trzeba było podjąć. Symbole na owych mapach nie sprawiały wrażenia precyzyjnie naniesionych i choć było już wiadomo, że obóz winien znajdować się gdzieś pomiędzy bagnami solnymi a szosą na Koszalin, to w dalszym ciągu obszar poszukiwań był zbyt duży, aby rozpocząć poszukiwania w terenie. Wtedy w ręce Roberta wpadła mapa topograficzna okolic Kołobrzegu datowana na 1835 rok. W miejscu, gdzie spodziewał się odnaleźć adnotację o polskim obozie, był tylko las i łysiejąca pośród zieleni tajemnicza polana…

Teren Reduty Sułkowskiego nadziany jest kulami muszkietowymi jak dobra kasza skwarkami.

Przyszła chwila na oderwanie się od starych map i sięgnięcie po zdobycze XXI-wiecznej techniki. Technologia „Light Detection and Ranging" od pewnego czasu pomocna jest zarówno archeologom, jak i pasjonatom historii. LiDaR działa podobnie jak radar, tyle że wykorzystuje światło, nie zaś mikrofale. Efektem skanowania terenu za pomocą tego swoistego połączenia teleskopu i lasera są mapy, które odpowiednio przetworzone, pomijają budynki czy szatę roślinną, pozostawiając gołe ukształtowanie terenu. Powierzchnia ziemi widoczna przez filtry cieniowania zaczyna przypominać księżycową pustynię. Kiedy Robert pokazał mi okolicę przedstawioną na XIX-wiecznej mapie jako potencjalne miejsce polskiego obozu, przetworzoną przez skaning laserowy na współczesnych zdjęciach lotniczych, od razu pojąłem, że mamy do czynienia z wielkim odkryciem. Na przebiegu starej, leśnej drogi ujrzałem układające się w trapez nasypy, analogiczny kształtem do owej łysej polany przedstawionej na mapie z 1831 roku. Głowa zaczęła szybko pracować; leśna polana zarejestrowana przez kartografa kilkanaście lat po oblężeniu Kołobrzegu i LiDaRowy trapez o wymiarach 109x91x82x85 metra znajdują się dokładnie w tym samym miejscu. Sułkowski przeniósł obóz pułku po bombardowaniu pierwszego miejsca stacjonowania w rejon znajdujący się poza zasięgiem dział fregaty „Af Chapman". To drugie polskie obozowisko zajmowane było aż do zakończenia oblężenia, czyli do lipca 1807 roku. Przez dwa miesiące stały tam namioty, toczyło się życie obozowe ponad tysiąca ludzi. Teren został zadeptany do tego stopnia, że jeszcze siedemnaście lat później ziała tam łysina. Zapragnąłem ujrzeć to tajemnicze miejsce na własne oczy. Robertową „landrynę" pozostawiliśmy na poboczu szosy i dalszą drogę potuptaliśmy z buciorka. Niebawem znaleźliśmy się na grobli, która poprowadziła nas przez bagna ku wzniesieniu nieznacznie górującemu nad okolicą. Rósł tam okazały, bukowy las ocieniający drogę, która skręcała na zachód. W ten sposób dotarliśmy do celu. Południowa część wału rysowała się wyśmienicie i widoczna była gołym okiem, czytelna była też okalająca teren fosa. Mimo że tu i ówdzie dziurawiły ją relikty ziemianek z czasów II wojny światowej, a u podnóża leśnicy wykopali dół na sadzonki, to nie było wątpliwości, że ów twór ziemny ewidentnie uczyniony został ręka ludzką. Większą część zamkniętego wałami placu porastał ciemny, świerkowy las. Miejsce wyglądało magicznie. Nie mogłem się doczekać, kiedy zostaną załatwione wszystkie formalności związane z uzyskaniem pozwolenia na szwędanie się po tej okolicy z wykrywaczem.

Guzik z jedynką odnaleziony pod Kołobrzegiem nawiązuje swym kształtem i rysunkiem do guzików noszonych w I Rzeczpospolitej przez 1 szwadron Wielkopolskiej Brygady Kawalerii Narodowej z Gniezna. Korzystając ze zbieżności numerów jednostek, intendenci Sułkowskiego wykorzystali zapasy guzików z czasów przedrozbiorowych.

Wszyscy są w komplecie. Robert, Marek Augustyniak, chłopaki z Fundacji Strażnicy Historii, no i my. Krótka odprawa u podnóża tajemniczego wału. Każdy wie czego szukać. Rozsypujemy się po lesie. Każdy działa na własną rękę. Wiadomo – poszukiwacze to indywidualiści. Robert trwa na punkcie dowodzenia, do którego co chwila docierają nowe znaleziska. Aż przyjemnie patrzeć na jego entuzjazm, kiedy opróżniamy kieszenie. Ta okolica jest zadziwiająco mało zaśmiecona i przeważająca większość znalezisk wprowadza go w stan >>>

Znaleziska z jednodniowej akcji przerosły nasze oczekiwania.

euforii. Ziemia wydaje poskręcane, ołowiane grudki, powstałe w czasie odlewania kul. Jest to pierwszy dowód na to, że w czasach, kiedy używano broni odtylcowej, znajdował się tutaj obóz wojskowy. Drugim, równie wymownym dowodem, są trzy szpunty od beczek na wino. Z rozpościerającego się u podnóża wału bagienka udaje się wydobyć trzy 24-funtowe kule armatnie. Taki wagomiar pocisków miotała szwedzka fregata „Af Chapman", która dała się we znaki naszym żołnierzom. Zaraz obok wydłubuję z błota mosiężny jelec tasaka pruskiego M 1715. Co chwila wyskakują z ziemi ołowiane kule zgodne z kalibrem pruskich karabinów, zdecydowana większość z nich nie była wystrzelona. Polski pułk w przeważającej mierze uzbrojony był w zdobyczną broń pruską. Jako potwierdzenie informacji o niedoborach ładownic w polskich szeregach wykopujemy emblematy z pruskich „patronaszy" z usuniętymi mocowaniami. Być może zdobyczne ładownice, po odcięciu monogramu wrogiego władcy przydały się naszym żołnierzom. Są też akcenty francuskie; oprócz kul do słynnych karabinów AN IX, odnajdujemy guziki napoleońskich pułków, które nigdy nawet nie przechodziły koło Kołobrzegu. Trafia się jeden złocony guzik „ancien regime". Ciekawym znaleziskiem są okucia od francuskich akselbantów. W samym sercu lasu wydłubujemy z ziemi kilkanaście krajcarów i groszy pruskich z przełomu XVIII i XIX wieku, z których najmłodszy wybity został w 1805 roku. Żołnierze Sułkowskiego pochodzili z Gniezna, które znajdowało się w zaborze pruskim, a na wojnę wyruszyli w 1806 roku, więc obecność takich monet w miejscu, gdzie stacjonowali nie jest niczym dziwnym. Wszystkie te znaleziska wyskakują na obszarze wyznaczonym przez Roberta jako domniemane miejsce obozu polskiego pułku. Udaje się wydobyć kilkadziesiąt przedmiotów wskazujących na stacjonowanie w tym miejscu wojska, którego uzbrojenie, umundurowanie i oporządzenie stanowiło wypadkową broni i barwy pruskiej i francuskiej doby wojen napoleońskich. Wtedy przychodzi czas na wisienkę na torcie. Jest wykonana z cyny i ma kształt guzika, na którym widnieje wymodelowana staroświeckim krojem cyfra „1". Czyżby były to guziki 1 pułku Legii Poznańskiej? Robert cieszy się jak dziecko – reduta Sułkowskiego została odnaleziona!

Miejmy nadzieję, że w chwili, kiedy niniejszy tekst ukaże się na łamach „Odkrywcy", przy Reducie stać już będzie głaz upamiętniający miejsce, w którym żyli, walczyli i umierali za Polskę żołnierze 1 Pułku Legii Poznańskiej. <

Olaf Popkiewicz
Poszukiwacz, który został archeologiem, redaktor i prowadzący program Poszukiwacze Historii.

REBIS

Zapraszamy do salonów empik

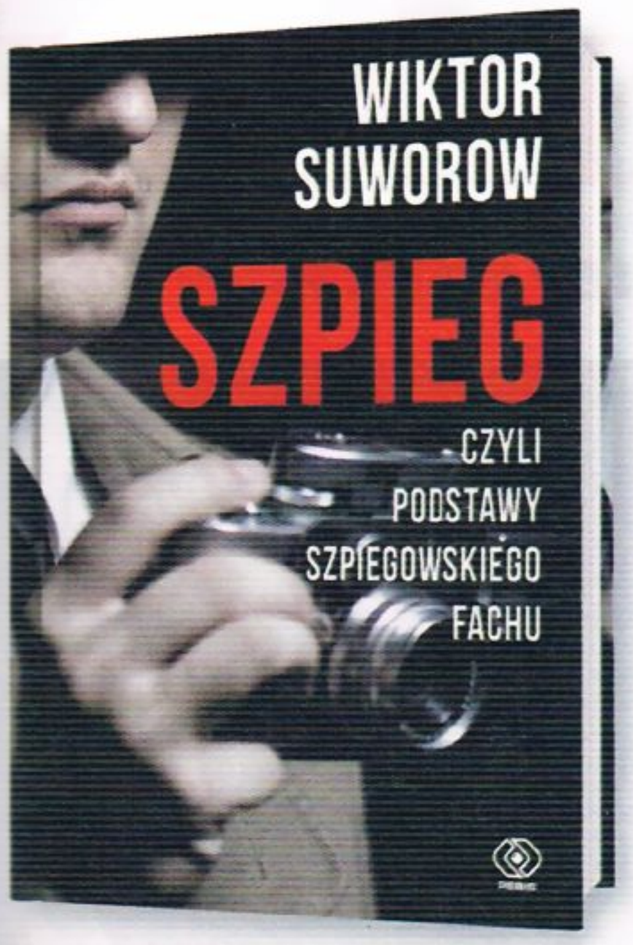

Wiktor Suworow jak zwykle w świetnej formie!
oskonałe uzupełnienie AKWARIUM – największego hitu tego autora.

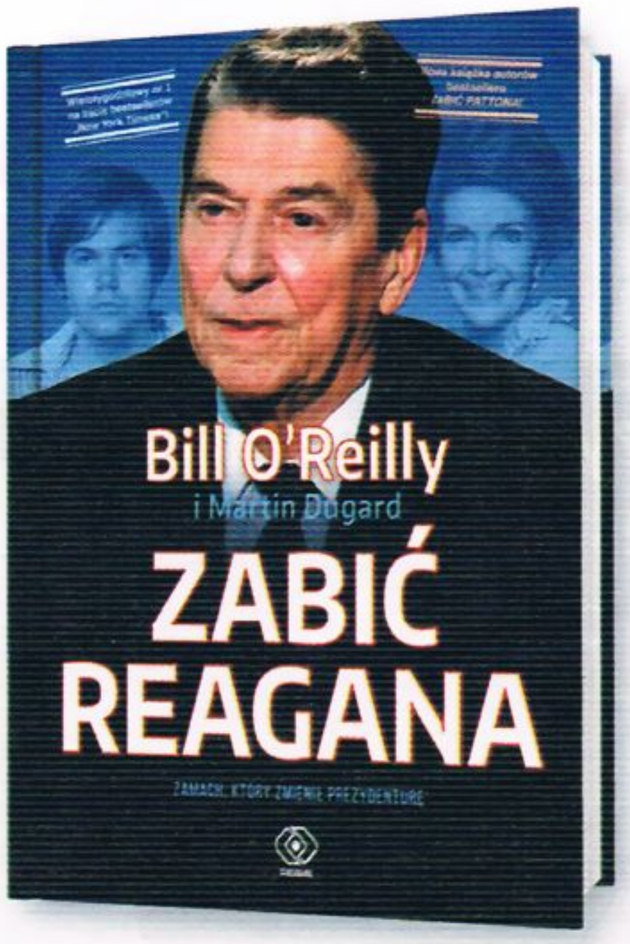

Wielotygodniowy nr 1 na liście bestsellerów „New York Timesa"!
Nowa książka autorów bestselleru ZABIĆ PATTONA! Najbardziej oczekiwana z serii książek O'Reilly'ego i Dugarda!

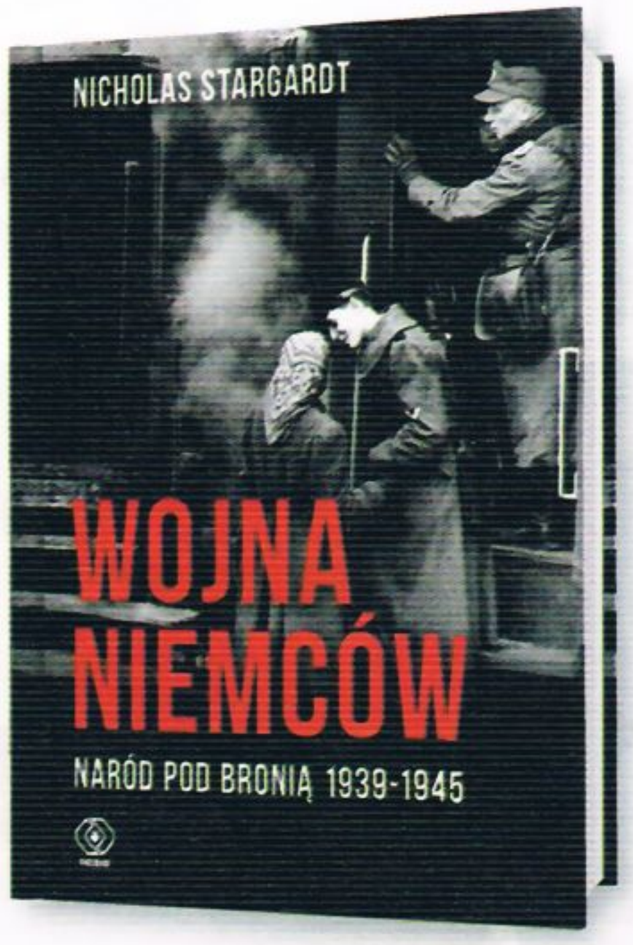

Jeszcze nikt w ten sposób nie napisał o ludziach, którzy rozpętali najbrutalniejszą wojnę wszech czasów.

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

FB/DWREBIS

www.rebis.com.pl

poleca radio ZET

Nieznana twarz tyrana przedstawiona w całkiem nowy sposób. Rozmowa wciąga od pierwszych stron. Józef Stalin zdradza największe sekrety. Zabiera nas do swojej sypialni, zdradza pikantne szczegóły swoich stosunków z kobietami, daje nam posmakować swojego ulubionego wina i pokazuje, jaki jest naprawdę. Tak mocnej pozycji jeszcze nie było!

książka dostępna również jako: e-BOOK

HISTORIA DO RZECZY · HISTORY · HISTORIA.ORG.PL · ODKRYWCA · II ŚWIATOWA · DEMOTYWATORY.PL · NIESTATYSTYCZNY

SKRZYNIE KAPITANA

MACIEJ BARTKÓW

Funkcjonariusze WUBP uzyskali pewność, że kpt. Reuter nie kłamie i jest w stanie wskazać w terenie miejsca ukrycia depozytu.

Zanim jednak do zaplanowanego wyjazdu doszło, kapitana Reutera poddano dalszym przesłuchaniom, mającym na celu wydobycie od niego jak najwięcej informacji, dotyczących interesującego dolnośląskich ubeków tematu. Jak się okazuje Dolny Śląsk nie był jedynym miejscem, gdzie Alfred Reuter organizował zaplecze dla mających walczyć na tyłach frontu dywersantów. Wcześniej, w okresie od stycznia do czerwca 1944 roku, prowadził tego typu działalność na terenie Łotwy i Litwy. Jak zeznał utworzono tam 130 magazynów trojakiego rodzaju:

a) „magazyny szynowe" – z materiałami wybuchowymi i materiałem zapalającym do wysadzania torów;

b) „magazyny broni" – do przechowywania karabinów, karabinów maszynowych, pistoletów, granatów ręcznych i amunicji dla grupy złożonej z 15–20 ludzi;

c) „magazynów materiałów wybuchowych" – do wysadzania składów materiałów pędnych, mostów, itp. – łącznie ok. 180 kg.

Przez chwilę Alfred Reuter operował także na terenie Górnego Śląska, gdzie tylko częściowo udało się zrealizować postawione przed nim zadanie. W południowo-wschodniej części tego regionu założono 6 magazynów, w których ukryto 10–12 skrzyń o wymiarach 30 x 40 x 50 cm, zawierających materiały wybuchowe. Broń nie została zakopana, gdyż zmarznięta ziemia nie pozwalała na przygotowanie odpowiednich kryjówek, a co ważniejsze, nie zezwalała na właściwe zamaskowanie skrytek.

W trakcie kolejnego przesłuchania Alfred Reuter zeznał także, że za całość operacji ukrycia skrzyń na Dolnym Śląsku odpowiadał niejaki Ramdorh, który również magazynować miał w okolicach Lądka Zdroju broń, materiały wybuchowe, amunicję i żywność. Jak udało mi się ustalić w innych źródłach, porucznik Hans Otto Ramdorh to także postać nietuzinkowa i faktycznie związana z akcją tworzenia tajnych skrytek na Dolnym Śląsku. Również i on służył w FAK, gdzie zajmował się szkoleniem antysowieckiej partyzantki w krajach bałtyckich i miał nawet kilkakrotnie współpracować z samym Otto Skorzenym. Jak podaje Grzegorz Bębnik w książce pt: „Sokoły kapitana Ebbinghausa", Hans Otto Ramdorh w 1942 roku był już ekspertem do spraw działań sabotażowo-dywersyjnych przy dowództwie 17. Armii. W tym charakterze opracował on memorandum zatytułowane „Doświadczenia przy formowaniu i użyciu w akcji oddziałów bojowych i sabotażowych". Dokument ten świadczy o tym, że dokonania Ramdohra w tym zakresie nie ograniczyły się wyłącznie do studiowania kwestii teoretycznych, ale także wyraźnie wskazywały na doświadczenia wyniesione zarówno z wcześniejszej służby w freikorpsie, jak i z samodzielnego dowodzenia operującymi poza linią frontu grupami dywersyjnymi, złożonymi przede wszystkim z byłych jeńców sowieckich. Od listopada 1944 roku pracować miał już w ramach dowodzonego przez kapitana Alfreda Reutera Frontaufklärungskommando 212. Sam Ramdorh nie został jednak po wojnie ujęty, natomiast Reuter nie był w stanie określić, nawet w przybliżeniu, miejsc ukrycia przez jego oddział skrzyń dla dywersantów. Co istotne, w dalszej części przesłuchania, Alfred Reuter zeznał, że na terenie powiatu kłodzkiego tego samego rodzaju działalność przygotowywał „niejaki porucznik Süss (oberleitnant) należący do jednostki wojskowej Frontaufklarungskomando nr 206".

Mjr Jan Miętki, dowódca Pułku KBW we Wrocławiu eskortującego w terenie Alfreda Reutera.

fot. archiwum red., IPN

„Wymienionego Süssa znałem jeszcze z okresu wojny, ponieważ należał do tej samej formacji i będąc w marcu 1945 roku w Bad Reinerz, spotkałem się z nim, poinformował mnie o swoim zadaniu na tamtejszym terenie, które pokrywało się z moim zadaniem, po czym w trakcie

REUTERA

CZĘŚĆ 3

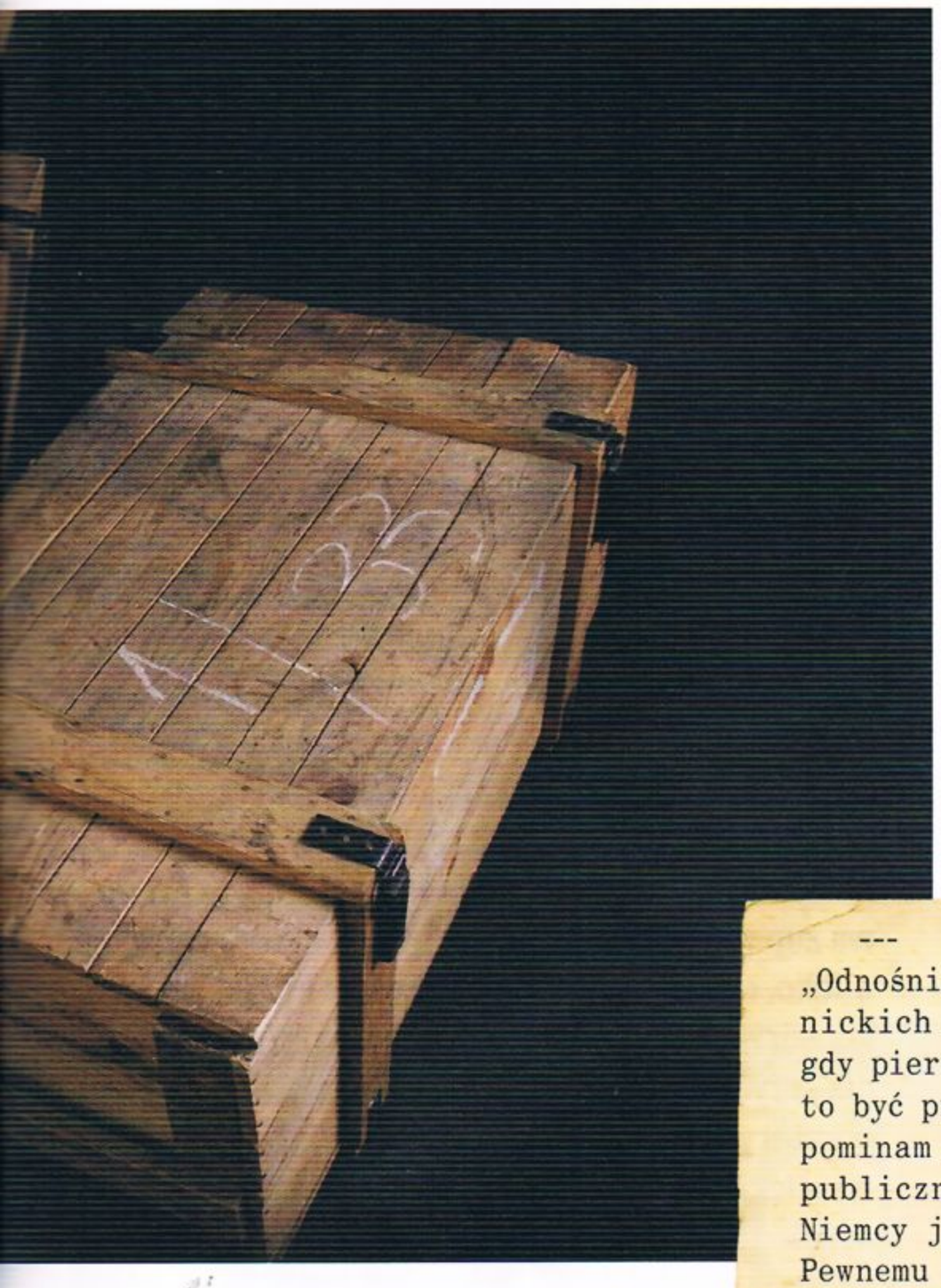

rozmowy ujawnił mi, że zmagazynował on broń, amunicję oraz różne rzeczy w górach zwanych Heuscheurgebierge [Góry Stołowe – przyp. red], bliżej jednak miejsc nie określał mi. (...) Ile grup wchodziło pod jego dowództwo lub jaką ilość miał ludzi, o tym nie jest mi wiadomym".

Dysponując zatem sporą wiedzą i bogatym materiałem śledczym, dolnośląscy funkcjonariusze UB rozpoczęli przygotowania do wyjazdu w teren.

Pod silną eskortą

Do wyjazdu specjalnej grupy operacyjnej dolnośląskiego WUBP na teren powiatu bystrzyckiego dochodzi 19 kwietnia 1950 roku. Zgodnie z przekazanym przez Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego nakazem, aby „wymienionego transportować każdorazowo pod silną eskortą, z zachowaniem jak najdalej idących środków ostrożności", w akcji uczestniczy także 30 żołnierzy KBW, dowodzonych osobiście przez dowódcę pułku, oraz 2 oficerów. Pierwsze wskazania Reutera nie przynoszą jednak sukcesu. Okazało się, że w miejscu, w którym miały zostać ukryte skrzynie, natrafiono jedynie na doły, z których wcześniej skrzynie zostały wyciągnięte. Według przypuszczenia wrocławskich ubeków, zostały one odnalezione przypadkowo przez robotników leśnych, którzy niedawno w tym miejscu karczowali las. Według wyjaśnień Reutera, miało znajdować się tam około 4–5 skrzyń zawierających wyłącznie żywność. Taki fakt potwierdzać może, przytaczane już w części I, doniesienie tajnego współpracownika o ps. „Robert", jakie ten przekazał organom bezpieczeństwa publicznego w grudniu 1950 roku:

„Odnośnie wojskowych bunkrów w lasach dusznickich dowiedziałem się dopiero po tym, gdy pierwsze bunkry były odnalezione. Miały to być przeważnie bunkry żywnościowe. Przypominam sobie, że po dojściu do wiadomości publicznej o istnieniu tych bunkrów, tak Niemcy jak i Polacy przeszukiwali te lasy. Pewnemu polskiemu rolnikowi z Zacisza udało się wejść na minę i urwało mu rękę. (...)".

Funkcjonariusze WUBP we Wrocławiu uzyskali zatem pewność, że kpt. Reuter nie kłamie i faktycznie jest w stanie wskazać w terenie miejsca ukrycia skrzyń. Tak też się stało i już wkrótce mogli zapoznać się z zawartością pierwszej wykopanej skrzyni. Jak się okazało, każdy ukryty skład miał swój punkt orientacyjny. Na ogół były to skały, wysokie drzewa lub też specjalne nacięcia na nich. Same schowki składały się z reguły z 6–7 skrzyń o wymiarach 70 cm dł. 50 cm szer. 40 cm wys. Korzystając ze wskazówek Alfreda Reutera, w ciągu najbliższych czterech dni, dolnośląscy ubecy odnaleźli w górzystych okolicach Stronia Śląskiego 53 skrzynie, które w ostatnich dniach wojny zakopano w tej okolicy. Wszystkie one przeznaczone były dla dywersantów, którzy w tym miejscu mieli operować po wkroczeniu armii sowieckiej.

Odnalezione skrzynie penetrowane były natychmiast po wykopaniu. Trzy z nich, zawierające całkowicie zepsutą żywność – spleśniały chleb i wędlinę w całkowitym rozkładzie – zostały opróżnione na miejscu. Pozostałe, po zabezpieczeniu przewiezione zostały do koszar KBW we Wrocławiu, gdzie poddano je dokładnym oględzinom, a z ich zawartości spisano protokół. Dzięki niemu dzisiaj jesteśmy w stanie odtworzyć szczegółowo wszystko to, co wówczas zostało odnalezione.

Broń, amunicja, żywność

Pierwszy zachowany w archiwach protokół, sporządzony został w obecności dowódcy Pułku KBW mjr. Jana Miętkiego, kpt. Stanisława Siemaszko i ppor. Stefana Miszczyka. Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego we Wrocławiu reprezentował st. referent Władysław Jaromin. Dokument będący spisem „znalezionych rzeczy ukrytych w lasach w okolicy m. Stronie Śląskie, pow. Bystrzyca w dniach 19–22.04.50" przekazano do MBP 15 maja 1950 roku. W jego treści ujęto zawartość 48 drewnianych i 2 blaszanych skrzyń, na którą składały się broń, amunicja, żywność, materiały wybuchowe, granaty, tytoń, świeczki, zapałki, pasta do zębów, kilka butelek wódki, narzędzia, papierosy i pieniądze rosyjskie – czerwieńce. Miało ich się tam znajdować 300 banknotów po trzy czerwieńce i 200 o nominale 5 czerwieńców. Z uwagi jednak na niedokładność w opisie stanów zachowania odnalezionych artefaktów, MBP już wkrótce zażądało przekazania szczegółowych informacji dotyczącej zdolności użytkowania i łącznej wagi przedmiotów, koniecznej dla zorganizowania transportu odszukanych rzeczy do Warszawy. W odpowiedzi Naczelnik Wydziału I WUBP >>>

www.odkrywca.pl

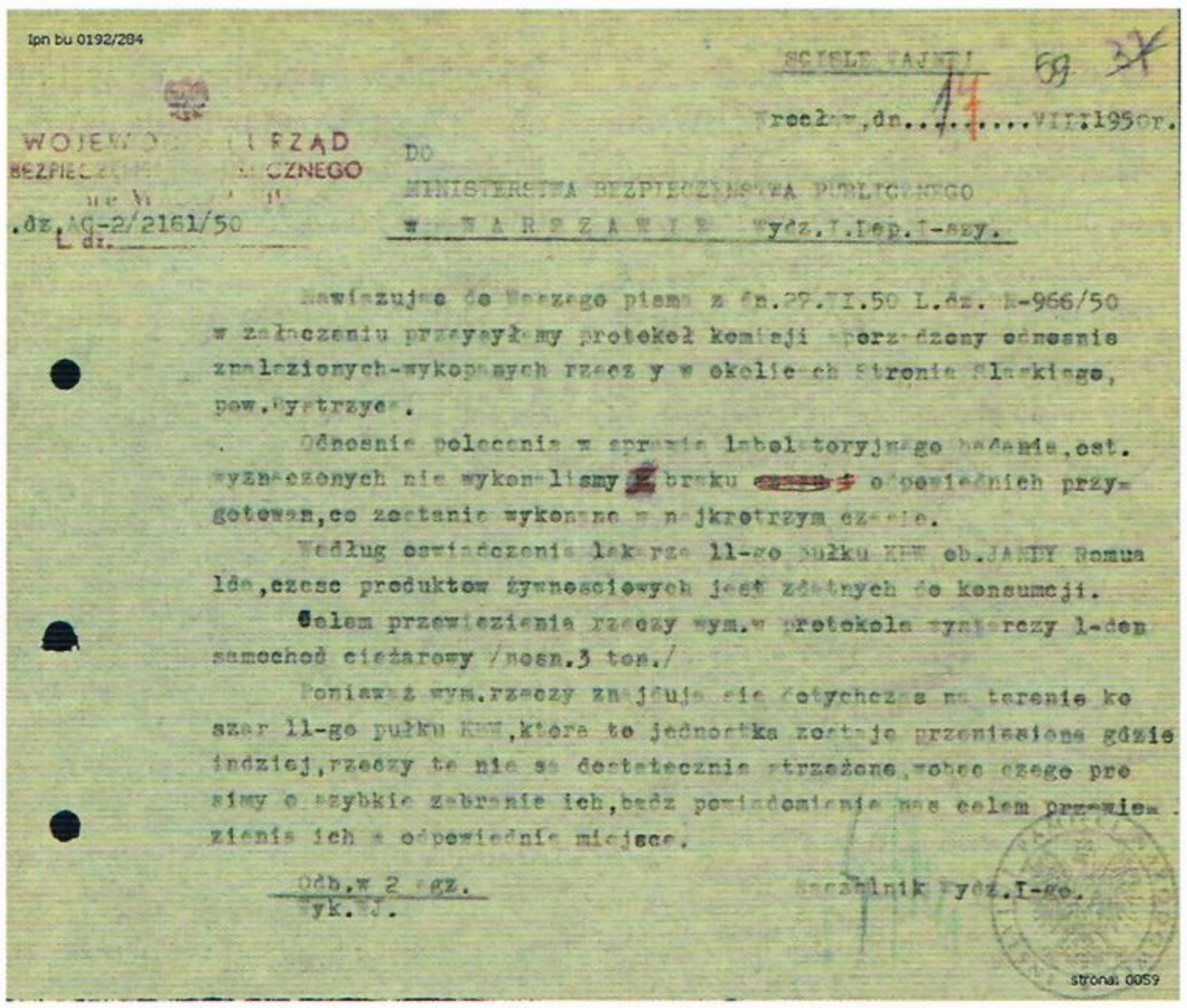
Ipn bu 0192/284

ŚCIŚLE TAJNE! 69 37

Wrocław,dn...7.VIII.195Or.

WOJEWÓDZKI URZĄD BEZPIECZEŃSTWA PUBLICZNEGO

.dz.AG-2/2161/50 L.dz.

DO MINISTERSTWA BEZPIECZEŃSTWA PUBLICZNEGO W W A R S Z A W I E Wydz.I.Dep.I-szy.

Nawiązując do Waszego pisma z dn.29.VI.50 L.dz. k-966/50 w załączeniu przesyłamy protokół komisji sporządzony odnośnie znalezionych-wykopanych rzeczy w okolicach Stronie Śląskiego, pow.Bystrzyca.

Odnośnie polecenia w sprawie laboratoryjnego badania,ost. wyszczególnionych nie wykonaliśmy z braku [redacted] o powiadomimy przygotowaniu,co zostanie wykonane w najkrótszym czasie.

Według oświadczenia lekarza II-go pułku KBW ob.JANDY Romualda,czesc produktow żywnosciowych jest zdatnych do konsumcji.

Celem przewiezienia rzeczy wym.w protokole wyznaczy 1-den samochod ciężarowy /nosn.3 ton./

Ponieważ wym.rzeczy znajdują się tymczasowo na terenie koszar II-go pułku KBW,która to jednostka zostaje przeniesiona gdzie indziej,rzeczy te nie są dostatecznie strzeżone,wobec czego prosimy o szybkie zabranie ich,bądź powiadomienie nas celem przewiezienia ich w odpowiednie miejsce.

Odb.w 2 egz. Wyk.W.J.

Naczelnik Wydz.I-go.

strona: 0059

Pismo Naczelnika Wydziału I WUBP we Wrocławiu do MBP w Warszawie.

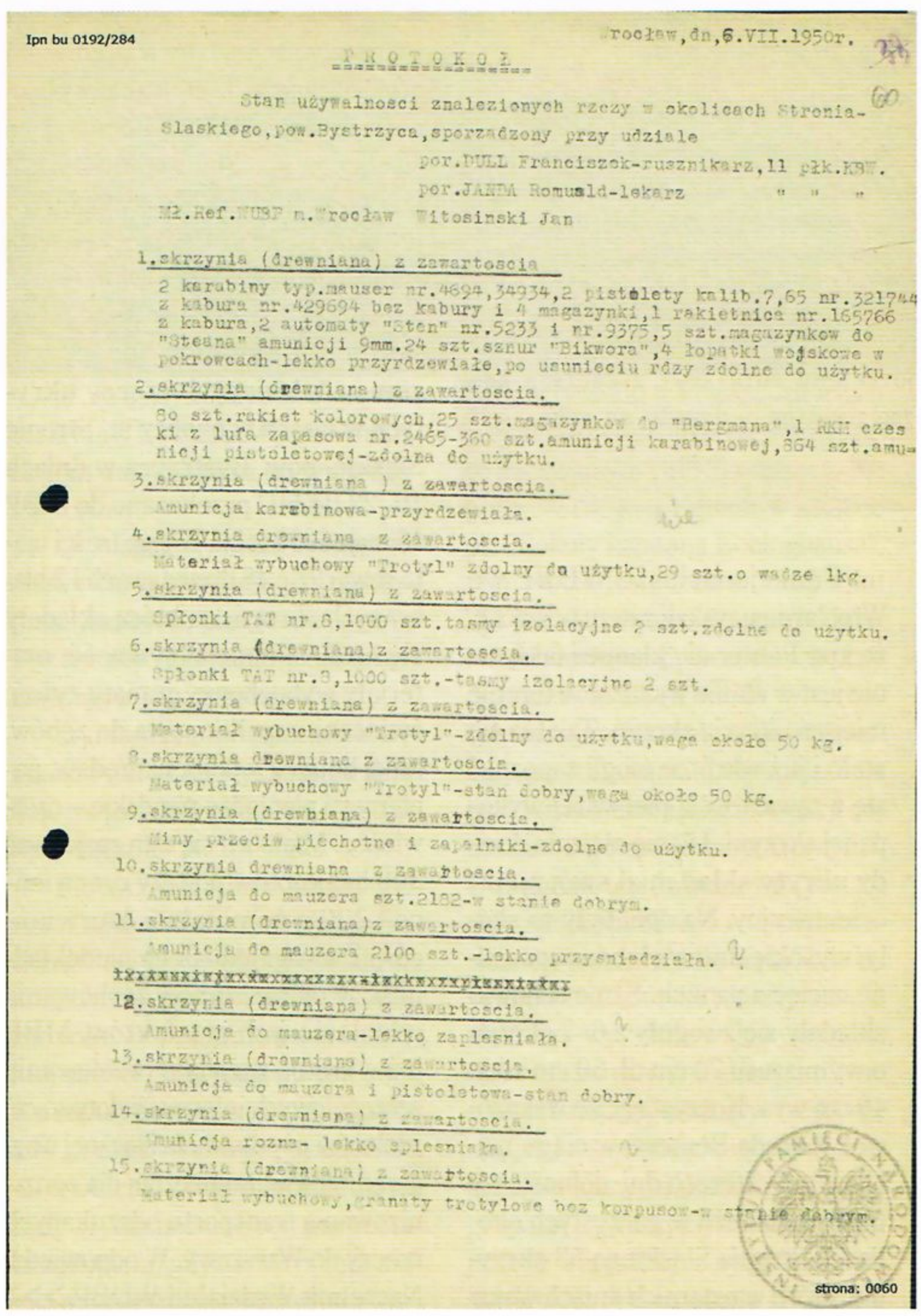
Ipn bu 0192/284

Wrocław,dn,6.VII.1950r.

P R O T O K O Ł

Stan używalności znalezionych rzeczy w okolicach Stronie-Slaskiego,pow.Bystrzyca,sporządzony przy udziale

por.DULL Franciszek-rusznikarz,II pŁk.KBW.
por.JANDA Romuald-lekarz " " "
M2.Ref.WUBP m.Wrocław Witosinski Jan

1.skrzynia (drewniana) z zawartoscia

2 karabiny typ.mauser nr.4894,34934,2 pistolety kalib.7,65 nr.321744 z kabura nr.429694 bez kabury i 4 magazynki,1 rakietnica nr.165766 z kabura,2 automaty "Sten" nr.5233 i nr.9375,5 szt.magazynkow do "Stena" amunicji 9mm.24 szt.sznur "Bikwora",4 łopatki wojskowe w pokrowcach-lekko przyrdzewiałe,po usunieciu rdzy zdolne do użytku.

2.skrzynia (drewniana) z zawartoscia.

80 szt.rakiet kolorowych,25 szt.magazynkow do "Bergmana",1 RKM czesci z lufa zapasowa nr.2465-360 szt.amunicji karabinowej,864 szt.amunicji pistoletowej-zdolna do użytku.

3.skrzynia (drewniana) z zawartoscia.

Amunicja karabinowa-przyrdzewiała.

4.skrzynia drewniana z zawartoscia.

Materiał wybuchowy "Trotyl" zdolny do użytku,29 szt.o wadze 1kg.

5.skrzynia (drewniana) z zawartoscia.

Spłonki TaT nr.8,1000 szt.tasmy izolacyjne 2 szt.zdolne do użytku.

6.skrzynia (drewniana)z zawartoscia.

Spłonki TaT nr.8,1000 szt.-tasmy izolacyjne 2 szt.

7.skrzynia (drewniana) z zawartoscia.

Materiał wybuchowy "Trotyl"-zdolny do użytku,waga około 50 kg.

8.skrzynia drewniana z zawartoscia.

Materiał wybuchowy "Trotyl"-stan dobry,waga około 50 kg.

9.skrzynia (drewniana) z zawartoscia.

Miny przeciw piechotne i zapalniki-zdolne do użytku.

10.skrzynia drewniana z zawartoscia.

Amunicja do mauzera szt.2182-w stanie dobrym.

11.skrzynia (drewniana)z zawartoscia.

Amunicja do mauzera 2100 szt.-lekko przysniedziała.

12.skrzynia (drewniana) z zawartoscia.

Amunicja do mauzera-lekko zaplesniała.

13.skrzynia (drewniana) z zawartoscia.

Amunicja do mauzera i pistoletowa-stan dobry.

14.skrzynia (drewniana) z zawartoscia.

Amunicja rozna- lekko splesniała.

15.skrzynia (drewniana) z zawartoscia.

Materiał wybuchowy,granaty trotylowe bez korpusow-w stanie dobrym.

strona: 0060

>>> we Wrocławiu zameldował, że według oświadczenia lekarzy tylko niewielka część odnalezionej żywności jest zdatna do spożycia, a dla transportu całości wystarczy jego zdaniem samochód ciężarowy o nośności 3 ton. W dalszej kolejności przekazał starannie przygotowane dane dotyczący stanu wszystkich zabezpieczonych przedmiotów. Wedle ustaleń rusznikarza por. Franciszka Dulla całość odnalezionej broni, na którą składały się 2 karabiny typu „mauser", 2 pistolety kal. 7,65, rakietnica, 2 automaty „sten", 2 niekompletne panzerfausty i 1 RKM z zapasową lufą, jest zdatna do użytku. Podobnie ocenili większość zachowanej amunicji, min przeciwpiechotnych, zapalników, trotylu (około 100 kg), spłonek TAT, rakiet do rakietnic, z której jedynie pewna część amunicji do mausera była lekko przyrdzewiała bądź zapleśniała. W dużo gorszym stanie, wedle oceny lekarza por. Romualda Janda, znajdowały się produkty spożywcze. Cały chleb, wszystkie suchary i groch przechowywany luzem pokryte były pleśnią, a groch w butelkach zawilgocony. Podobnie w całości spleśniały czekolada w krążkach, cykoria do kawy i tytoń. Do spożycia nadawała się część sera topionego w tubkach, połowa zup w proszku, 10 butelek wina, skondensowane mleko, cukier w kostkach i część z kilkudziesięciu konserw, przy czym te ostatnie w celu potwierdzenia przydatności poddane miały zostać badaniom laboratoryjnym. Oprócz powyższych, w skrzyniach odnaleziono także: 26 sztuk świeczek długich, 65 sztuk świec nagrobnych, 2 termosy z bliżej nieustalonym proszkiem, 9 butelek z wódką w proszku lub rozcieńczonym miodem, zawilgocone zapałki, 4 sztuki spodni i jesionek, 2 kurtki, 4 kożuchy, 3 czapki cyklistówki, kominiarkę wełnianą i kamizelkę. Odzież, według opisu, była w stanie dobrym i nadawała się do użytku. Podobnie było w przypadku zawartości ostatniej skrzyni, w której znajdowały się przyrządy saperskie, 4 torby skórzane, 3 topory ciesielskie z pokrowcami, nożyce do drutu, obcęgi, 2 świdry, 7 klamer, 2 pilniki, dłutko stolarskie, osełka, 2 ołówki stolarskie i kilogram gwoździ kowalskich. Okazało się także, że rosyjskie czerwieńce, jakie odnaleziono w jednej ze skrzyń, nie stanowiły żadnej wartości, bowiem były wyemitowane w 1937 roku i wycofane już z obiegu. Naczelnik poprosił także o podjęcie decyzji o dalszych losach ujawnionego depozytu. Ta w MBP w Warszawie zapadła już wkrótce. Całą wykopaną broń oraz materiały wybuchowe i amunicję nakazano przekazać Sekcji Uzbrojenia WUBP we Wrocławiu. Rzeczy i produkty nie nadające się do użytku zniszczyć, natomiast ujawnioną odzież i dobrą żywność, a także rosyjskie czerwieńce przesłać do stolicy dla potrzeb Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Do Warszawy przetransportowano także Alfreda

www.odkrywca.pl

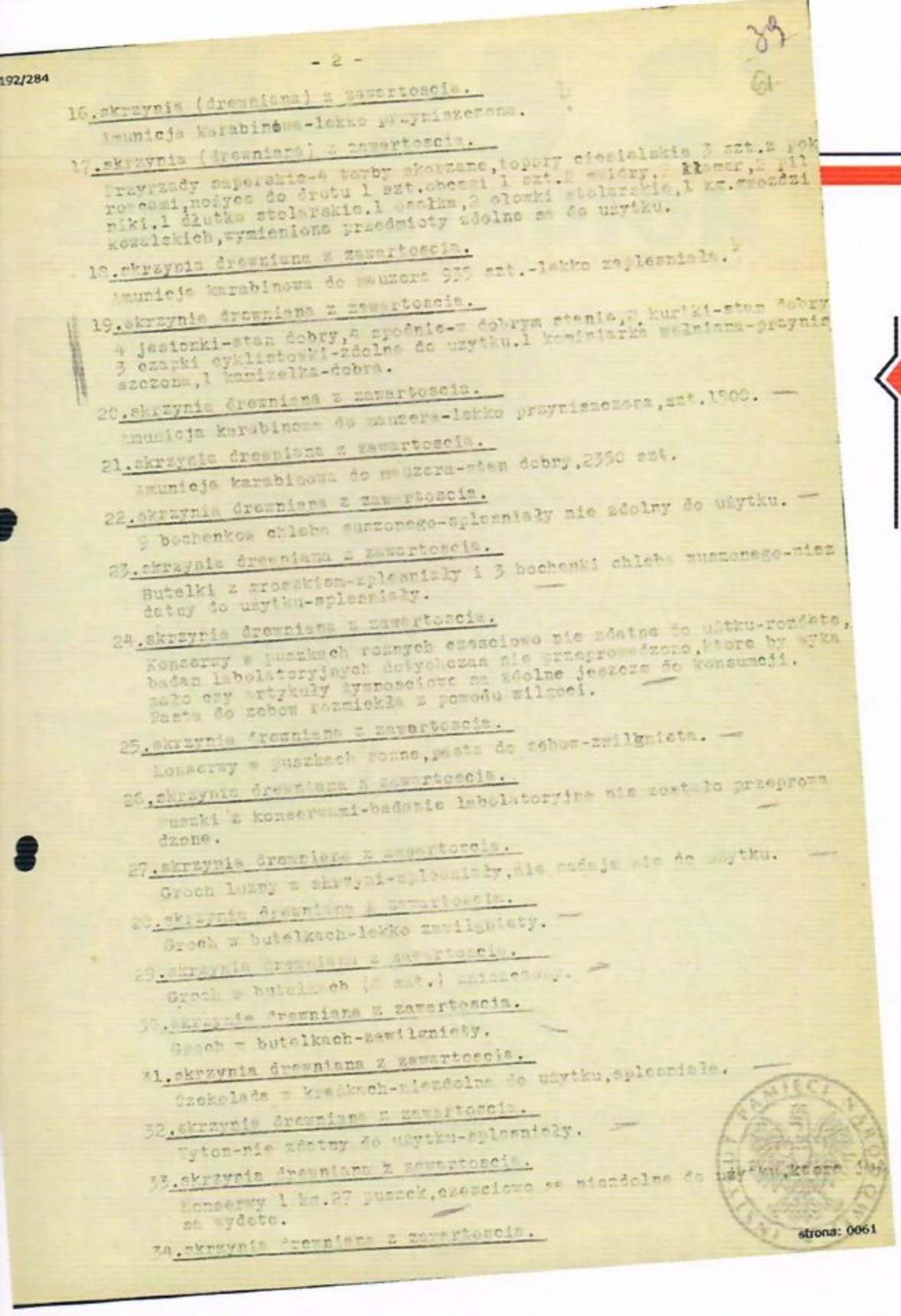
192/284

- 2 -

16.skrzynia (drewniana) z zawartoscia.
Amunicja karabinowa-lekko przyniszczona.
17.skrzynia (drewniana) z zawartoscia.
Przyrzady saperskie-4 torby skorzane,topory ciesielskie 3 szt.2 pok
rowcami,nożyce do drutu 1 szt.obcęgi 1 szt. młoty, kłamer,2 pil
niki.1 dłutko stolarskie.1 osełka,2 ołowki stolarskie,1 kp.wiertarzi
kowalskich,wymienione przedmioty zdolne są do użytku.
18.skrzynia drewniana z zawartoscia.
Amunicja karabinowa do mauzera 999 szt.-lekko zapleśniała.
19.skrzynia drewniana z zawartoscia.
4 jesionki-stan dobry,4 spodnie-w dobrym stanie,4 kurtki-stan dobry
3 czapki cyklistowki-zdolne do użytku.1 kominiarka wełniana-przynie
szczona,1 kamizelka-dobra.
20.skrzynia drewniana z zawartoscia.
Amunicja karabinowa do mauzera-lekko przyniszczona,szt.1500. —
21.skrzynia drewniana z zawartoscia.
Amunicja karabinowa do mauzera-stan dobry,2950 szt.
22.skrzynia drewniana z zawartoscia.
9 bochenków chleba suszonego-zapleśniały nie zdolny do użytku. —
23.skrzynia drewniana z zawartoscia.
Butelki z groszkiem-zapleśniały i 3 bochenki chleba suszonego-niez
datny do użytku-zapleśniały.
24.skrzynia drewniana z zawartoscia.
Konserwy w puszkach roznych czesciowo nie zdatne do użytku-rozdęte,
badań laboratoryjnych dotychczas nie przeprowadzono,które by wyka
zało czy artykuły żywnościowe są zdolne jeszcze do konsumcji.
Pasta do zębów rozmiękła z powodu wilgoci.
25.skrzynia drewniana z zawartoscia.
Konserwy w puszkach rozne,pasta do zębów-zawilgnięte. —
26.skrzynia drewniana z zawartoscia.
Puszki z konserwami-badanie laboratoryjne nie zostało przeprowa
dzone.
27.skrzynia drewniana z zawartoscia.
Groch luzny w skrzyni-zapleśniały,nie nadaje się do użytku. —
28.skrzynia drewniana z zawartoscia.
Groch w butelkach-lekko zawilgnięty. —
29.skrzynia drewniana z zawartoscia.
Groch w butelkach (6 szt.) zniszczony.
30.skrzynia drewniana z zawartoscia.
Groch w butelkach-zawilgnięty.
31.skrzynia drewniana z zawartoscia.
Czekolada w kredkach-niezdolne do użytku,spleśniałe. —
32.skrzynia drewniana z zawartoscia.
Tyton-nie zdatny do użytku-zapleśniały.
33.skrzynia drewniana z zawartoscia.
Konserwy 1 kp.27 puszek,czesciowo są niezdolne do użytku,które już
są wydete.
34.skrzynia drewniana z zawartoscia.

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ
strona: 0061

Protokół stanu używalności rzeczy ujawnionych w odnalezionych w roku 1950 skrzyniach.

Reutera, który w więzieniu na Mokotowie przez rok oczekiwał będzie na „powrót" do ZSRS. Odebrany stronie polskiej zostanie dopiero 17 lipca 1951 roku.

Co ciekawe, temat schowków tworzonych na terenie Dolnego Śląska wciąż budził zainteresowanie funkcjonariuszy WUBP we Wrocławiu. Poszukiwano ich przede wszystkim w ramach śledztwa prowadzonego w sprawie szkoły dywersji o kryptonimie „Schill" mającej funkcjonować na terenie Dusznik-Zdroju. Nie przyniosło ono, niestety, tak spektakularnych sukcesów, niemniej jednak dolnośląscy ubecy wstępnie wytypowali kilka miejsc mogących ukrywać depozyty podobne do tych wskazanych przez Alfreda Reutera. Przykładowo w „Piśmie Naczelnika Wydziału I WUBP we Wrocławiu do Naczelnika Wydziału I Departamentu I MBP z dnia 27 października 1951 roku" przeczytać możemy:

„Z tego wynika, jak też z innych materiałów, których jesteśmy >>>

REKLAMA

Panorama techniki wojskowej
Andrzej Zasieczny
Broń pancerna III Rzeszy
Tom 3
Czołgi przeciwlotnicze, haubice, armaty i moździerze samobieżne
Dane taktyczno-techniczne, sylwetki, zdjęcia i opisy broni pancernej
almapress

Książka już w sprzedaży!

Polecamy także m.in.:

Robert Jackson
101 słynnych czołgów
Lexikon czołgi od I wojny światowej do dzisiaj

Andrzej Zasieczny
Broń pancerna III Rzeszy
Tom 1
Czołgi, działa szturmowe i niszczyciele czołgów

Andrzej Zasieczny
Czołgi II wojny światowej

Chris Chant
Czołgi i pojazdy opancerzone
Ilustrowana encyklopedia

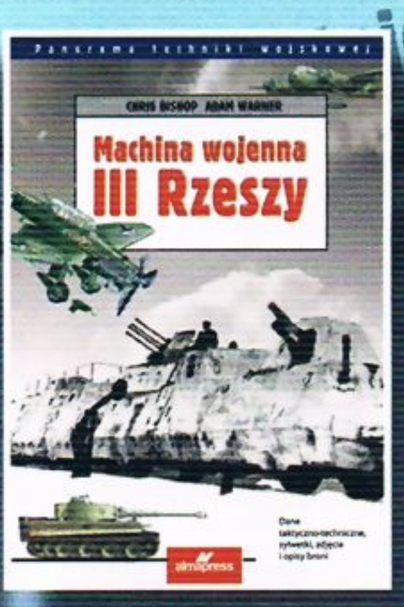
CHRIS BISHOP ADAM WARNER
Machina wojenna III Rzeszy

Michael E. Haskew
Najsłynniejsze czołgi
Ilustrowana historia

almapress

Alma-Press, ul. Lędzka 44a, 01-446 Warszawa
tel. (22) 877 27 04
e-mail: alma@almapress.com.pl
www.almapress.com.pl

>>> w posiadaniu, że w Górach Stołowych muszą się znajdować specjalne bunkry, które były budowane tuż przed kapitulacją Niemiec przez wym. oddziały »Schill«, gdzie niewątpliwie do obecnej pory będzie zmagazynowany różny sprzęt techniczny, amunicja, broń, jak to miało miejsce w okolicach Lądka Zdroju".

W wyniku przeprowadzonych rozmów, przesłuchań i pozyskanych doniesień agenturalnych ustalono, że miejsc takich miało być 11. Wstępnie także – jak wynika ze „Streszczenia sprawy kryptonim »Dywersant«" – zidentyfikowano jedno miejsce „gdzie ma się znajdować taki bunkier, lecz w obawie przed minami, nie został on odkopany". Warto dodać, że sam Reuter w czasie swojej wizyty w okolicach Stronia Śląskiego wskazał funkcjonariuszom jeszcze jedno miejsce, w którym także miały zostać ukryte skrzynie. Jak zapisano następnie w raporcie: „Odnaleziono tam jednak tylko 2 skrzynie, a on twierdzi, że miało być ich tam więcej, lecz co miało się w nich znajdować, nie przypomina sobie. Pozostałych skrzyń nie znaleziono ze względu na ciężkie warunki terenowe /zbocze zasypane grubą warstwą śniegu/".

Czy schowki te kiedykolwiek później zostały odkopane, nie wiadomo... <

Maciej Bartków

Autor książek „Werwolf na Dolnym Śląsku" i „Strażnicy IV Rzeszy". Koordynator projektu „Tajemniczy Bytom".

Protokół stanu używalności rzeczy ujawnionych w odnalezionych w roku 1950 skrzyniach.

Ipn bu 0192/284

- 3 -

34.skrzynia drewniana z zawartoscia.
Chleb krojony (suchary) niezdolny do użytku-splesniały.

35.skrzynia drewniana z zawartoscia.
Konserwy- czesc w stanie dobrym,ser szwajcarski w tubkach szt.6 z tego 3 szt.zdatne do użytku-konsumcji,pasta do zebow-odwilgnieta

36.skrzynia drewniana z zawartoscia.
Konserwy rożne 14 szt.stanu uzywalnosci nie stwierdzono,potrzebna jest badanie labolatoryjne,ktore dotychczas nie zostało zastosowa

37.skrzynia drewniana z zawartoscia.
82 paczki tytoniu,nie zdatny do użytku-przegniły.

38.skrzynia drewniana z zawartoscia.
Chleb krojony-suchary,nie zdatny do użytku-splesniały.

39.skrzynia drewniana z zawartoscia.
Tyton-splesniały,zapałki-zawilgnete nie zdatne do użytku,swieczki w stanie dobrym.

40.skrzynia drewniana z zawartoscia.
Chleb krojony (suchary)nie zdatny do użytku-splesniały.

41.skrzynia drewniana z zawartoscia.
Termosy 2 szt.z proszkiem do jakiego celu przeznaczony nie ustalono,potrzebna jest analiza.Butelki z napojem 9 szt.przypuszczalnie miod rozcieńczony lub wodka z proszku (erzatz)

42.skrzynia drewniana z zawartoscia.
Swieczki długie 26 szt.dobre,swieczki nagrobkowe 65 szt.dobre,czekolada w krążkach splesniała,nie nadaje sie do użytku.

43.skrzynia drewniana z zawartoscia.
Cykoria do kawy 3 paczki-splesniałe,6 bochenkow chleba-splesniały.

44.skrzynia drewniana z zawartoscia.
Suchary-nie zdatne do użytku splesniałe.

45.skrzynia blaszana z zawartoscia.
Zupa w proszku grochowa lekko zawilgnieta,mleko kondensowane-stan dobry.

46.skrzynka drewniana z zawartoscia.
Zupa w proszku 22 paczki-stechłe,mleko kondensowane,ser w tubkach-stan dobry.

47.skrzynia drewniana z zawartoscia.
Butelki szt.10 (przypuszczalnie z winem.)

48.skrzynia z zawartoscia (drewniana)
Konserwy 29 puszek z czego 7 puszek zepsutych -wydetych.

49.skrzynka drewniana z zawartoscia.
Konserwy 28 puszek z tego 8 zepsutych-wydete.

50.beczka blaszana z zawartoscia.
Cukier w kostekch (leczniczy) zdatny do użytku.

Ipn bu 0192/284

- 4 -

3 kożuchy o spodach czarnych w stanie dobrym,oraz jeden kożuchow o spodzie białym stan dobry.
2 piesci pancerne (pancerfaust) niekompletne,brak raczki.
Pieniądze rosyjskie
w banknotach 3 czerw.= 900 czerw.w banknotach po 5 czerw.1000.
(z obiegu wycofane,rok wydania 1937.)

Powyższy protokoł podpisali /-/PUL Franciszek,por.11 płk.KBW.

/-/JANDA Romuald,por.lekarz,11 płk

Mł.Ref.WUBP Wrocław,Witosinski Jar

Wyk.w 2 egz.

Strażnicy IV Rzeszy. Dywersanci Hitlera na Dolnym Śląsku. Maciej Bartków.
Książka oparta w całości na nigdy wcześniej niepublikowanych materiałach archiwalnych. Maciej Bartków bezkompromisowo rozprawia się w niej z wieloma mitami i legendami, jakie na temat działalności na Dolnym Śląsku słynnego Werwolfu utrwalono w dotychczasowej literaturze przedmiotu. Dzięki wieloletniej pracy autora historia pohitlerowskiego podziemia na Ziemiach Odzyskanych została napisana na nowo

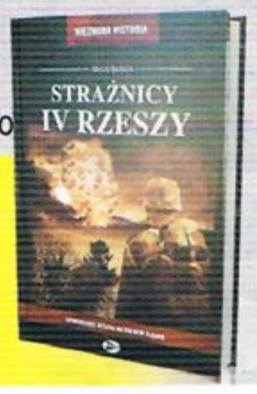

Zamów na
www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

24-25 CZERWCA 2017
ŁÓDŹ- STADION "START" -UL.ŚW.TERESY 56

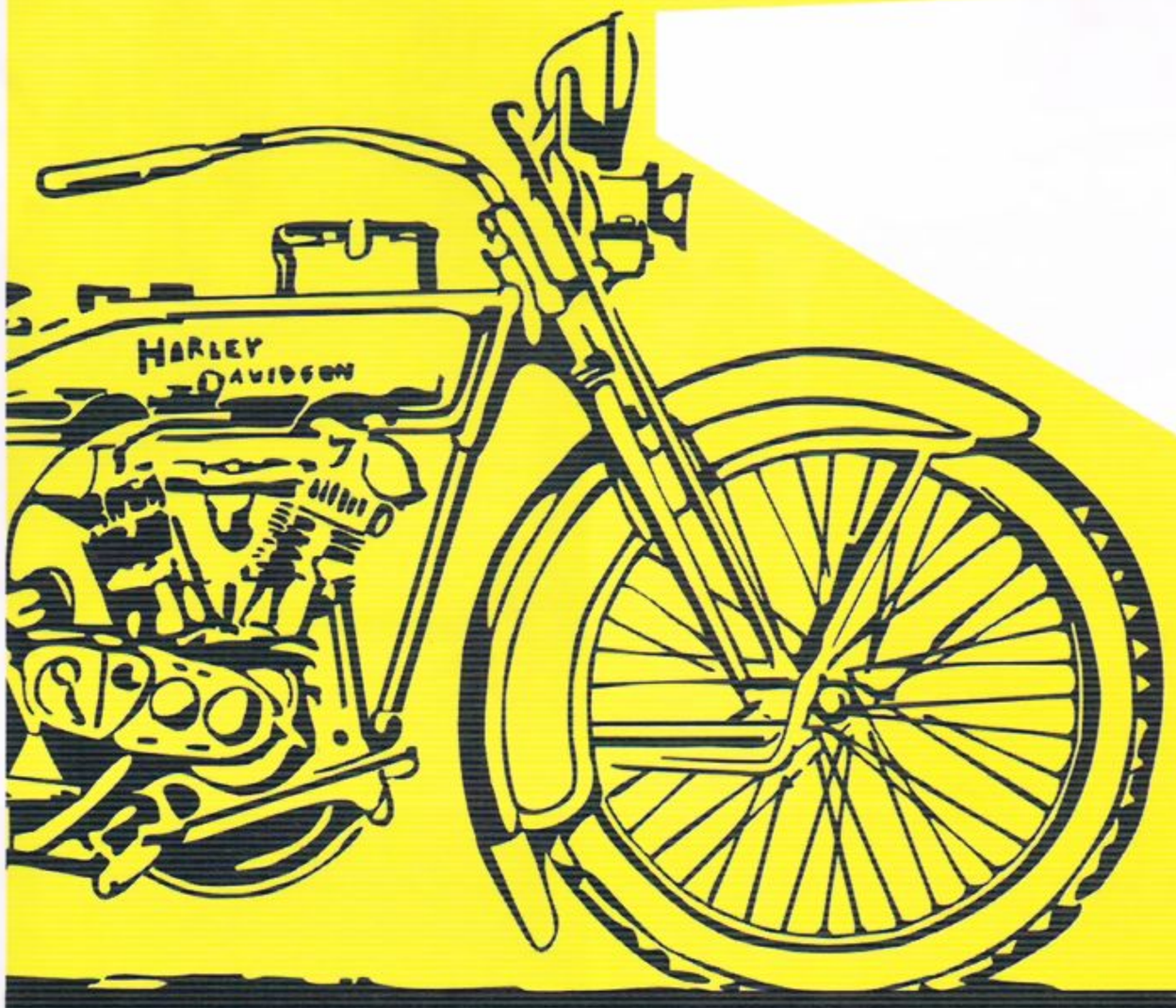

MOTO WETERAN BAZAR

motocykle
części, akcesoria,
kaski, ubiory
opony, skute
pojazdy zab
militaria, poj
renowacja poj

PONAD 60 STOISK Z MILITARIAMI

NAJWIĘKSZA W POLSCE GIEŁDA
POJAZDÓW ZABYTKOWYCH, MOTOCYKLI, MILITARIÓW

Ponad 800 stoisk, 15 000 zwiedzających, powierzchnia 80 000 m2, niepowtarzalna atmosfera, 25 letnia tradycja - od 1992 roku ...
www.motoweteranbazar.com tel.: 42 2054433, 602328837 facebook.com/motoweteranbazar

NA KOLEJNĄ GIEŁDĘ ZAPRASZAMY 9-10 WRZEŚNIA 2017

JUŻ W KSIĘGARNIACH!

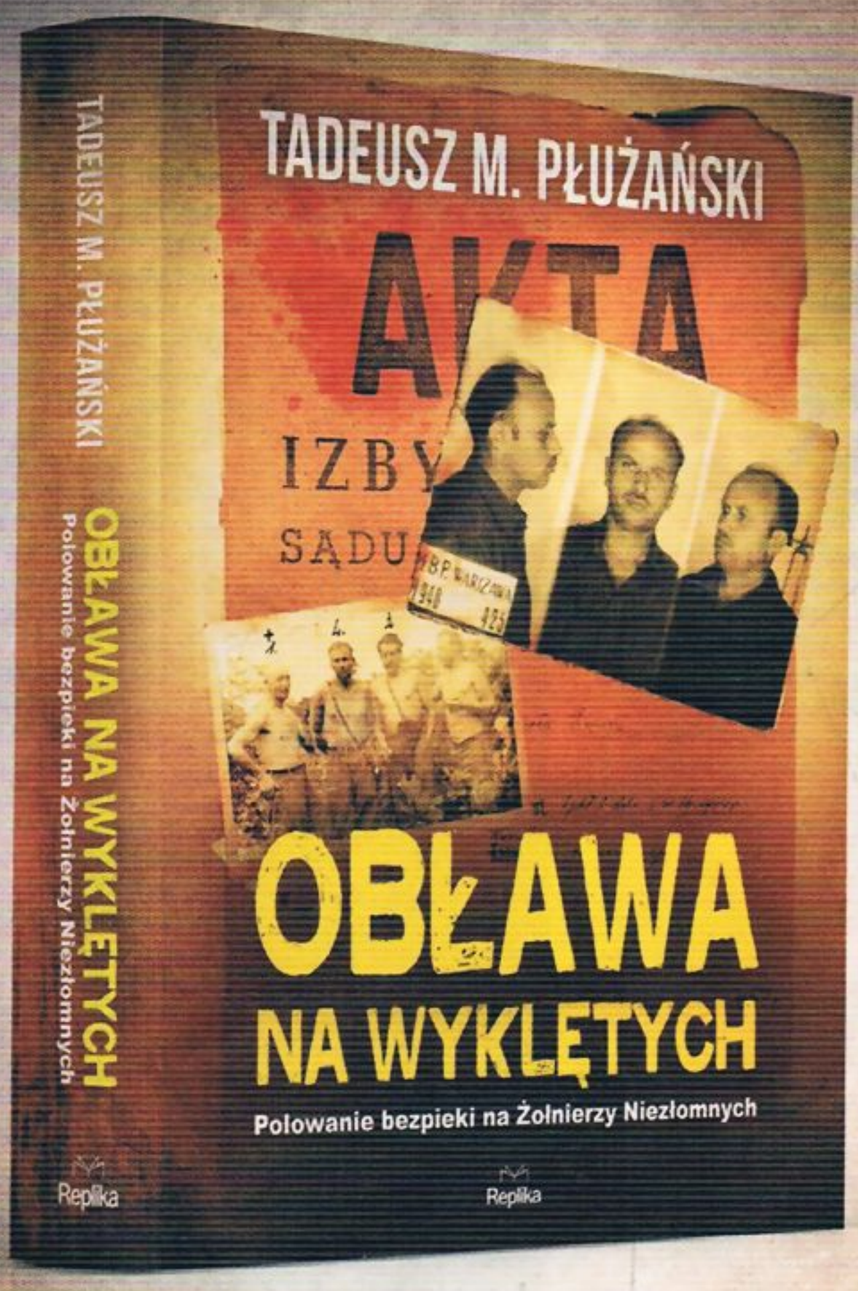

OBŁAWA NA WYKLĘTYCH

Wyklęci przez komunę Żołnierze Niezłomni, ścigani jak wilki...

Opis kilkunastu spraw prowadzonych przez Urząd Bezpieczeństwa i władze komunistyczne przeciwko Żołnierzom Wyklętym.

Replika
www.replika.eu

Patroni:

HISTORIA .ORG.PL · HISTORYKON.PL · Polska Zbrojna · NIEZŁOMNI.COM · ODKRYWCA · HISTORIA

OSTATNIA STACJA

LESZEK ADAMCZEWSKI

Ówczesny Kaławsk, przemianowany później na Węgliniec, dla setek tysięcy wysiedlanych po wojnie Niemców oznaczał pożegnanie ze stronami ojczystymi.

Wielu, zbyt wielu Niemców, łudziło się, że po tak zwanych dzikich wypędzeniach z wiosny i lata 1945 roku historia się powtórzy – że wzorem roku 1920 będą mogli zostać na swoim i przyjąć obywatelstwo polskie. Że postanowienia konferencji poczdamskiej, na której Wielka Trójka zdecydowała o wysiedleniu wszystkich Niemców z przyłączonych do Rzeczypospolitej wschodnich ziem Rzeszy, pozostaną tylko na papierze.

„Jak wielką miałem jeszcze wiosną 1946 roku nadzieję na pozostanie w ojczyźnie – po prostu nie mogłem pojąć, że Śląsk może należeć do Polski – udowadnia fakt, że zastanawialiśmy się w prywatnych kręgach, jakiemu rządowi niemieckiemu będziemy podlegać po opuszczeniu miasta [Wrocławia] przez Polaków, administrujących tu czasowo. Nie dopuszczaliśmy myśli o przyłączeniu Breslau do Polski. Rozmawialiśmy z niektórymi profesorami na temat otwarcia uniwersytetu" – wspominał Joachim Konrad, ewangelicki duchowny sprawujący w powojennym Wrocławiu funkcję dziekana miejskiego.

Na Górnym Śląsku, zwłaszcza na Opolszczyźnie, a także na Warmii i – rzadziej – na Mazurach Niemcy mogli „przypomnieć" sobie o polskich korzeniach i, przedstawiając siebie jako ofiary germanizacji, uniknąć wysiedlenia. Tu i ówdzie się udawało, a ponadto na ziemiach zwanych wtedy odzyskanymi rzeczywiście mieszkało tysiące polskich autochtonów. Sprawującym władze komunistom i socjalistom zależało, by ludzie ci zostali w Polsce. Przesiedleńcy z dawnych kresów wschodnich i ludzie z centralnej Polski, głównie z dawnego zaboru rosyjskiego, widzieli w nich jednak Niemców i traktowali z niechęcią, by nie rzec – z wrogością. „To germańskie plugastwo musi zniknąć" – mówili.

Niewolnicza siła robocza

Administracji polskiej, która od późnej wiosny 1945 roku stopniowo przejmowała władzę na ziemiach zachodnich i północnych, nie udało się zapanować nad sytuacją, która ją przerastała. Samowola czerwonoarmistów, ich gwałty i zbrodnie, watahy rodzimych szabrowników, obozy, bandytyzm, wszechpotężna korupcja, a do tego głód, braki lekarzy i w ogóle ludzi uczciwych, a przede wszystkim mądrych. Wykonując bezmyślne polecenia z Warszawy, szybko i nieudolnie usuwano ślady niemieckiej przeszłości, jakby była to najpilniejsza potrzeba. Zdejmowano więc szyldy sklepowe, drogowskazy, czasami nawet tablice z nazwami ulic

„Polska Kronika Filmowa" w wydaniu 10 z 1946 roku kilka minut poświęciła wysiedlaniu ludności niemieckiej z Wrocławia.

www.odkrywca.pl

WROCŁAW
SWIEBODZK

Transport z Niemcami przy peronie stacji w Węglińcu gotowy do odjazdu.

>>> i placów w sytuacji, gdy nie otrzymały one jeszcze nazw polskich.

Jednocześnie na ziemie zachodnie zaczęły trafiać pierwsze transporty ludności polskiej, repatriowanej z dawnych kresów wschodnich Rzeczypospolitej, które znalazły się w granicach ZSRR. Temu gigantycznemu przemieszczaniu ludności towarzyszyły ogromne trudności stwarzane przez stronę radziecką, po części zrozumiałe, gdy weźmie się pod uwagę zniszczenia wojenne w europejskiej części Związku Radzieckiego. Tamtejsze władze nie podstawiały wystarczającej liczby wagonów, a transporty kolejowe wlokły się tygodniami. Nie lepiej było po polskiej stronie. Zdarzało się więc – jak to odnotowują ówczesne raporty o przebiegu akcji osiedleńczej – wiele wypadków śmierci po drodze. W jednym z nich czytamy: „W wagonach były trzy trupy, które jechały ze zdrowymi repatriantami przez parę dni aż do Wrocławia, wiele dzieci z transportu odmrożonych, ciężko przeziębionych, ludzie wyczerpani do ostatnich granic".

Nie zawsze też repatrianci mogli zabrać ze sobą cały swój ruchomy dorobek, co przewidywały stosowne umowy polsko-radzieckie. A gdy wreszcie kilkutygodniowa droga przez mękę dobiegła końca, okazywało się, że dla tych tak tragicznie doświadczonych ludzi na ziemiach zachodnich brakuje mieszkań i pracy.

8 października 1945 roku odbyła się we Wrocławiu narada, podczas której omówiono sytuację ludnościową na Dolnym Śląsku. W zachowanym sprawozdaniu można przeczytać, że przed naradą odbył się objazd służbowy. „W objeździe trafiono na tereny, które są mniej zniszczone, ale już niestety przepełnione. Jechano przez Jelenią Górę, Wałbrzych, Lignicę [dzisiejszą Legnicę], Kłodzko itd. [...] Jeżeli chodzi o tereny podgórskie, to są one najbardziej atrakcyjne. Zaludniły się one samorzutnie. Placówki handlowe są

www.odkrywca.pl

wszędzie obsadzone. Obserwuje się fakt, że Niemcy są zatrudnieni w bardzo wysokim stopniu. Nawet w zakładach prywatnych, bo to jest tania siła robocza. Niechętnie przyjmuje się do pracy Polaków. Był wypadek, że siostra sanitarna wykwalifikowana musiała wracać do centralnej Polski, bo tam [czyli na Dolnym Śląsku – przyp. autor] nie mogła dostać posady, gdyż powiedziano jej, że tam mają dość pracowników Niemców. Podobne zjawisko było w Wałbrzychu, gdzie przyjechali górnicy polscy z Węgier; warunki pracy górników są tam bardzo ciężkie, Niemcy dostają 2 złote dziennie, wobec czego przemysł wcale nie ubiega się o siłę roboczą polską".

Wysiedlenie ludności niemieckiej z ziem przyznanych Polsce było w tej sytuacji nie tylko sprawą polityczną, ale także koniecznością społeczno-ekonomiczną.

Oko za oko, ząb za ząb

W drugiej połowie 1945 roku wielu Polaków było pewnych, że cała akcja przesiedleńcza wpisze się w aprobowany przez władze (od komunistów i socjalistów po zasiadających w Tymczasowym Rządzie Jedności Narodowej RP ludowców Stanisława Mikołajczyka) system odwetu za zbrodnie hitlerowskie. Że ugodzi ona w ludzi bezbronnych, głównie w starców i dzieci. „Z niemcami [tak w oryginale!] postępować tak, jak oni postępowali z nami. Wielu zapomniało już, jakie było ich postępowanie z naszymi dziećmi, żonami, starcami" – czytamy w specjalnym rozkazie dowódcy 2. Armii Wojska Polskiego, generała Karola Świerczewskiego z końca czerwca 1945 roku.

20 grudnia 1945 roku naczelnik dolnośląskiego Wydziału Opieki Społecznej Roman Modrzejewski w obliczu spodziewanych transportów Polaków zza Buga proponował około 100 000 Niemców z Wrocławia i okolic wysiedlić do nadgranicznych powiatów Dolnego Śląska i tam wziąć ich głodem. „W tych złych warunkach tam osiedleni Niemcy na pograniczu nie będą mogli wytrzymać ani miesiąca i sami będą uciekać do Reichu lub prosić się o wytransportowanie tamże", pisał.

Czas dzikich wypędzeń kilka miesięcy po konferencji poczdamskiej już minął i propozycja naczelnika Modrzejewskiego nie została, na szczęście, zrealizowana.

W lutym 1946 roku na murach wielu miejscowości Dolnego Śląska pojawiły się obwieszczenia, które w językach polskim i niemieckim zapowiadały wysiedlenia Niemców. „Transport odbywać się będzie polskimi pociągami bezpośrednio do strefy angielskiej. Dla wygody ludności niemieckiej będzie ona grupowana w specjalnych punktach zbiorczych w pobliżu stacji, skąd ładowana będzie do wagonów. Każdy transport zaopatrzony będzie w obsługę sanitarną, dla której zarezerwowane będą dwa wagony. Dla zapewnienia bezpieczeństwa w drodze transporty odejdą pod ochroną specjalnych oddziałów wojskowych" – informował pełnomocnik Rządu RP na Okręg Administracyjny Dolnego Śląska. W innym ogłoszeniu tenże pełnomocnik (odpowiednik wojewody) przedstawił Niemcom życzenie Komisji Angielskiej w Kaławsku, która została powołana do przejmowania transportów z wysiedlanymi jadącymi do brytyjskiej strefy okupacyjnej Niemiec. Otóż – pod rygorem niewpuszczenia ich do zarządzanej przez Anglików strefy – Niemcy musieli zabierać ze sobą pościel i naczynia kuchenne. Mogli także zabrać banknoty niemieckie >>>

Dawny Dworzec Świebodzki we Wrocławiu w latach 1946–1947 był świadkiem dantejskich scen towarzyszących wypędzaniu Niemców.

Klęska Gauleitera. Sensacje z Kraju Warty. Leszek Adamczewski
Autor przedstawia mało znane fakty z dziejów Kraju Warty, na czele którego przez całą wojnę w randze namiestnika Rzeszy i gauleitera NSDAP stał Arthur Greiser. Dowiemy się m.in. o marszu obornickim i pewnym bankiecie w kolskiej restauracji, poznamy różne oblicza wielkopolskiej konspiracji i trzecie poznańskie przemówienie Heinricha Himmlera.
Zamów na www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy
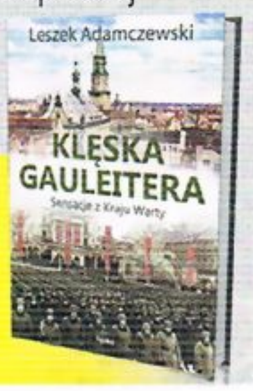

fot. Leszek Adamczewski , arch. autora

>>> tylko w wysokości 500 marek Rzeszy. „Wywożenie innych walut i papierów wartościowych jest kategorycznie zabronione", informował pełnomocnik.

Prawa ludności niemieckiej, zapisane w dokumentach międzynarodowych i obwieszczeniach publicznych, były systematycznie naruszane przez Polaków, zarówno przez reprezentantów władzy: urzędników, milicjantów i żołnierzy, jak i przez ludność cywilną. Dotyczyło to zwłaszcza bagażu wysiedlanych. Mieli oni prawo zabrać początkowo od 20 do 50 kilogramów na osobę, a później nawet nieco więcej, ale do wagi bagażu wliczano potrzebną na drogę żywność. Zalecano Niemcom, by zabierali wyżywienie na 14 dni, a o zaopatrzenie w artykuły spożywcze miała się starać strona polska. Nie zawsze tak było, a ponadto nagminnie rabowano także te resztki mienia, które Niemcy mogli zabrać ze sobą.

O tym, co działo się przed dworcem Wrocław Świebodzkim, skąd w 1946 roku pociągi z Niemcami odjeżdżały do ówczesnego Kaławska, wspominała po latach Hildegarda Kittel z domu Bunzeck. Miała wówczas 13 lat. „Cała wieś szła w długim pochodzie w kierunku Breslau. Niektórzy twierdzili, że idziemy za Odrę, inni – że do obozu; najgorsze przepowiednie głosiły, że mamy iść do Rosji, nawet na Syberię. Nikt nie wiedział, co się może zdarzyć. Breslau to już nie było miasto, tylko kupa gruzów. Przyjechaliśmy na dworzec. [...] Musieliśmy się ustawić przed dworcem w długiej kolejce wypędzonych. Urzędujący tam Polacy brali z naszego bagażu co im się podobało i rzucali na dużą stertę zawłaszczonych rzeczy. Tata miał torebkę z naszymi aktami urodzenia. Zerwano mu ją i rzucono na stertę z papierami. W tym momencie nienawidziłam Polaków z całego serca".

W polskich archiwach znajdują się protokoły przedmiotów oficjalnie skonfiskowanych Niemcom podczas wysiedleń w latach 1946–1947. Odnotowano w nich nie tylko kosztowności i pieniądze, ale także jakieś stare okulary, budziki, a nawet kawałki boczku.

Pożegnanie z Breslau

Pierwsze transporty Niemców, w chłodne jeszcze dni marca 1946 roku odjeżdżające z Wrocławia w kierunku Kaławska, obserwowane były przez dziennikarzy i operatora „Polskiej Kroniki Filmowej". Zdjęciom z tego wyświetlanego w kinach magazynu (nr 10 z 1946 roku) towarzyszył ironiczny komentarz: „Niemcy opuszczają Polskę. Niech zabierają swoje manatki i niech wynoszą się do swojej ojczyzny. Nie prześladujemy ich. Nie przeszkadzamy im w repatriacji. Przeciwnie. Władze polskie czynią wszystko, by ułatwić Niemcom wyjazd z Polski. Świadczą o tym najlepiej humory wyjeżdżających. Stolica Apostolska oficjalnie protestowała przeciwko brutalnemu traktowaniu wysiedlanych Niemców. Szkoda, że nie ma tu przedstawicieli Watykanu. Przekonaliby się, że nie było powodu do opłakiwania tragicznej doli Niemców". Na chwilę przed odjazdem pociągu z Niemcami ze Świebodzkiego lektor kroniki mówi: „Piecyki w wagonach, koce, toboły, aprowizacja. Niczego nam nie żal. Szczęśliwej drogi! Żegnamy na zawsze".

Na ironię i sarkazm zdobył się również podporucznik J. Lewicki, który w obszernym reportażu „Nareszcie – Niemcy opuszczają nas na zawsze!", zamieszczonym w popularnym wówczas tygodniku „Żołnierz Polski" (nr 10 z 1946 roku), pisał między innymi: „Po tej trasie Wrocław – Kaławsk odbywają

„Auf Nimmerwiedersehen! Transport Niemców przed odjazdem". Tak tygodnik „Żołnierz Polski" (nr 10 z 1946 roku) podpisał to pokolorowane zdjęcie z Wrocławia.

www.odkrywca.pl

Niemcy drogę jakże różną od tej, do jakiej zmuszali naszych rodaków, wypędzanych z Poznańskiego, Pomorza, Zamojszczyzny. Pomijamy już to, że dla nas łańcuch bydlęcych wagonów oznaczał najczęściej obóz i katorgę lub komory gazowe. Nie odpłacamy się Niemcom tym samym. Wystarczy nam utrwalenie polskości odzyskanych ziem. Mamy ich już po uszy, niech sobie jadą. Wezmą więcej czy mniej pierzyn, uda im się może to czy owo przeszmuglować – ale będziemy nareszcie sami. Staramy się działać jak najsprawniej".

Przed wejściem do wagonów Niemcy zostawiali przeróżne wózki, którymi na dworzec wieźli resztki swego dobytku. Ze względu na obecność dziennikarza „Żołnierza Polskiego" i fotoreportera wszystko odbywało się w miarę sprawnie, a przede wszystkim milicja pilnowała, by wysiedlani nie byli bici i okradani, a kobiet nie gwałcono, co również zdarzało się na

fot. Leszek Adamczewski , arch. autora

szlakach wyjazdu Niemców, w tym i we Wrocławiu.

Podporucznik Lewicki napisał, że Niemcy szli pod opieką swoich wagonowych „führerów": „Każda grupa oznaczona jest numerem. Rozprowadza ich MO. Spokojnie, planowo... Wagonów jest 55, w tym 2 dla ochrony, 2 sanitarne i 1 na żywność. Jeszcze Niemka utrze któremuś z licznych szwabiątek nosa, jeszcze ten i ów westchnie, wspominając lepsze czasy – lokomotywa gwizdnie, koła zazgrzytają – i żegnaj, Breslau! – odtąd już Wrocław na wieki".

„Wieczorem, 8 lipca, nasz wagon opuścił Freiburger Bahnhof", wspominał Joachim Konrad, wymieniając niemiecką nazwę wrocławskiego Dworca Świebodzkiego. „Ze łzami w oczach patrzyliśmy na górującą wieżę kościoła [świętej Elżbiety] i równocześnie na nasz ukochany rodzinny Breslau".

Wstyd po latach

Najkrótsza droga z Wrocławia do ówczesnego Kaławska wiodła przez Lignicę i Bolesławiec, którą to trasę często blokowały radzieckie transporty wojskowe. Droga przez Wałbrzych i Jelenią Górę była nieprzejezdna w powodu zniszczonego wiaduktu nad Borowym Jarem w Jeleniej Górze. Transporty z wysiedlanymi kierowano więc jakimiś bocznymi trasami, nierzadko przez słabo zaludnione i niebezpieczne okolice, gdzie grasowały bandy szabrowników. Napadały one na pociągi ewakuacyjne, nierzadko działając w porozumieniu z eskortą wojskową lub też żołnierze eskorty bezczynnie przyglądali się, jak bandy łupiły wysiedlanych. Tych, którzy bronili się przed rabunkiem, szabrownicy bili, a czasami nawet mordowali.

Tak było! Dokumentacja podobnych przypadków, towarzyszących wysiedleniom, jest ogromna. I nie trzeba jej szukać za Odrą; wystarczą kwerendy w polskich archiwach. Jeśli nawet niektóre sporządzone przez Niemców opisy są przesadzone, a liczby ofiar zawyżone, to wszystkiego nie da się usprawiedliwić powojennym chaosem, biedą czy chęcią odwetu za zbrodnie hitlerowskie. W latach 90. XX wieku warszawski socjolog Andrzej Ziemilski, który wkrótce po wojnie jako młody PPS-owiec brał udział w wysiedlaniu Niemców, powiedział dziennikarzowi „Polityki": „Nie wstydzę się tego, co robiłem, lecz tylko tego, jak to robiłem". W tym jednym zdaniu zamyka się cała tragedia wypędzeń.

Kohlfurt szczycił się jednym z najstarszych w tej części Europy dworców kolejowych. Na początku lipca 1945 roku przybyła tu z Poznania grupa polskich kolejarzy z zadaniem uruchomienia miejscowego węzła kolejowego, gdzie krzyżowały się linie Liegnitz (Legnica) – Hoyerswerda i Hirschberg – Sorau (Jelenia Góra – Żary), nie licząc lokalnej linii do Görlitz. W 1945 roku z węzła tego korzystała przede wszystkim Armia Czerwona, a radziecki komendant wojenny z poznańskich kolejarzy sformował pierwszy zalążek władzy polskiej w tej zagubionej w Borach Dolnośląskich miejscowości. Słowo Kohlfurt w jej nazwie zostało zastąpione przez Kaławsk. Nad rozległymi terenami tej dużej stacji rozrządowej częściowo wisiała nadal porwana pajęczyna poniemieckiej elektrycznej sieci trakcyjnej, podwieszona do wysokich masztów metalowej konstrukcji. Nawet jej demontaż Rosjanie przeprowadzili wyjątkowo niechlujnie. Sami z tego łupu wojennego >>>

Poligon. Sensacje z Kraju Warty. Leszek Adamczewski.
Z dziejów tego utworzonego jesienią 1939 roku z ziem polskich okręgu Rzeszy, nazywanego „poligonem narodowego socjalizmu", autor wybrał kilkadziesiąt sensacyjnych historii. Przeczytamy tu m.in. o tragicznej śmierci syna Arthura Greisera pod Międzychodem, tajemniczej katastrofie Halifaksa nad Nowymi Skalmierzycami czy też ostatniej defiladzie w Posen.

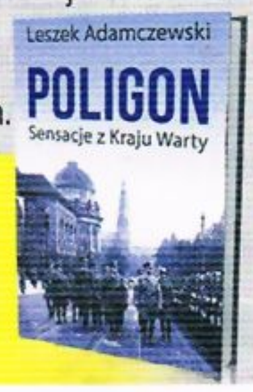

Zamów na
www.odk.pl
tel. 42 631 10 97
42 630 71 41
Księgarnia Odkrywcy

>>> nie mieli wielkiego pożytku, a południową część Dolnego Śląska pozbawili jednej z najnowocześniejszych w Europie do 1945 roku sieci kolei elektrycznych.

W cieniu tych masztów odbywały się odprawy pociągów z Niemcami. To w Kaławsku, a od 1947 roku w Węglińcu była ostatnia stacja ich drogi przez mękę, jak kiedyś napisał jeden z niemieckich publicystów.

Dezynfekcja proszkiem BTT

Reporter „Żołnierza Polskiego", podporucznik Lewicki, nie porzucił ironicznego tonu, opisując ostatnie chwile Niemców na nowym terytorium Rzeczypospolitej: „Dwa transporty dziennie przybywają do Kaławska. Tutaj Niemcy przekonują się: nie, nie do Auschwitz ich wieźli, nie do komór gazowych. Przybywają do tego Kaławska, gdzie ich Anglicy przyjmują, przeliczają i dezynfekują nadzwyczajnym proszkiem BTT. Pułkownik Carrol [szef misji brytyjskiej w Kaławsku – przyp. autor] zarządza odprawę »wagonführerów«, po czym wysiedleńcy udają się do dezynfekcji. Niemiecki personel, który wykonuje tę robotę, spieszy się, gdyż czasu jest mało. Znowu liczenie, wysiedleńcy ładują się do wagonów – sygnał – gwizd i – odjeżdżają. Obecni na dworcu Polacy oddychają z ulgą: uwalniamy się od wiekowej zmory. Jeden z milicjantów uśmiecha się: „Będzie więcej powietrza".

Wraz z wyjazdem ostatniego transportu Niemców do strefy brytyjskiej nie zakończyła się historia tutejszego punktu zdawczego. Anglików wkrótce zastąpili Rosjanie, którzy w 1947 roku odprawiali pociągi do swej strefy okupacyjnej. Wysiedlanie Niemców odbywało się wówczas na podobnych zasadach co w 1946 roku, chociaż nieco je zmodyfikowano. Już nie Kaławsk, a Węgliniec codziennie opuszczały dwa transporty po 1500 osób w każdym. Rosjanie byli bardziej „wybredni" od Anglików i wcześniej czy później musiało dojść do konfliktu z coraz jawniej lekceważącymi swe obowiązki Polakami.

„Repatriacja uległa zahamowaniu z naszej winy, dzięki rozpowszechnionemu pijaństwu i lekceważeniu obowiązków i temu, że pracy jednostek przyglądają się dziesiątki zamiast przyłożyć ręki", czytamy w sprawozdaniu Państwowego Urzędu Repatriacyjnego z połowy 1947 roku. Z drugiej strony Polacy narzekali na Rosjan. Na przykład Polskie Koleje Państwowe długo nie mogły się doczekać zwrotu wagonów, którymi wyjeżdżali Niemcy.

Kohlfurt, Kaławsk i Węgliniec. To kolejne nazwy tej samej stacji kolejowej leżącej w Borach Dolnośląskich tuż nad granicą z Niemcami.

Dworzec kolejowy w Węglińcu sfotografowany w 1998 roku z kładki nad torami.

Sprzymierzeni nie radzili sobie z przyjmowaniem w okupowanych Niemczech potoku uchodźców. Brakowało dla nich mieszkań, panowała bieda i głód, szczególnie w strefach brytyjskiej i radzieckiej, a więc w tych, dokąd Niemcy ze wschodu wyjeżdżali przez Kaławsk/Węgliniec. Pociągi z nimi granicę polską przekraczały w rejonie Horki lub Forstu.

Punkt zdawczy w Węglińcu zlikwidowano we wrześniu 1947 roku, gdy Rosjanie przestali przyjmować wysiedlanych z Polski Niemców. W latach 1948 i 1949 wyekspediowano z Polski jeszcze kilkanaście tysięcy dzieci niemieckich, które pogubiły się podczas panicznej ewakuacji zarządzonej przez władze hitlerowskie lub ich bliscy zginęli podczas działań wojennych w 1945 roku.

Wypędzanie Niemców w latach powojennych nie jest ulubionym tematem polskich historyków i publicystów. Ale niemal całkowitym milczeniem pomija się zjawisko reemigracji, czyli powrotu na rodzinne ziemie Niemców nieco wcześniej z nich wysiedlonych. Mimo że wrócili oni nielegalnie, pokonując wiele kilometrów i liczne trudności, ówczesne władze na ogół zostawiały ich w spokoju. W zniszczonej wojną Polsce brakowało bowiem rąk do pracy i każdą parę można było z pożytkiem dla ogółu wykorzystać. Tak jednak rodziła się dzisiejsza mniejszość niemiecka..

Leszek Adamczewski

Poznański dziennikarz i pisarz. Wieloletni współpracownik „Odkrywcy". Autor ponad 20 książek, cieszących się wielkim zainteresowaniem czytelników, poświęconych tajemniczym zdarzeniom z czasów II wojny światowej. W czerwcu ubiegłego roku ukazała się „Klęska gauleitera. Sensacje z Kraju Warty". W maju tego roku ukazała się najnowsza książka „Prusy w ogniu".

Fisher Labs

ODKRYJ HISTORIĘ UKRYTĄ PRZEZ LATA

Szukaj w dobrych sklepach outdoorowych lub sprawdź teraz na kolba.pl

kolba

PPHU KOLBA Łukasz Matuszczak
ul. Limanowskiego 65; 42-506 Będzin; e-mail: p.rak@kolba.pl
tel: +48 32 265 22 00 wew. 24; kom: +48 515 269 062

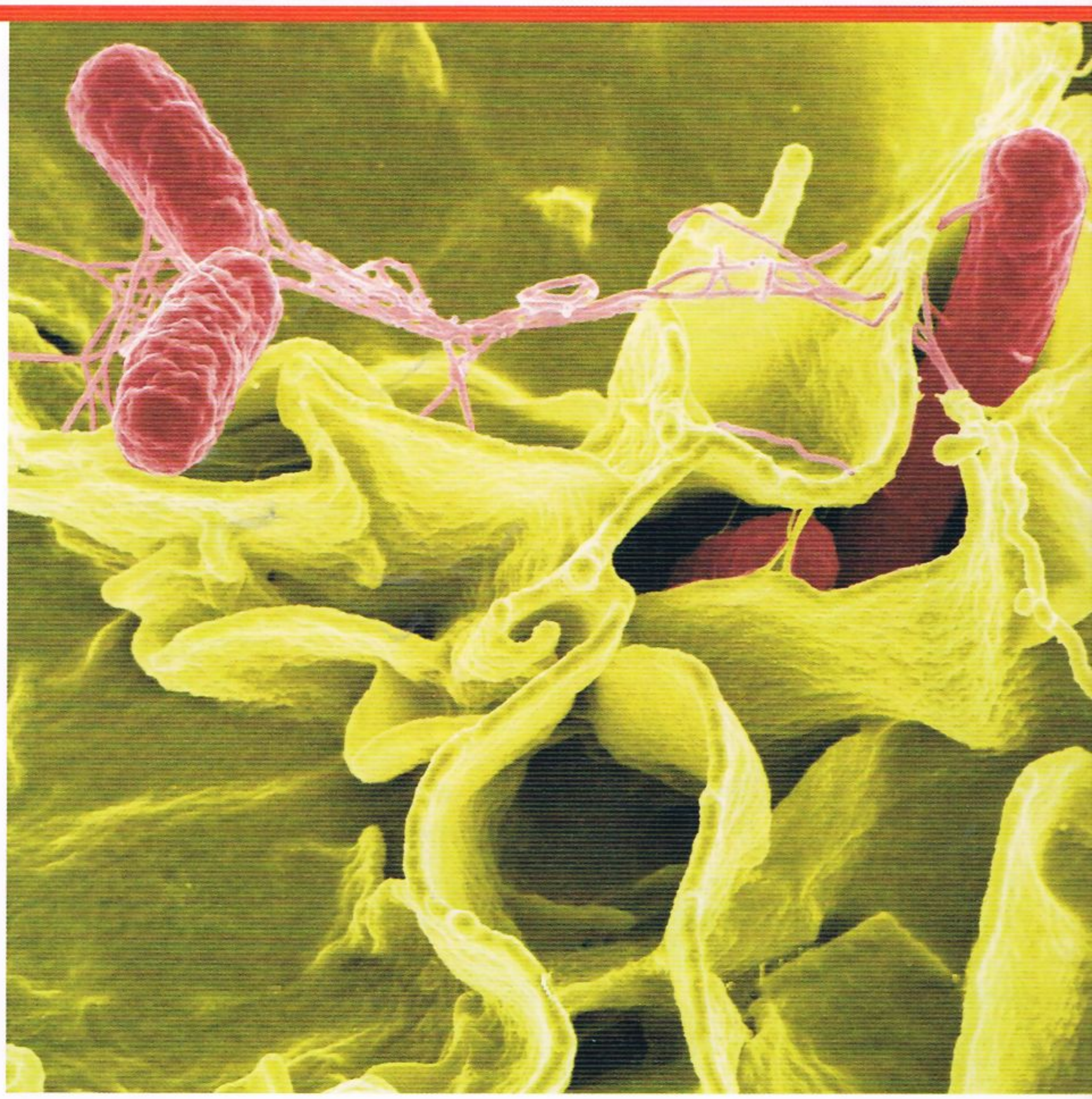

BAKTERIE MADE IN POLAND

CZĘŚĆ 3

ADAM GAAFAR

Środki osłabiające wolę przesłuchiwanych szpiegów, zatrute papierosy do celów dywersyjnych, specjalne komory do eksperymentów – to tylko część działalności pracowni technicznej polskiego wywiadu.

Na początku lat 50. Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego szykowało się do wielkiego pokazowego procesu. Bierut chciał postawić przed sądem przedwojennych polskich bakteriologów, którzy mieli rzekomo pracować nad bronią biologiczną. I chociaż wiele wskazywało na to, że sanacyjni naukowcy testowali bakterie tylko po to, aby skutecznie obronić się przed potencjalnym wrogiem, komuniści uznali ich działalność za zbrodniczą. Operacji, w ramach której rozpracowywano pracowników Referatu Technicznego – jednostki badawczej polskiego wywiadu – nadano kryptonim „Targowica", jednoznacznie wskazujący, że podejrzani pracowali na szkodę państwa.

Udało nam się dotrzeć do liczących ponad tysiąc stron protokołów z przesłuchań naukowców w warszawskim UB. Charakter tych dokumentów powoduje wprawdzie, że zeznania uczonych mogą być poważnie zniekształcone, niemniej ich sugestie dotyczące konieczności badań nad mikrobami pokrywały się z treścią raportów wywiadu II RP. W niniejszym numerze przedstawiamy intrygujące informacje, złożone przez byłego kierownika pracowni bakteriologicznej, dr. Jana Golbę. Wiele lat po wojnie jego córka, Krystyna Mikke, potwierdziła pośrednio część zeznań ojca, wspominając, że często przechowywał on w domu szczepy groźnych bakterii.

Genialny naukowiec

Życiorys Jana Golby musiał robić wrażenie nawet na śledczych, którzy go przesłuchiwali. Z początku nic nie wskazywało bowiem, że stanie się on jednym z najzdolniejszych naukowców w II RP. Urodził się w 1898 roku w ubogiej rodzinie w Nowym Korczynie. Jego ojciec był robotnikiem, a matka praczką. Miał siedmiu braci i pięć sióstr. Większość rodzeństwa Jana Golby była analfabetami, a on sam poszedł do szkoły podstawowej dopiero

w wieku 10 lat. Naukę przerwał już po 3 latach (w II RP obowiązywał siedmioletni okres nauki, trwający od 7. roku życia.)

Przełom w jego życiu nastąpił w grudniu 1914 roku, gdy trafił na praktykę do miejscowej apteki. To tam zaczął zdobywać podstawy wiedzy z zakresu farmacji, doszkalając się w międzyczasie w domu. W 1919 roku otrzymał powołanie do wojska. Podczas służby wysłano go na kurs laborantów bakteriologicznych w Warszawie, który ukończył, uzyskując stopień tzw. majstra laboranta. W wieku 26 lat rozpoczął medycynę na Uniwersytecie Warszawskim, zdając przedtem eksternistycznie maturę i zaliczając zaocznie 4 lata gimnazjum. Równolegle ze studiami uczęszczał do szkoły podchorążych sanitarnych. Naukę w obu tych szkołach zakończył po siedmiu latach. Po odbyciu 13-miesięcznego stażu w szpitalu objął stanowisko lekarza pułkowego. Niedługo później został czołowym polskim bakteriologiem. Nic dziwnego, że szybko zainteresowały się nim krajowe służby wywiadowcze, werbujące zdolnych naukowców do swoich jednostek badawczych.

Śmierć w kromce chleba

W reakcji na coraz liczniejsze doniesienia o niemieckich i radzieckich badaniach nad bronią biologiczną, polski wywiad powołał przy Referacie Technicznym pracownię bakteriologiczną. Od 1934 roku kierował nią dr Golba. Jego poprzednik – dr Białosuknia – odszedł z pracowni do Instytutu Przeciwgazowego w Warszawie, gdzie również prowadzono badania nad mikrobami. Rok później jednostka naukowa polskiego wywiadu została przeorganizowana w Samodzielny Referat Techniczny, otrzymując odtąd coraz większe środki na badania.

W pracowni dr Golba zastał biologa Janinę Mierzwińską, dr. med. Józefa Alfonsa Ostrowskiego oraz jednego laboranta. W przeciągu kilku lat katalog produkowanych toksyn został znacznie rozszerzony, a skład personalny SRT wzrósł do 60 naukowców. Według sugestii Golby celem prowadzonych badań było stworzenie trucizny, którą można wykorzystać na niewielką skalę. „Powyższe prace pracowni bakteriologicznej miały przygotować toksynę do potrzeb dywersji indywidualnej, tzn. chodziło o to, by Oddział II [polski wywiad – przyp. autora] w razie potrzeby mógł dysponować środkiem trującym, przy pomocy którego można w sposób ukryty zgładzić człowieka" – zeznał.

W trakcie badań pracownicy SRT uznali, że jad kiełbasiany nadaje się idealnie do celów dywersyjnych, gdyż można go podać w zimnych produktach spożywczych: kanapkach i sałatkach oraz piwie i słabym winie

Bakteria Salmonelli.

Polski biolog Rudolf Weigl wynalazł skuteczną szczepionkę na tyfus plamisty. Z tego względu dr Jan Golba uważał zarazki wywołujące tę chorobę za nieskuteczną broń.

fot. Wikimedia Commons, NAC

(testy wykazały, że alkohol o mocy 40–45 procent niszczył toksynę). Trucizna miała jednak pewien słaby punkt – wytwarzała ostry, nieprzyjemny zapach. „W celu usunięcia tej właściwości – wspominał dr Golba – zastosowaliśmy wysuszanie tej toksyny w obecności świeżo pieczonego, lecz wysuszonego chleba razowego, żytniego. Drugą z grup badań było stwierdzenie, czy toksynę botulinową można przechowywać w tłuszczach w postaci maści, kremów itp.". Ostatecznie naukowcy doszli do wniosku, że jad kiełbasiany może być zastosowany jako „maść na skórę, np. przez nasmarowanie taśmy skórzanej kapelusza czy czapki".

Kontrola umysłów

Od 1933 roku działało w Referacie Technicznym jeszcze jedno ważne laboratorium – pracownia toksykologiczna, w której opracowywano środki odurzające oraz toksyny pochodzenia biologicznego. Jednostką kierował kpt. Ludwik Krzewiński. Podczas przesłuchania, które odbyło się 21 listopada 1951 roku, dr Golba zeznał: „Na moje pytanie o celu tej pracowni Krzewiński wyjaśnił, że będzie zajmował się preparowaniem środków usypiających oraz środków osłabiających wolę. Usypiające środki według jego wyjaśnień będą stosowane do osłabienia czujności, zaś środki osłabiające wolę będą stosowane przy badaniach opornych aresztowanych". Krzewiński planował również produkcję spreparowanych papierosów odurzających, które nadawałyby się do celów dywersyjnych.

Golba zeznał ponadto, że w pracowni prowadzono hodowlę roślin trujących. Naukowiec zapamiętał, że przechowywano w niej sumaka pospolitego oraz naparstnicę. Nie wspominał szerzej o sposobach wykorzystania tych roślin, ale twierdził, że inż. Zofia Wojtucka, zajmująca się ich badaniem, miała nabawić się przez nie choroby uczuleniowej.

W okolicach 1936 roku dr Golba – na polecenie ówczesnego kierownika SRT, mjr. Władysława Harlanda – udał się do Starogardu, gdzie mieściła się placówka Samodzielnego Referatu Informacyjnego Dowództwa Okręgu Korpusu Toruń. Wedle tego, co opowiadał, był tam świadkiem dwóch eksperymentów dokonanych przez Krzewińskiego. Pierwszego dnia odbyło się przesłuchanie trzydziestoletniego >>>

www.odkrywca.pl

>>> mężczyzny, podejrzanego o szpiegostwo na rzecz Niemiec. Krzewiński wstrzyknął mu lek przeciwbólowy, który w rzeczywistości był mieszaniną różnych środków chemicznych. W strzykawce znajdowała się również niewielka ilość substancji wytwarzanej przez południowoamerykańskie rośliny. Po kilkunastu minutach przesłuchiwany mężczyzna zaczął się intensywnie pocić i miał problemy z mówieniem. Następnego dnia powtórzono eksperyment na kolejnym osobniku, któremu stawiano podobne zarzuty. Golba był negatywnie nastawiony do tych doświadczeń, jednak Krzewiński uznał je za sukces, ponieważ w ich wyniku podejrzani przyznali się do winy.

Współpraca z Japonią

O tym, jak poważnie polski wywiad podchodził do badań nad mikrobami, świadczą kontakty, które starano się nawiązać w latach 30. z japońskimi naukowcami związanymi z Jednostką 731 – tajnym laboratorium realizującym zaawansowany program rozwoju broni chemicznej i biologicznej. W 1934 roku w gmachu Oddziału II, mieszczącym się przy pl. Piłsudskiego w Warszawie, zorganizowano tajną konferencję z udziałem japońskiej delegacji. Dr Golba przygotował na tę okazję referat naukowy, dotyczący możliwości zastosowania bakterii podczas działań wojennych. Przełożeni nakazali mu ująć materiał w taki sposób, aby nie zdradzić w nim wszystkich wiadomości, jakimi dysponował referat. Konferencja miała odbyć się w języku rosyjskim.

Jako pierwszy do materiałów dotyczących tego spotkania dotarł historyk i publicysta Andrzej Krajewski, nadając mu jednak zbyt dużą rangę. Z zeznań Golby wynika bowiem, że konferencja była bardzo skromna – strona japońska wysłała na nią zaledwie dwie osoby, z których jedna była zastępcą japońskiego attache wojskowego w Warszawie. Co więcej, naukowiec zaznaczył, że przedstawione przez niego materiały nie były dla Japończyków niczym nadzwyczajnym, gdyż Referat Techniczny stawiał wtedy dopiero pierwsze kroki i opierał się wyłącznie na istniejących publikacjach na ten temat.

Dr Golba przedstawił w swoim referacie możliwości zarażania ludzi, zwierząt i roślin podczas działań wojennych zarazkami: duru plamistego przenoszonego przez wszy, czerwonki, salmonelli, wąglika, nosacizny i raka ziemniaczanego. Następnego dnia swój referat wygłosili Japończycy. Poza drobnoustrojami wymienionymi przez stronę polską, przedstawili możliwość użycia

Tadeusz Pełczyński, szef polskiego wywiadu w latach 1929-1932 i 1935-1939.

Bolesław Bierut planował pokazowy proces przedwojennych polskich bakteriologów.

Pozostałości po japońskim laboratorium, w którym pracowano nad bronią bakteriologiczną.

zarazków dżumy i cholery. Jak zaznaczył jednak Golba – ich materiały również nie zawierały żadnych nowych informacji, gdyż pracownicy Referatu Technicznego znali je już z publikacji naukowych.

O dalszej współpracy pomiędzy polskimi i japońskimi naukowcami nie wiemy zbyt wiele. Golba wspominał jednak o pewnym wydarzeniu, które musiało świadczyć, że był ceniony w środowisku japońskich bakteriologów. Wedle jego relacji, w okresie Bożego Narodzenia 1939 roku, gdy pracował już we Francji dla emigracyjnego Ministerstwa Spraw Wojskowych, odrzucił propozycję pracy na rzecz japońskiej nauki, złożoną przez ówczesnego szefa Oddziału II. Warto dodać, że związki Golby z polskim wywiadem musiały być wtedy dużo słabsze, gdyż przed UB zeznał, że kierował nim wówczas ppłk Bolesław Wasilewski. Tymczasem nigdy nie pełnił on tego stanowiska.

Króliki doświadczalne

Wkrótce przełożeni Golby zażądali od niego, aby sprawdził swoje rozważania związane z przygotowaniem wojny bakteriologicznej w praktyce. Z zeznań naukowca wynikało, że polskie służby nie dążyły do wywołania tego typu wojny, lecz zamierzały opracować metody, które pozwoliłyby się przed nią obronić. Stalinowscy śledczy postanowili jednak uczynić z tej kwestii główny zarzut, mający obciążyć pracowników referatu.

Zgodnie z zaleceniami oficerów w SRT zaczęto badać pałeczki czerwonki i salmonelli oraz bakterie paratyfusu typu A i B. Po pierwszych testach dr Golba wysłał raporty, w których stwierdził, że żaden z tych mikrobów nie nadaje się do użycia w charakterze broni. Najbardziej krytycznie naukowiec podchodził do zarazków wywołujących tyfus, ponieważ większość ludzi była na nie uodporniona ze względu na powszechne szczepienia (szczególne zasługi miał w tym zakresie polski biolog Rudolf Weigl, który

fot. Domena publiczna (Wikimedia Commons), Akirakaoru Matsuoka - lic. CC BY-SA 3.0

www.odkrywca.pl

wynalazł pierwszą na świecie skuteczną szczepionkę przeciwko tyfusowi plamistemu). Mikroby można było jednak uzjadliwić, czyli stworzyć groźniejsze i bardziej odporne na leki szczepy. Problem polegał na tym, że nie można było oszacować ich skuteczności bez zarażenia nimi żywych organizmów. W tych okolicznościach dr Golba zaczął prowadzić eksperymenty na zwierzętach, a z czasem – także na ludziach. Ten fakt miał ostatecznie pogrążyć sanację w przygotowywanym procesie. Nie można zaprzeczyć, że zeznania dotyczące tego zagadnienia mogły zostać sfabrykowane przez stalinowskich śledczych. Znane są jednak liczne przypadki testowania bakterii na więźniach przez inne państwa. Możliwe zatem, że służby wywiadowcze II RP uznały prowadzenie podobnych badań za konieczne.

Według protokołów UB w 1937 roku dr Golba miał wysłać wniosek do ówczesnego szefa Oddziału II, płk. Tadeusza Pełczyńskiego, z prośbą o możliwość przeprowadzenia testów na więźniach skazanych nieodwołalnie na śmierć. „Na skutek tego pisma została zorganizowana przez SRT Brześć, na terenie Brzeskiej Twierdzy, stacja doświadczalna dla tych celów", przyznał podczas przesłuchania. Pierwszy eksperyment przeprowadził razem z dr. Ostrowskim. Naukowcy mieli podać dwóm osobnikom – prawdopodobnie Ukraińcowi i Polakowi – kawę z zawiesiną paratyfusu typu „B". Doświadczenie dało wynik ujemny, dlatego kilka miesięcy później Golba postanowił sprawdzić działanie jadu kiełbasianego, podając mężczyznom zatrute kanapki z kiszką pasztetową. Tym razem toksyna okazała się skuteczna: badani zmarli w przeciągu czterech dni. Jak wspominał Golba: „Śmierć nastąpiła na skutek porażenia ośrodka oddechowego i naczyniowo-ruchowego, gdy delikwenci byli nieprzytomni. W czasie choroby pozostawiono ich bez żadnej opieki lekarskiej".

Dantejskie sceny

Intensyfikacja badań prowadzonych w Brześciu nastąpiła tuż przed wybuchem wojny, latem 1939 roku. Według wspólnego projektu Golby i Ostrowskiego zbudowano tam wówczas murowaną komorę ciśnieniową do doświadczeń nad rozpylaniem bakterii. Zgodnie z opisami Golby konstrukcja miała w przybliżeniu powierzchnię około 9 m kw., a wewnątrz była wymalowana farbą olejną. „Drzwi były uszczelnione z żelaza. W jednej ze ścian było okienko oraz otwór do wkładania przyrządu rozpylającego. O ile pamiętam, wewnątrz było urządzenie natryskowe", wspominał bakteriolog. Montażem komory zajęli się pracownicy warsztatu mechanicznego SRT, kierowanego przez Jana Kobusa.

Jedna z bram Twierdzy Brzeskiej. To tutaj dr Jan Golba miał podobno prowadzić eksperymenty na więźniach.

Pierwsze doświadczenie w komorze miało na celu sprawdzić, czy jest możliwe „zarażenie drogą przewodu oddechowego bakteriami z grupy Salmonella". Osobą, na której przeprowadzono tę próbę, był Polak w wieku około 30 lat. Przed wejściem do środka Golba miał go uspokajać, że nie stanie się mu nic złego. Gdy mężczyzna znalazł się już w środku, naukowcy uruchomili na zewnątrz pompę sprężającą powietrze i wprowadzili bakterie, które uniosły się w powietrzu w postaci mgły. Osobnik przebywał w komorze około 10–15 minut. Rezultat doświadczenia okazał się niekorzystny – mężczyzna nie zachorował. Wtedy Golba i Ostrowski wykorzystali sprawdzoną już metodę, podając mu kanapkę z jadem kiełbasianym. W kolejnych doświadczeniach do komory ciśnieniowej wtłaczano zawiesinę tyfusu. Naukowcy mieli poddać tym eksperymentom siedem osób, dostarczonych przez szefa Wydziału III polskiego wywiadu, ppłk. Józefa Skrzydlewskiego.

Najbardziej przerażające opisy przedstawione przez Golbę dotyczyły sposobu pozbywania się ciał. „Po ich śmierci zwłok nie zakopywano, lecz kładziono do specjalnie przygotowanej wanny, która miała połączenie ołowiowe z dołem na ten cel wykopanym. Wannę zapełniano wtedy mieszaniną kwasu siarkowo-technicznego i kwasu solnego. Kwas siarkowy miał za zadanie rozpuścić tkanki miękkie, a kwas solny – kości", zeznał w trakcie śledztwa. Ciała przebywały w mieszaninie przez kilka dni, dopóki całkowicie się nie rozpuściły. To, co pozostało w wannie, wylewano rurą do dołu.

Po trwającym dwa lata śledztwie stalinowscy prokuratorzy sporządzili obszerny akt oskarżenia. Gdy wszystko było już przygotowane, nadeszło niespodziewanie pismo od Rady Ministrów ZSRR, w którym nakazano Bierutowi zrezygnować z głośnego procesu politycznego. Stanęło na tym, że we wrześniu 1953 roku przeprowadzono tajną rozprawę zaledwie czterech pracowników SRT. Jan Golba został skazany na 13 lat więzienia, ale ostatecznie wyszedł na wolność już po 2.

Artykuł powstał w oparciu o materiały Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, znajdujące się w zbiorach Instytutu Pamięci Narodowej.

Adam Gaafar
Dziennikarz i publicysta historyczny. Specjalizuje się w tematach związanych z dziejami propagandy politycznej i II wojną światową. Publikował m.in. w „Focusie Historia" i Wirtualnej Polsce.

www.odkrywca.pl

CO NAM MÓWIĄ KULE, CZYLI O POŻYTKACH Z ARCHEOLOGII MILITARNEJ

CZĘŚĆ 1

MICHAŁ MACKIEWICZ

Walki w latach 1863–1864 należałoby uznać za pierwszy nowoczesny konflikt zbrojny w Polsce i z pewnością jeden z pierwszych w Europie właśnie z uwagi na uzbrojenie strzeleckie, które w owym czasie przeżywało gwałtowny rozwój.

Sytuacja, w której źródła pisane, ikonograficzne i archeologiczne wzajemnie się uzupełniają, jest marzeniem każdego historyka. Dotyczy to zarówno czasów najdawniejszych, jak też epok stosunkowo nieodległych i dobrze rozpoznanych dzięki licznym dokumentom, wspomnieniom, fotografiom i zachowanym pamiątkom. Dobrym przykładem jest powstanie styczniowe, któremu poświęcono tysiące publikacji, poddając wnikliwej analizie kwestie polityczne, społeczne i wojskowe, i które wciąż skrywa wiele zagadek. Ot, chociażby tą dotyczącą legendarnych belgijskich sztucerów, w które jakoby uzbrojeni byli nasi insurgenci.

Rewolucja w uzbrojeniu strzeleckim

Kwestia uzbrojenia strzeleckiego pozostaje jednym z najmniej rozpoznanych i najbardziej intrygujących aspektów styczniowego zrywu. W dotychczasowej literaturze problem ten traktowano pobieżnie, skupiając się przede wszystkim na źródłach finansowania i pozyskiwania uzbrojenia oraz szacowaniu ilości materiału wojennego dostarczonego na teren Kongresówki, a niemal zupełnie pomijając

Francuski karabin kapiszonowy przerobiony ze skałkowego. I taka broń mogła trafić do rąk powstańców styczniowych.

rodzaje i wzory broni, jakie trafiły do rąk powstańców. Tymczasem walki w latach 1863–1864 należałoby uznać za pierwszy nowoczesny konflikt zbrojny w Polsce i z pewnością jeden z pierwszych w Europie, właśnie z uwagi na uzbrojenie strzeleckie, które w owym czasie przeżywało gwałtowny rozwój.

Ówczesny żołnierz dysponował bronią nieporównanie lepszą od tej z okresu wojen napoleońskich,

www.odkrywca.pl

„Potyczka" – obraz F. Bastina. Strzelec uzbrojony w kapiszonowy karabin wojskowy z bagnetem.

fot. Muzeum Wojska Polskiego

czy powstania listopadowego – odprzodowym gwintowanym karabinem z zamkiem kapiszonowym. Geneza doniosłych przeobrażeń w uzbrojeniu strzeleckim sięga początków dziewiętnastego stulecia i związana jest z wynalezieniem kapiszonu (miedziana miseczka wypełniona piorunianem rtęci) oraz skonstruowaniem nowego zamka przystosowanego do jego użycia. Z uwagi na właściwości piorunianu, pewność strzału – w porównaniu z używanymi dotychczas karabinami/pistoletami skałkowymi – wzrosła skokowo; zwiększyła się też wygoda użytkowania. Na przełomie lat 30. i 40. wszystkie nowoczesne armie rozpoczęły gigantyczne przezbrajanie, przy czym najpierw przerabiano skałkówki na kapiszonowce, potem ruszyła produkcja nowych wzorów. Równocześnie trwały intensywne prace nad amunicją, mające na celu poprawę właściwości balistycznych pocisków, a także ułatwienie ładowania broni o gwintowanych lufach. Jej zalety znano od dawna, jednakże żmudny proces ładowania (kulę wbijano w przewód lufy tak, aby wpasować ją ciasno w gwint) powodował, że sztucerów używano w ograniczonej liczbie i tylko w elitarnych formacjach strzelców.

Zastosowanie wydłużonych walcowatych pocisków o kalibrze mniejszym od wewnętrznej średnicy lufy rozwiązało problem. Po włożeniu wpasowywano je w gwint uderzeniami stempla, przy czym pocisk opierał się na ściankach komory nabojowej, węższej aniżeli >>>

www.odkrywca.pl

Gwintowane wojskowe karabiny kapiszonowe z połowy XIX wieku, od góry: pruski wz.1839/55 kal. 18 mm dostosowany do amunicji ekspansywnej Minié; belgijski karabin systemu Thouvenin'a (z trzpieniem w dnie komory), wiernie wzorowany na francuskim karabinie strzelców (szaserów); francuski wz.1857 dostosowany do amunicji ekspansywnej Minié.

Pocisk pomysłu kpt. Minié. Metalowa miseczka (prawy dolny róg) pod wpływem gazów prochowych wbijała się we wgłębienie w pocisku, powodując rozpęcznienie ścianek i dobre wpasowanie w gwint lufy.

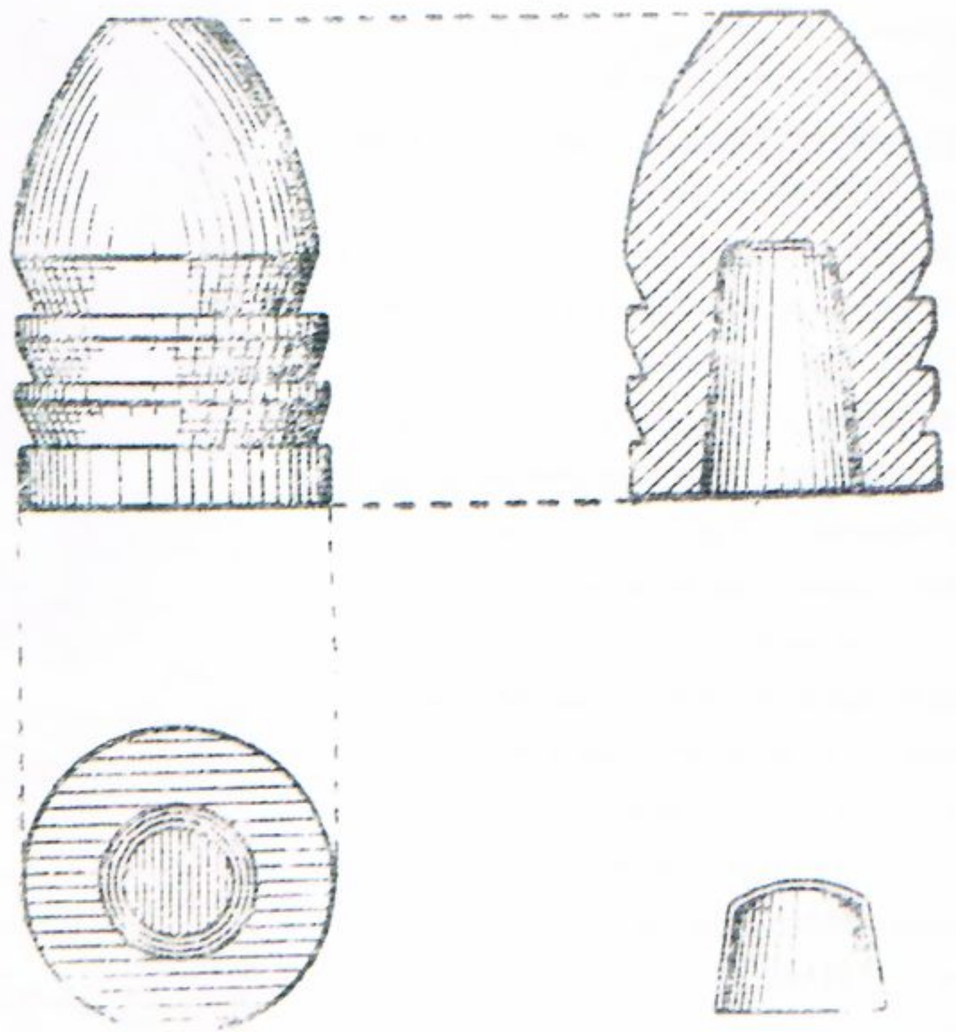

>>> przewód lufy (system Delvigne), albo na specjalnym trzpieniu (pomysł Thouvenin'a). Zwieńczeniem wieloletnich testów było przyjęcie w większości armii w drugiej połowie lat 50. broni dostosowanej do tzw. pocisków ekspansywnych (system Minié) lub kompresyjnych (system Wilkinson-Lorenz). W pierwszym przypadku, w wydatnym wgłębieniu w dennej części walcowatego i mniejszego od średnicy lufy pocisku osadzony był niewielki klin (żelazny, potem stosowano także drewniane), który w momencie strzału wbijał się pod wpływem gazów prochowych w głąb pocisku i powodował rozszerzenie jego ścianek, a co za tym idzie, dobre wpasowanie się ołowiu w bruzdy lufy. Amunicję taką przyjęli na uzbrojenie m.in. Rosjanie. Stefan Brykczyński, powstaniec styczniowy i autor słynnych wspomnień, tak opisywał rosyjskie pociski: „Kule bowiem owe były długie, z tyłu puste, i w tym otworze siedziała miedziana kapsla, której zadaniem było pod wpływem parcia gazów, z wybuchu gazu powstałych, rozepchnąć ścianki kuli, ażeby szczelniej do gwintów lufy przystawała". Część armii, które przyjęły u siebie system Minié zrezygnowała potem ze stosowania klinów (np. amerykańska amunicja Burtona), co w żaden sposób nie obniżyło parametrów amunicji. W drugim z kolei systemie pocisk nie posiadał wgłębienia, ale dookolne głębokie bruzdy, które pod wpływem ciśnienia gazów prochowych powodowały jego ściśnięcie i skrócenie, a tym samym „wcięcie" się w bruzdy wewnątrz lufy. Tę amunicję zaadaptowali m.in. Austriacy.

Suma wszystkich powyższych wynalazków, a więc kapiszonowy zapłon, gwintowana lufa oraz nowa amunicja wpłynęły na zwielokrotnienie skuteczności strzeleckiej broni palnej; wzrosła nie tylko pewność strzału, ale także jego zasięg i precyzja. W tym samym okresie nastąpiło rozpowszechnienie rewolwerów, przy czym powstanie kapiszonu także w tym przypadku okazało się stymulujące i umożliwiło Samuelowi Coltowi opracowanie pierwszego w pełni praktycznego rewolweru (model Paterson z 1836 r.), w którym zsynchronizowano obroty bębna z ruchem kurka.

W latach 60. broń odprzodowa osiągnęła apogeum swojej doskonałości. Wtedy też nastąpił ostateczny koniec jej kariery, zapoczątkowanej bez mała 500 lat temu. Na polu walki pojawiać się zaczęły karabiny

www.odkrywca.pl

i rewolwery odtylcowe. Zwiastunem nowej ery był rok 1840, kiedy to w Prusach zatwierdzono do uzbrojenia odtylcowy karabin – iglicówkę (Zündnadelgewehr) systemu Dreyse. Karabin wz.1841 posiadał zamek tłokowy, ślizgowo-obrotowy i strzelał papierowym nabojem scalonym, ze spłonką umieszczoną wewnątrz. Broń miała zadziwić świat dopiero w 1866 r. na polach Königgrätz, gdzie Prusacy zmasakrowali uzbrojonych w odprzodowe karabiny Austriaków, ale bojowy debiut miał miejsce znacznie wcześniej, a iglicówki znalazły zastosowanie także podczas powstania styczniowego, o czym świadczą słowa Wielkopolanina, żołnierza z oddziału pruskich dragonów, który przyłączył się do insurgentów: „Zaraz też nasz pan oficer oddał mu się z nami pod komendę [dowódcy powstańczej partii Szymanowskiemu – przyp. autora]. Już to ci ludzie byli bardzo licho uzbrojeni. Każdy miał jeno lancę, na którą mógł liczyć, bo reszta broni to aż żal się, Boże! Stare pałasiska, niektóre nawet ułamane końce miały, a pistoletów mieli w całym oddziale dwa i dwie dubeltówki, które zawsze ci brali, którzy szli na placówkę, i to jeszcze te gruchoty nie puszczały. Bardzo byli więc wszyscy radzi naszym karabinkom, a szczególnie wydziwić się nie mogli, >>>

Rewolwer Colt Navy wyprodukowany w Tule. Rewolwery były niezwykle cenione i okazywały się niezastąpionym orężem w walce na bliskie odległości i w leśnej gęstwinie. Na zdjęciach z epoki widoczne są rozmaite systemy, m.in. Adamsa i Lefaucheaux (naboje scalone bocznego zapłonu z pociskiem osadzonym w mosiężnej łusce).

Powstaniec uzbrojony w dubeltówkę kapiszonową z dopasowanym wojskowym bagnetem siecznym oraz rewolwer (prawdopodobnie systemu Beaumont-Adams). „Broni myśliwskiej używano wszelkiego rodzaju i kalibru, począwszy od takiej, z którą poluje się kulami na wilki i dziki, aż do takiej, z której strzela się do wróbli. Przeważnie były to dubeltówki, niektóre z zepsutymi zamkami albo bez stempli, a więc całkiem bezużyteczne, niesione tylko w nadziei naprawy. Na te dubeltówki nasadzano czasem bagnety sieczne, z grubsza tylko obrobione, ale nadające się nienajgorzej do użycia…" (F. Erlach)

fot. Muzeum Wojska Polskiego

Karabinek kapiszonowy, rewolwerowy systemu Adamsa; należał do uczestnika powstania T. Ciążyńskiego.

>>> że strzelały, jak ta igła żgnęła w nabój (...) Nasi może na trzysta kroków przed Moskalami pędzili, jak nasi mijali, pokazał im się nasz oficer, aby dowódca wiedział, gdzie my jesteśmy – a potem zaraz, jak Moskale nadjechali, sypnęliśmy do nich z karabinków, co ich bardzo zmieszało, bo myśleli, że ich nasi wciągnęli w zasadzkę. Te nasze karabinki to jednak bardzo dobre były: dobrze strzelały, a nabijały się tak prędko, że zdążyłem pięć razy do Moskali strzelić i nabić".

Oprócz niemieckich iglicówek wspomnieć trzeba koniecznie o amerykańskiej broni odtylcowej szeroko wykorzystywanej podczas wojny secesyjnej – zwłaszcza wielostrzałowych karabinach Henry'ego i Spencera. I w tym wypadku mamy podstawy przypuszczać, że znalazły one zastosowanie podczas powstania styczniowego. We wspomnieniach Pawła Wyskoty Zakrzewskiego znajduje się arcyciekawy fragment dotyczący udziału hrabiego Jana Działyńskiego w bitwie pod Ignacewem: „Z mojego miejsca widziałem także Działyńskiego, stojącego na szańczyku i strzelającego z prawdziwie budującym spokojem ze swego 16-tu strzałowego karabinu jak prosty żołnierz. Prawda, czynił on to samo pod Pyzdrami, ale tam stali nasi za sosnami w bardzo łagodnym ogniu – tu biło w szańczyk, mający co najwyżej 120 kroków długości, 8 armat i strzelało do niego 1000 karabinów". Ponieważ hrabia był znanym miłośnikiem broni strzeleckiej i niezgorszym wynalazcą, sugerowano, iż strzelał z karabinu przez siebie skonstruowanego. Tymczasem pomysły swoje Działyński realizował już po powstaniu (o czym świadczy korespondencja i rysunki dotyczące jego wielostrzałowej broni, przechowywane w archiwum w Kurniku), a bronią spod Ignacewa był najpewniej wspomniany karabin Henry'ego. Była to broń o zamku dźwigniowym, dostosowana do naboju 0,44 cala (11,2 mm), z umieszczonym pod lufą rurowym magazynkiem mieszczącym 15 nabojów (16 można było wprowadzić bezpośrednio do komory). Karabin ten, protoplasta słynnego Winchestera z 1866 r., dostępny był na rynku komercyjnym już w 1862 r. i można założyć, iż Działyński nie miał problemu z nabyciem dla siebie tej szybkostrzelnej nowinki.

Odtylcowa broń strzelecka występowała w powstaniu incydentalnie, a jej obecność związana jest z prywatną inicjatywą poszczególnych osób lub dowódców, którzy mieli możliwość indywidualnego zaopatrywania się w materiał wojenny. Zakupy realizowane na zlecenie władz centralnych nie przewidywały takich nowinek. Rząd Narodowy upominał swoich ajentów, aby kupowali broń możliwie prostej konstrukcji, łatwą do opanowania przez niewyszkolonych żołnierzy i umożliwiającą ewentualne naprawienie.

Jaka to więc była broń?

Królestwo Polskie – bez armii, broni i kadr

Upadek powstania listopadowego oznaczał jednocześnie kres istnienia Wojska Polskiego, jednolicie wyposażonego i uzbrojonego w regulaminową wojskową broń. Armia, o ile w ogóle możemy tutaj użyć tego określenia, która w styczniu 1863 r. zaatakowała carskie garnizony w Królestwie była improwizowana, tworzona w specyficznych warunkach konspiracji. Jednym z najistotniejszych problemów, przed jakim stanął Komitet Centralny Narodowy, a potem Rząd Narodowy, było zapewnienie odpowiedniej ilości wojskowej broni palnej. Tymczasem, mimo że do powstania

Patrol powstańczy prowadzący jeńca. Mal. Felix Franic 1897 r. Dwóch jeźdźców z eskorty uzbrojonych w rewolwery.

fot. Muzeum Wojska Polskiego

www.odkrywca.pl

Obóz oddziału powstańców Józefa W. Ruckiego w lesie pod Święcicą w przededniu bitwy pod Chełmem (5.8.1863 r.); litografia.

Edmund Łosiński; za pasem rewolwer trzpieniowy systemu Lefaucheaux produkcji belgijskiej.

przygotowywano się od dłuższego czasu i zdążono wydatkować niemałe sumy pieniędzy, to transporty z uzbrojeniem w zasadzie nie dotarły na teren zaboru rosyjskiego przed wybuchem walk. Józef Piłsudski, analizujący swojego czasu przebieg styczniowego zrywu, pisał, że „kosy miały się zderzyć z bagnetami i karabinami, myśliwskie strzelby miały sprostać armatom (...) przygotowania wojenne polskie wyglądać raczej mogły na przygotowania na obławy na dzikiego zwierza, w jakimś leśnym stepie niż na zamiar wojny". Brak zagranicznego uzbrojenia wojskowego spowodował, że powstańcy ruszyli do boju mając od kilkuset do tysiąca kilkuset egzemplarzy broni palnej, niemal wyłącznie myśliwskiej. Ta katastrofalna sytuacja wynikała m.in. z zapobiegliwości Rosjan, którzy już w listopadzie 1861 r. nakazali zdać wszelką broń palną i białą. W wyniku tego zarekwirowano ponad 7 tys. myśliwskich strzelb, ponad 200 pistoletów i około 100 sztuk broni siecznej. Nie była to oczywiście cała broń z Królestwa, Litwy i Ukrainy, w domach i dworach, jak pokazały dalsze wypadki, pozostało jej jeszcze sporo, tylko że organizacji nie udało się do niej dotrzeć, a i nie wszyscy byli sympatykami niepodległościowej sprawy. Wojskowa broń zaczęła napływać do Polski już w trakcie powstania. Choć przewinęło się przez nie przeszło 200 tys. ludzi, w polu jednocześnie nie walczyło więcej jak 20–30 tys., i nigdy nie było to wojsko jednolicie uzbrojone, zazwyczaj z mniejszym bądź większym odsetkiem żołnierzy wyposażonych w strzelby myśliwskie lub tylko w broń białą. Nawet jeśli transport z uzbrojeniem szczęśliwie przekroczył granicę, nie zawsze zdążono jego zawartość rozdzielić żołnierzom. Niekiedy, po krótkim starciu tuż za kordonem, cały wpadał w ręce Rosjan (jak choćby pod Krzykawką), innym razem sytuacja zmuszała do natychmiastowego ukrycia broni, po którą już, z różnych zresztą przyczyn, nie wracano. <

Michał Mackiewicz
Pracownik Działu Historii Wojskowości MWP w Warszawie, archeolog. Zajmuje się historią broni strzeleckiej i archeologią militarną. Autor szeregu artykułów i książek z zakresu dziejów wojskowości i bronioznawstwa.

ZAKŁADY R1 KOW

JACEK DROŻDŻ

ARY

fot. J. Drożdż

W MARCOWYM NUMERZE „ODKRYWCY" LESZEK ADAMCZEWSKI PRZEDSTAWIŁ NAM PASJONUJĄCĄ HISTORIĘ PRZEDWOJENNEGO GÓRNICTWA URANOWEGO W KOWARACH. DZIŚ W WIELKIM SKRÓCIE ZARYSUJEMY DZIEJE POWOJENNE TEGO MIEJSCA: ZAKŁADU PRZEROBU JUŻ WYDOBYTEJ RUDY – TZW. ZAKŁAD RI.

KULISY HISTORII

POLOWANIE NA RUDĘ URANU

Zajmuje Rzesza, sprzymierzeni polowali na skarby kultury, na zbrodniarzy hitlerowskich, na kobiety, ale najpierwszym łupem dla wszystkich była ruda uranu.

LESZEK ADAMCZEWSKI

KULISY HISTORII

Tajemnicze zakłady w Hechingen

ilustracja otwierająca marcowy artykuł przedstawia widok kopalni Bergfreitgrube – po wojnie kopalnię Wolność. Polacy uruchomili w niej wydobycie, ale nie na długo. Pod koniec lat 40. w Kowarach pojawili się Rosjanie, by uruchomić wydobycie rudy uranowej. Teren zamknięto, przy drogach wjazdowych umieszczono milicyjne patrole. Niedługo potem zaczęli przybywać do tej małej miejscowości górnicy z wielu zakątków kraju – skuszeni obietnicami wysokich zarobków.

Kowary kojarzymy przede wszystkim z udostępnionymi do zwiedzania sztolniami uranowymi. Jednak rzadko zadajemy sobie pytanie, co dalej działo się z wydobytą rudą. Wędrowała ona właśnie do budynków byłej kopalni Wolność, która po zaprzestaniu wydobycia przekształcona została w zakład przerobu rudy. Dziś to niepozorny kompleks budynków usytuowany na zboczu góry, tuż poniżej drogi nr 367 prowadzącej do Ogorzelca. Do zakładu prowadzi boczna ścieżka zakończona bramą, a cały kompleks jest niewidoczny od głównej drogi.

Nieco lepiej prezentuje się zakład od ulicy Wiejskiej. Jadąc do udostępnionych sztolni, mijamy po lewej stronie wyremontowany mostek. W oddali, na wzgórzu, widać kilka niepozornych budynków – to właśnie ten, do niedawna ściśle tajny obiekt, a niegdyś kopalnia Bergfreitgrube.

Od mostku nad rzeką spacerujemy wydeptaną ścieżką aż pod torowisko, które prowadzi do samego zakładu. Tutaj, przy widocznych jeszcze na murze propagandowych hasłach mających nas >>>

1 Pozostałości infrastruktury technicznej – wentylator systemu wentylacji pomieszczeń.
2 Liczne pozostałości dawnego wyposażenia zakładu – suwnice, młyny, rurociągi. Pomimo upływu lat wszystko zachowane w bardzo dobrym stanie.
3 Napęd taśmociągów. z porządną osłona pasa napędowego.
4 Pozostałość systemu sygnalizacji pożaru – syrena alarmowa.

fot. J. Drożdż

3
4

5

6

7

fot. J. Drożdż

zapewnić o tym, jak bratni nam wówczas kraj miłował pokój, ładowano do wagonów uran, które odjeżdżały później do ZSRR.

Wędrując po terenie Zakładu R1, możemy ocenić, w jakich warunkach pracowali ludzie. Pracownicy gołymi niemal rękami chwytali uranową rudę. Nie stosowano żadnych zabezpieczeń, nie prowadzono również szkoleń i nie informowano pracowników o zagrożeniu. Oficjalnie wydobywano rudę żelaza – choć raczej mało kto w to wierzył. Wprawdzie pracownicy domyślali się, co trzymają w rękach, jednak świadomość konsekwencji długotrwałego narażenia na promieniowanie była raczej niewielka. Nie wpuszczano na teren Zakładu przedstawicieli wrocławskiego Wydziału Higieny Pracy, nie przeprowadzano żadnych badań lekarskich pracowników...

Sytuacja zmieniła się dopiero po przejęciu zakładów przez Polaków – nastąpiło to w 1956 roku. Gdy Rosjanie wyjechali, rozpoczęto szeroko zakrojone inwestycje w zdrowie pracowników – uruchomiono m.in. nowoczesną i świetnie wyposażoną przychodnię lekarską, rozpoczęto regularne badania okresowe, zaczęto również stosować przepisy BHP.

Niestety, pomimo ogromnego wkładu w profilaktykę zdrowotną, średnia wieku kowarskich górników była niepokojąco niska. Nie tylko zresztą ich – wszędobylski pył przenoszono przez lata do domów – narażeni byli wszyscy. Stałe, wieloletnie działanie promieniowania powodowało przez lata różne nasilające się dolegliwości, z nowotworami włącznie. Jednak w tamtych latach o tym nie myślano – żyło się w Kowarach dość wygodnie jak na siermiężne lata komunizmu. Mieszkania, wysokie jak na tamte czasy zarobki zachęcały wielu do podjęcia pracy w tym miejscu.

W drugiej połowie lat 60. uruchomiono w byłych budynkach kopalni „Wolność" nowoczesną linię wzbogacania uranu. Cały projekt, technologia i wyposażenie były polskiej produkcji – Rosjanie nie sfinansowali tej inwestycji. Rudę przerabiano na koncentrat i w takiej formie sprzedawano Związkowi Radzieckiemu. Według różnych źródeł mogło to być kilkadziesiąt ton.

W końcu jednak złoża się wyczerpały i zakład zamknięto w 1973 roku. Kamień pozostały z przerobu rudy składowano na pobliskiej górce, a także wykorzystywano do budowy dróg i, niestety, do budowy domów. Sam uran służył do produkcji prętów paliwowych dla radzieckich elektrowni. Panuje opinia, że z kowarskiego uranu wyprodukowano także pierwszą radziecką bombę atomową. Czy to prawda – trudno ocenić, ale biorąc pod uwagę ilość wywiezionego stąd uranu, wydaje się to prawdopodobne.

Pomimo że od kilkudziesięciu lat obiekt jest nieczynny, nadal podlega nadzorowi radiologicznemu. To teren wciąż zamknięty. Wyposażenie nadal znajduje się na swoim miejscu. Linia wzbogacania uranu miała być sprzedana w latach 90. Irakijczykom, ale ostatecznie nie doszło do sfinalizowania transakcji.

Dziś te ponure budynki są cichym i przerażającym dowodem na to, jak nisko ceniono ludzkie życie w tamtych czasach. A propagandowe hasła nijak miały się do rzeczywistości. <

Jacek Drożdż
Pasjonat historii, Dolnego Śląska. Miłośnik wędrówek po ciekawych miejscach w Polsce. Członek Grupy Poszukiwawczej Riese.

5 Widok ogólny zakładu. Na pierwszym planie rampa kolejowa, kładka komunikacyjna, w tle – budynek produkcyjny.

6 Przenośnik rudy z budynku magazynowego do budynku produkcyjnego. W budynku poniżej przygotowywano i formowano pręty paliwowe.

7 Wnętrze pomostu taśmociągu. Tutaj wciąż czai się niewidoczne niebezpieczeństwo – promieniowanie.

www.odkrywca.pl

CZĘŚĆ 2

ŻELBETOWE WI
SCHRONY PRZECIWLOT

FESTUNG GOTENHAFEN

MARCIN DUDEK

Kolejna, druga część artykułu o znajdujących się na terenie Portu Wojennego na Oksywiu żelbetowych schronach – wieżach przeciwlotniczych, jest poświęcona opisowi samych budowli. Nie będzie to proste, jeśli chodzi bowiem o większość szczegółów wnętrza budowli, skazani jesteśmy na domysły. Schrony znajdują się na terenie administrowanym przez Marynarkę Wojenną, gdzie obowiązują ograniczenia ruchu dla osób postronnych. Jednak od czasu do czasu, zwykle z okazji świąt państwowych lub wizyt okrętów obcych bander, organizowane są Dni Otwarte i wtedy, przy odrobinie szczęścia, schrony można zobaczyć z bliska. Natomiast wnętrza pełnią funkcje techniczne lub magazynowe i w związku z tym pozostają praktycznie zupełnie niedostępne, podobnie jak platformy stanowisk armat przeciwlotniczych na ich stropach.

Co prawda autorowi udało się kilka lat temu zobaczyć jeden z obiektów „od środka", jednak bez możliwości wejścia do bocznych pomieszczeń, a więc obserwacje te były bardzo ogólne. Wszystkie powyższe uwarunkowania i ograniczenia powodują, że budowle są w literaturze przedmiotu traktowane marginalnie, a opracowania prezentują co najwyżej ich fotografie. Podobny problem występuje z dostępem do materiałów archiwalnych.

Na szczęście nieocenioną pomoc w tym zakresie okazał autorowi badacz fortyfikacji Andrzej Ditrich,

Wieża A – widok od strony kanału portowego. Po wojnie na platformie stanowiska artyleryjskiego zbudowano, obecnie nieczynny, punkt obserwacyjno-meldunkowy.

fot. Marcin Dudek, Ramom Głazik, Mariusz Kardas

EŻE NICZE

Opublikowana w numerze 6 Odkrywcy z 2016 roku, pierwsza część artykułu opisywała niektóre uwarunkowania i założenia taktyczne do budowy schronów przeciwlotniczych na terenie portu gdyńskiego.

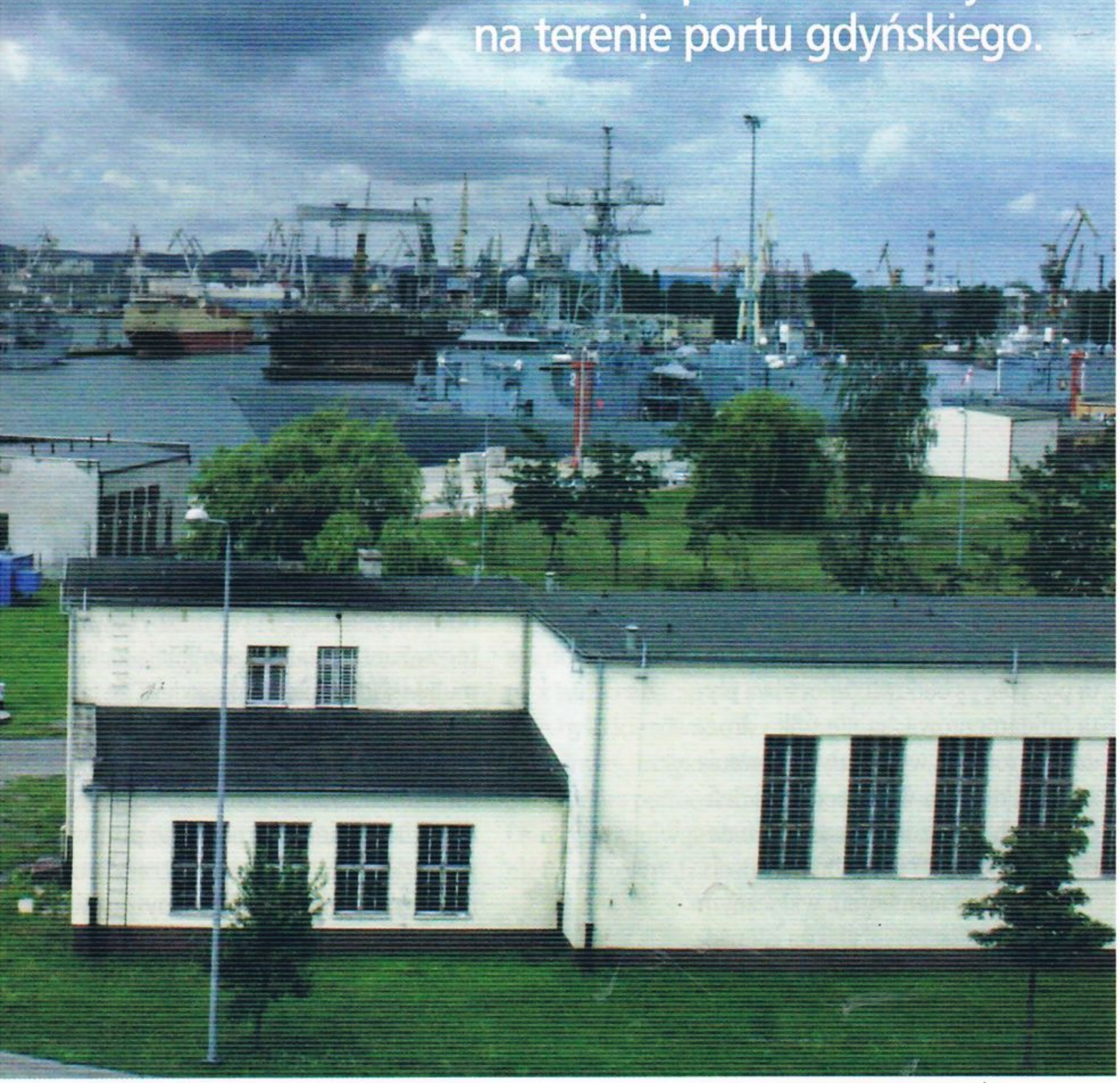

który również wykonał rysunek, przedstawiający w nieco uproszczonym przekroju, jeden z omawianych schronów.

Przekrój ma również i tę zaletę, że widać na nim i te szczegóły, które normalnie są niewidoczne, na przekład fundament.

Wymiary i unikalny charakter

Schrony zbudowano w latach 1940– 1941, w ramach przygotowań zaplecza do wojny z Rosją Radziecką, w której Gdynia nabierała pierwszorzędne znaczenie jako główna baza floty na czas realizacji Planu Barbarossa.

Wszystkie 3 schrony wydają się być identyczne. Drobne różnice w wyglądzie zewnętrznym wynikają z późniejszych modyfikacji. Z bliska sprawiają monumentalne wrażenie, choć są jedynie średniej wielkości, ale wynika to raczej z tego, że stoją na otwartej przestrzeni lub sąsiadują z niską, parterową zabudową. Orientacyjne (zmierzone w uproszczony sposób przy pomocy kroków) wymiary kwadratowej podstawy wynoszą 13,5 x 13,5 metrów, a wysokość całkowita wynosi około 15 metrów. Wiadomo również, że ściany zewnętrzne mają 1,5 metra, a strop około 2,5 metra grubości. Nie są to więc wymiary specjalnie imponujące, zwłaszcza w porównaniu do analogicznych wymiarów schronów przeciwlotniczych, budowanych pod koniec wojny również w Gdyni. Na początku wojny, gdy masa powszechnie stosowanych bomb lotniczych nie przewyższała 500 kilogramów, grubości te były zupełnie wystarczające.

Nie to jednak decyduje o ich wartości jako unikalnych nie tylko w skali Polski zabytków budownictwa schronowego. Tego typu obiekty, łączące funkcje schronu przeciwlotniczego ze stanowiskami artylerii przeciwlotniczej w formie wieży, wznoszono jedynie w najważniejszych punktach Niemiec. A poza ich przedwojennymi granicami można je spotkać tylko sporadycznie.

Przypuszczalnie jedynym miejscem, gdzie zostały wzniesione obiekty bliźniaczego typu, jest port Bergen w Norwegii.

Pod względem konstrukcyjnym zostały zaprojektowane bardzo starannie i racjonalnie. Posiadają nie tylko zróżnicowaną grubość ścian zewnętrznych i stropów, ale również korzystne z punktu widzenia odporności jego ukształtowanie w formie czterospadowego dachu. Jedyną poziomą płaszczyzną na stropie jest umieszczone centralnie stanowisko armaty przeciwlotniczej, zajmujące jedynie 1/3 jego powierzchni. Pozostałą część stanowią skośne płaszczyzny, sprzyjające rykoszetom trafiających weń bomb.

Widok z wieży A na port i nadbrzeże, przy którym do 1945 roku cumował Wilhelm Gustloff, a obecnie jest miejscem postoju fregat.

Solidne fundamenty

Szczególną uwagę warto zwrócić właśnie na sposób fundamentowania schronu.

Aby ustawić na mało stabilnym wówczas, piaszczysto-mulistym, >>>

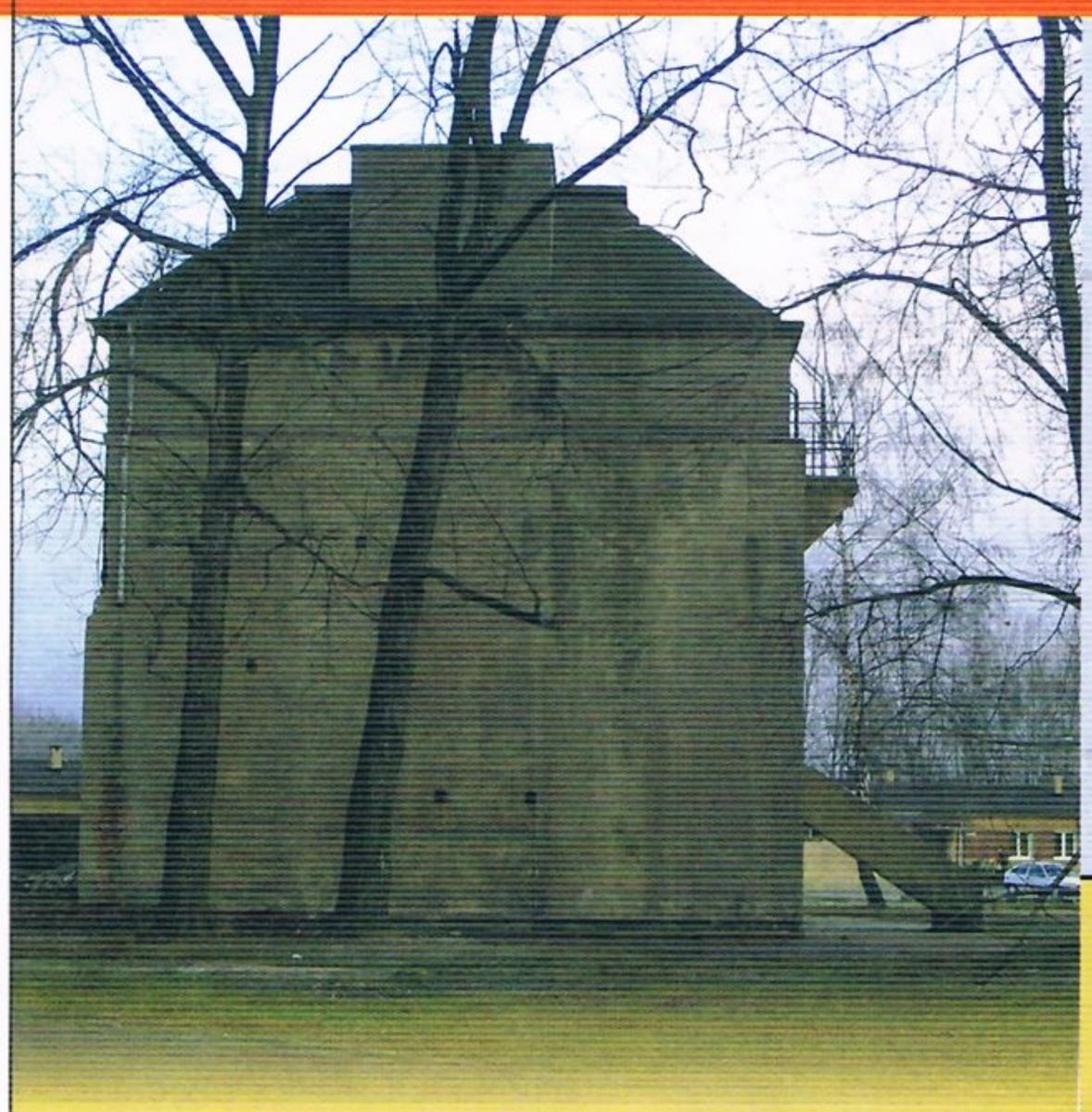

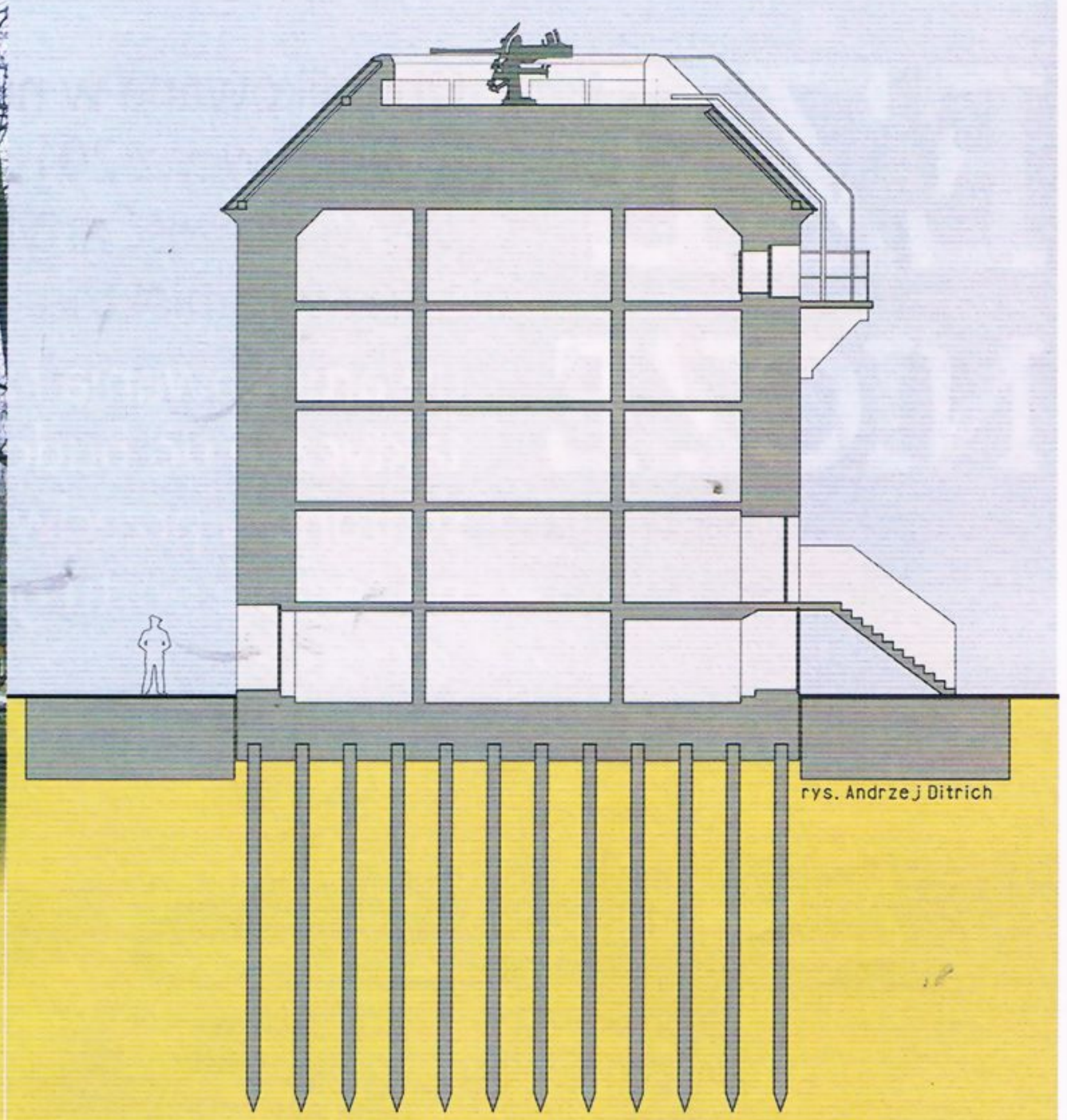

rys. Andrzej Ditrich

Wieża B w widoku (fotografia) i w przekroju (rysunek). Na platformie stanowiska sylwetka armaty 37 mm Flak M 42, Jednak jakiego typu uzbrojenie było tam zamontowane, nie została do końca wyjaśniona.

>>> podmokłym gruncie masywną, wysoką na kilkanaście metrów żelbetową budowlę, należało wykonać odpowiedni fundament. Najprawdopodobniej, co znajduje również potwierdzenie w archiwaliach i pokazane zostało na przekroju, jest to fundament palowy.

Płyta fundamentowa opiera się na wbitych gęsto, w odstępie około 1 metra, drewnianych palach, których końce przechodzą przez niestabilne warstwy gruntu i opierają się o bardziej stabilne, żwirowe podłoże. Przemawia za tym również fakt, że drewniane pale przy wysokim poziomie wód gruntowych (w warunkach wysokiej wilgotności i bez dostępu powietrza), charakteryzują się znakomitą, sięgającą setek lat trwałością. Nie bez znaczenia były zapewne: stosunkowo prosta, niewymagająca wykonywania obszernych i głębokich wykopów, technologia, dostępność materiału i stosunkowo niskie koszty takiego rozwiązania, zwłaszcza w porównaniu z innymi rodzajami fundamentów stosowanych na tego typu podłożach. Zarówno wykonane z zastosowaniem stalowych ścianek szczelnych (Larsen i podobne profile) fundamenty skrzyniowe, jak i nadwymiarowa, a więc wysunięta poza obrys budowli, żelbetowa płyta fundamentowa, są nie tylko droższe, ale również wymagały stosowania zamiast drewna większej ilości deficytowych w warunkach wojny materiałów – betonu i stali zbrojeniowej.

Kolejnym elementem widocznym na przekroju jest wyglądająca jak nadwymiarowy fundament betonowa płyta detonacyjna o szerokości 5 i grubości 2 metrów. Faktycznie jest to odrębny element, oddzielony od właściwego schronu szczeliną dylatacyjną. Nie jest więc częścią fundamentu. Płyta, wykonana w celu obniżenia kosztów, najczęściej z gorszej jakości betonu, zwykle z dodatkiem kamieni polnych jako kruszywa, miała osłabić energię kinetyczną i wywołać detonację bomb, które upadły bezpośrednio obok schronu i uniemożliwić ich wnikanie pod fundament budowli. Detonacja bomb lotniczych z zapalnikiem ze zwłoką, które mogłyby wniknąć pod fundament są groźniejsze od tych trafiających w strop i ściany boczne, bowiem warstwa nawet niezbyt zwartego gruntu działa uszczelniająco, kumuluje siłę eksplozji i powoduje, że fala uderzeniowa skupia się na najsłabszym elemencie, którym jest zwykle płyta fundamentowa. Może to powodować nie tylko zwielokrotniony, w porównaniu do eksplozji na zewnątrz schronu wstrząs, niezwykle groźny zarówno dla przebywających w nim ludzi, jak i wyposażenia technicznego. W skrajnym przypadku, eksplozja bomby większego kalibru mogłaby spowodować jego przechylenie, a nawet całkowite zniszczenie.

Kondygnacje

Schron ma pięć kondygnacji, przy czym najniższa jest zagłębiona nieco poniżej poziomu gruntu. Jak wynika z przekroju, wszystkie kondygnacje mają taką samą wysokość wynoszącą 2,2 metrów. Stropy wewnętrzne mają grubość 30 centymetrów i są wykonane z żelazobetonu. Z tego materiału wykonano również centralnie umieszczony szyb komunikacyjny z klatką schodową

rys. Andrzej Ditrich, fot. Marcin Dudek, Ramom Głazik, Mariusz Kardas

www.odkrywca.pl

i prawdopodobnie ściany działowe na poszczególnych kondygnacjach, dzielące je na mniejsze pomieszczenia. Mają one podobną grubość jak stropy. Jednak część nich może być również wymurowana z cegły.

Najniższa kondygnacja (przyziemie) obiektu jest przeznaczona na wyposażenie techniczne. Było ono stosunkowo bogate i obejmowało liczne maszyny i urządzenia. Bowiem od tego wyposażenia i jego sprawności zależały: nie tylko znośne warunki dla zmuszonych do przebywania w schronie podczas trwającego niekiedy wiele godzin alarmu, ale przede wszystkim bezpieczeństwo, a nawet życie kilkuset zamkniętych wewnątrz ludzi.

Opis wyposażenia tej kondygnacji, z powodu wymienionych na wstępie uwarunkowań, będzie miał jedynie charakter ogólny, oparty na nielicznych dostępnych relacjach i fotografiach, oraz zasadach funkcjonowania podobnych obiektów. Wymienienie wszystkich instalacji nie ma na celu zanudzanie czytelnika, a jedynie pokazanie, choćby w zarysie skali problemu, jaki istnieje przy projektowaniu i eksploatacji schronów przeciwlotniczych. Te rozbudowane instalacje mogły również stanowić w jakimś stopniu zaplecze techniczne dla cumujących przy nabrzeżu statków – koszar.

Standardowo powinna się tu znajdować maszynownia dla agregatów prądotwórczych, przy czym w tej wielkości schronie znajdowały się tam co najmniej dwa agregaty – główny i zapasowy. Energia elektryczna była niezbędna nie tylko do oświetlenia i ogrzewania, ale przede wszystkim dla napędu urządzeń wentylacyjnych. Znajdowały się one najczęściej w oddzielnym pomieszczeniu noszącym nazwę centrali wentylacyjnej. Nie jest wykluczone, że agregaty prądotwórcze służyły również do awaryjnego zasilania statków – koszar.

Wyposażenie wentylacyjne było najbardziej rozbudowane spośród wszystkich instalacji, bowiem od jego prawidłowego funkcjonowania w pierwszej kolejności zależało bezpieczeństwo ludzi. Obejmowało wentylatory, nagrzewnice i zawory sterujące, połączone w jeden system z włączanymi w razie potrzeby filtrami przeciwpyłowymi i przeciwgazowymi. W skład wentylacji wchodził również system przewodów, blaszanych rur rozprowadzających świeże powietrze do poszczególnych pomieszczeń w określonej, nieprzypadkowej, kolejności tak, aby najpierw trafiało do pomieszczeń zajmowanych przez ludzi. A dopiero z nich częściowo zużyte powietrze było kierowane w stronę klatki schodowej, magazynów, aby na końcu poprzez pomieszczenia sanitarne i śluzy przeciwgazowe, zostać usunięte na zewnątrz schronu.

Kolejne pomieszczenie było przeznaczone dla urządzeń zaopatrzenia w wodę. Prawdopodobnie więc znajdowała się tam studnia wiercona z pompą, filtrami i zbiornikami, przy czym woda była potrzebna zarówno do celów technicznych (chłodzenia agregatów), ale również sanitarnych (kanalizacja spławna). Prawdopodobnie więc w schronie musiał się znajdować zbiornik na fekalia. Właśnie z usuwaniem ścieków była prawdopodobnie związana instalacja sprężonego powietrza, napełniana przez duży kompresor, który zachował się w zupełnie dobrym stanie, w co najmniej jednym schronie do dziś. Sprężone powietrze standardowo wykorzystywano między innymi do usuwania ścieków, do zbiorników znajdujących się na zewnątrz schronu.

Z pośród innych instalacji należy wymienić rozdzielnię elektryczną, a być może nawet stację transformatorową. Bardzo ważne, a jednocześnie wrażliwe urządzenia elektryczne, często umieszczano w większych, zapewniających względne bezpieczeństwo schronach.

Właściwe pomieszczenia schronowe rozmieszczono na 4 pozostałych nadziemnych kondygnacjach. Główne wejście do schronu, zamykane dwudzielnymi drzwiami pancernymi o wymiarach 200x80 centymetrów i grubości 3 centymetrów znajduje się na 1. nadziemnej kondygnacji i prowadzą do niego zewnętrzne, betonowe schody. Przez niewielki przedsionek, będący jednocześnie śluzą gazową wchodzi się na >>>

FOTOGRAFIA LOTNICZA WYKONANA 10 PAŹDZIERNIKA 1943 ROKU, DZIEŃ PO NALOCIE SAMOLOTÓW 8. ARMII POWIETRZNEJ STANÓW ZJEDNOCZONYCH, POKAZUJĄCA REJON WEJŚCIA DO PORTU WEWNĘTRZNEGO.
A, B, C – WIEŻE PRZECIWLOTNICZE
WG – WILHELM GUSTLOFF
H – HANSA

Zeskanuj kod i zobacz na Mapach Google współczesny widok portu wojennego w Gdyni.

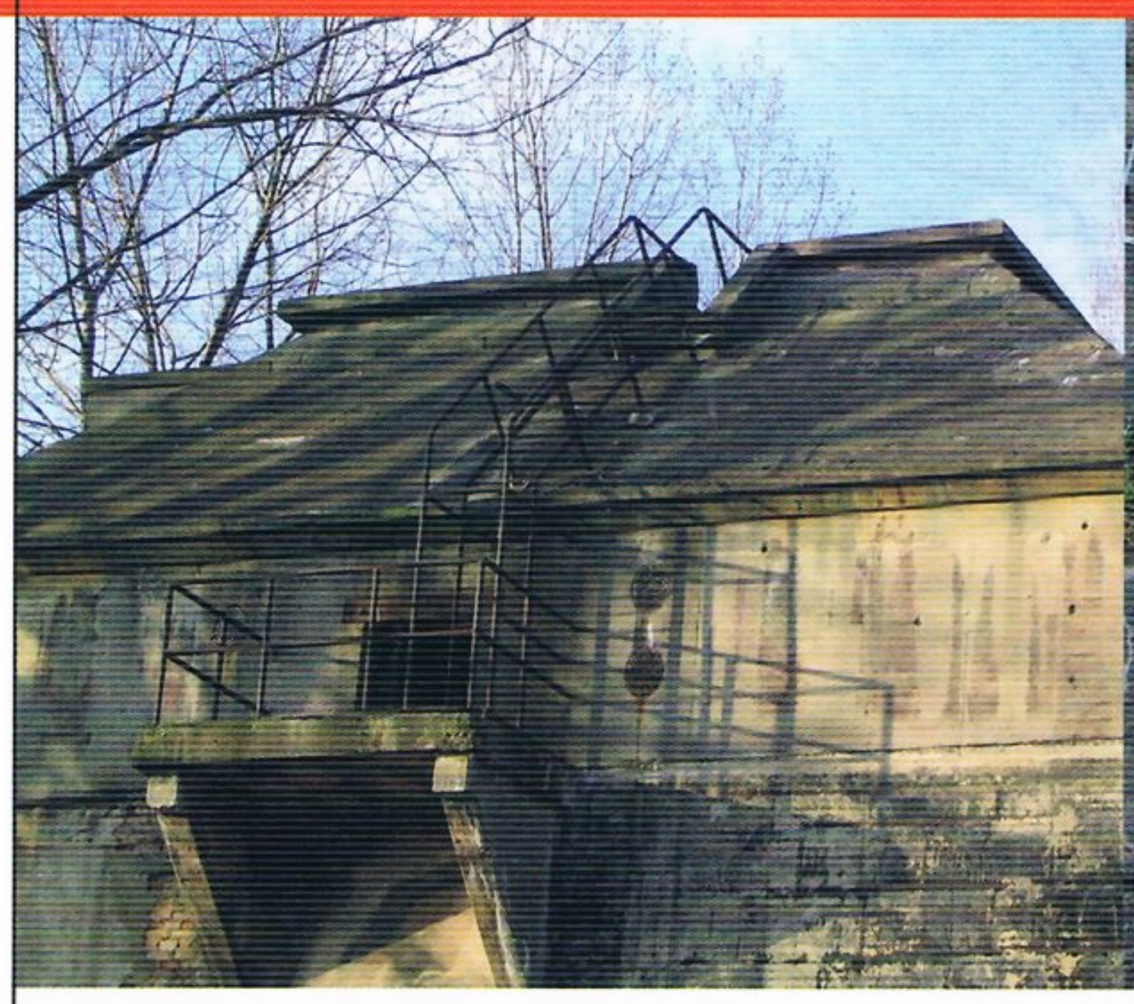

Podest i drabinka prowadząca na platformę stanowiska w widoku od dołu – wieża B, i w widoku z góry – wieża A. Widać również fragment platformy stanowiska i niemieckie, dwudzielne drzwi pancerne, przeniesione z innego obiektu i zamontowane na dobudowanym po wojnie punkcie obserwacyjnym.

>>> pierwszy podest klatki schodowej. Na tym poziomie powinny znajdować się również pomieszczenia służbowe – wartownia, centrala łączności i prawdopodobnie izba opatrunkowa, standardowo umieszczana w dużych obiektach schronowych oraz sanitariaty. Pozostałą część zajmuje pomieszczenie schronowe lub magazyn. Schodami prowadzącymi w dół możemy zejść na kondygnację techniczną.

Prowadzące w górę biegi schodów prowadzą do pomieszczeń schronowych ogólnego użytku, do których wejścia znajdują się na kolejnych podestach. Natomiast na ostatnim podeście znajduje się również wyjście zabezpieczone przedsionkiem – śluzą i drzwiami pancernymi, prowadzące na niewielki podest – balkon. A stąd wykonaną ze stalowych rur drabiną na strop, do stanowiska armaty przeciwlotniczej. Ze względów bezpieczeństwa unikano bowiem jakichkolwiek większych otworów – szybów komunikacyjnych lub wentylacyjnych, łączących strop z wnętrzem obiektu, zwłaszcza w rejonie klatki schodowej. Wyprowadzenie na zewnątrz komunikacji, komplikowało funkcjonowanie stanowiska obrony przeciwlotniczej, ale jednocześnie wykluczało możliwość, że bomba lotnicza nawet niewielkiego kalibru dostanie się do wnętrza schronu.

Dla około 500 osób

Interesujące może być również, choćby szacunkowe określenie, dla jakiej liczby ludzi są przeznaczone opisane schrony. Pobieżne obliczenia przeprowadzone przez autora określają powierzchnię użytkową 4 nadziemnych kondygnacji na 320 metrów kwadratowych. Uwzględniając przedwojenne polskie normy, przewidujące dla każdego człowieka w schronie powierzchnię 0,6 metra, dają liczbę 530 osób. Normy niemieckie nie są autorowi znane, ale można przyjąć, że były podobne do polskich. Uwzględniając personel niezbędny do obsługi i artylerzystów, daje to szacunkową liczbę co najmniej 500 ludzi mogących znaleźć schronienie w każdym z 3 obiektów.

Stanowisko artyleryjskie

Opis schronów nie byłby pełny bez omówienia stanowiska artylerii przeciwlotniczej znajdującego się na stropie. Ma ono kształt kwadratu o boku 6 metrów, co umożliwiało zamontowanie armaty przeciwlotniczej kalibru zarówno 20, jak i 37 milimetrów. Stanowisko posiada również skierowany w stroną kanału portowego prostokątny wykusz, będący stanowiskiem obserwacyjnym i jednocześnie miejscem, umożliwiającym wciąganie za pomocą obrotowego żurawika ciężkich elementów i amunicji. Na stanowisku była ona składowana w specjalnych wnękach, wykonanych w betonowym parapecie – przedpiersiu okalającym stanowisko.

Nie udało się natomiast ustalić, czy i kiedy stanowiska były obsadzone. Wśród nielicznych fotografii z okresu wojny, nie ma takiej, która pokazuje armatę zamontowaną na stanowisku. Być może ustawienie

Najlepiej zachowany fragment. oryginalnego malowania maskującego pod balkonem – podestem na wieży A.

fot. Marcin Dudek, Ramom Głazik, Mariusz Kardas

statków koszar ograniczyło na tyle pole ostrzału i obserwacji (platformy znajdowały się na poziomie pokładów głównych, a poniżej nadbudówek i kominów), że zrezygnowano z ich wykorzystania, przenosząc stanowiska w bardziej dogodne miejsca.

Maskowanie schronu

Ostatnią kwestią wymagającą omówienia jest sprawa maskowania. W pierwszym rzędzie polegało ona na upodobnieniu schronów do zabudowy portowej, koszarowej czy cywilnej istniejącej w innych częściach portu, zarówno poprzez kształt, jak i odpowiedni dobór elementów wykończenia. Służył temu zamontowany na skośnych powierzchniach stropu klasyczny, ułożony na konstrukcji z krokwi, łat i belek dach z ceramicznej dachówki w kolorze ciemnoczerwonym.

O tym, że jest to w pewnym stopniu atrapa, świadczy choćby fakt, że obecnie istnieje tylko na jednym obiekcie, a i to w formie szczątkowej. A mimo to schrony są nadal eksploatowane, i nikt nie myśli o pokryciu (choćby doraźnym) odsłoniętych połaci stropodachu blachą, folią czy papą. A więc zapewne dach nie przecieka i takie działania uznano za zbędne. Efekt maskowania potęgowały typowe blaszane rynny, okapy i rury odprowadzające deszczówkę.

Natomiast ściany boczne zostały pomalowane w barwy maskujące.

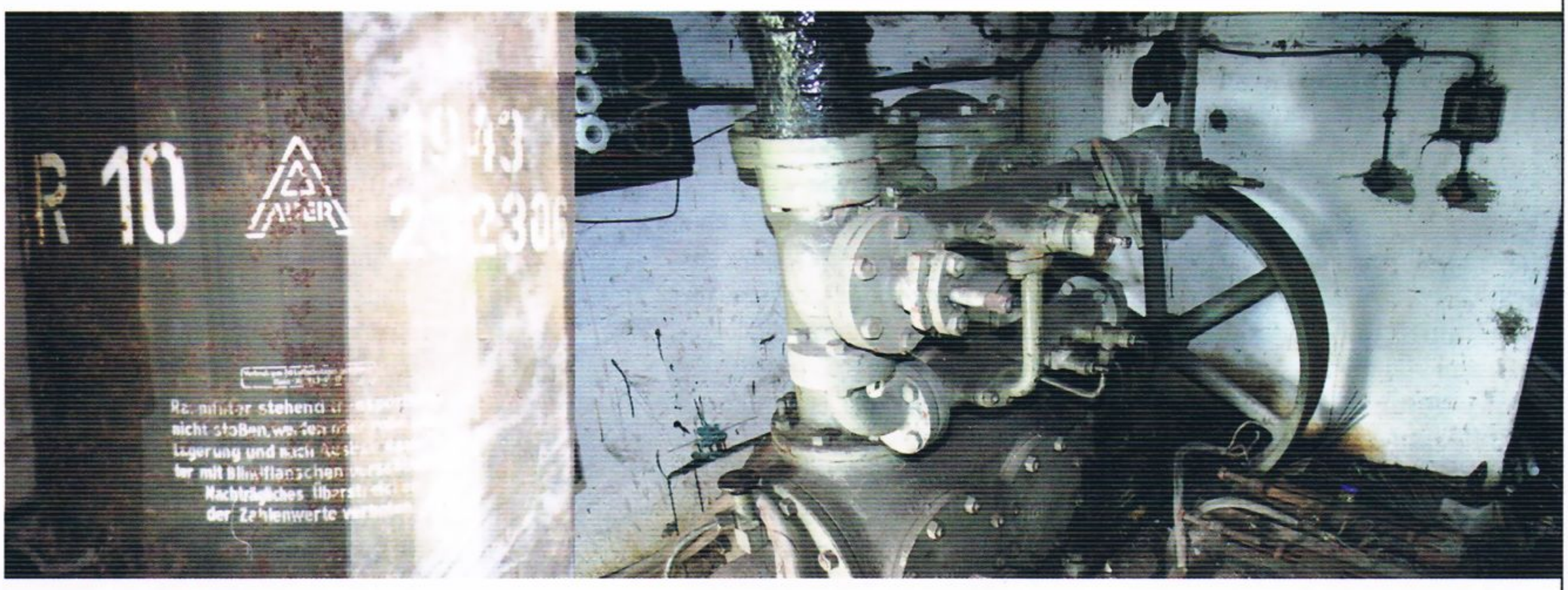

Wyposażenie techniczne zamontowane na kondygnacji technicznej jednego ze schronów: duży, beczkowy filtr przeciwgazowy typu R10, wyprodukowany w firmie Auer w 1943 roku i 2-cylindrowy kompresor, pozbawiony już służącego do jego napędu silnika elektrycznego.

Bardzo ciekawy, czterokolorowy kamuflaż miał skomplikowany wzór, który składał się z falistych i zawijających się, niezbyt szerokich (około 1/2 metra) pasów w kolorze, na przemian brązowym i brunatnym, namalowanych na podkładzie w kolorze szarego piasku. Warstwę wierzchnią stanowią podobnej szerokości i kształtu, ale przecinające się z brązowymi, pasy, namalowane mocno rozcieńczoną farbą w kolorze białym. W efekcie daje to dodatkowe odcienie i barwy, na przykład fiolet. Ten efekt widać na załączonej fotografii. Widać na niej również dużą, namalowaną białą farbą literę A, która ułatwiała identyfikację konkretnego schronu. Była ona powtórzona na każdej ze ścian bocznych, w połowie ich wysokości. Analogiczne oznaczenia, kolejnymi literami B i C, posiadały również pozostałe schrony.

Stan dzisiejszy

Schrony – wieże przeciwlotnicze, zważywszy na zawarte powyżej informacje, są bez wątpienia zabytkami architektury wojskowej, które powinny podlegać ochronie prawnej. Z jednej strony są dobrze chronione, bowiem znajdują się na terenie zamkniętym. Zapewne tylko dlatego w schronach zachowało się jeszcze oryginalne wyposażenie. Z drugiej strony użytkownik, czyli Marynarka Wojenna powinna dbać o powierzone jej opiece państwowe mienie, które eksploatuje jak zwykłe obiekty, ograniczając się do wnętrz kondygnacji nadziemnych. Dolne, zagłębione, z powodu okresowego zalewania przez wodę, są opuszczone. Czy jest to spowodowane błędami konstrukcyjnymi, czy raczej brakiem konserwacji, trudno powiedzieć. Natomiast z zewnątrz rozsypujące się dachówki, urwane rynny czy rozpadająca się warstwa izolacyjna z cegły dziurawki w schronie B nie świadczy o zbyt starannej konserwacji, a raczej o jej kompletnym braku. Zapewne więc, za jakiś czas będzie potrzebny remont. Oby został przeprowadzony zgodnie z zasadami sztuki konserwacji zabytków fortyfikacyjnych, a nie ogólnymi, wojskowymi, co spotkało nie tak dawno Wartownię Nr 4 na Westerplatte. Oczywiście jeśli dotrwają, bowiem od pewnego czasu można spotkać w internecie informacje o planach wyburzenia kolejnego schronu na terenie portu. <

Marcin Dudek
Technolog i nauczyciel, redaktor i kierownik działu badań terenowych Infort. Z zamiłowania badacz fortyfikacji. Od 30 lat zajmuje się badaniami i rekonstrukcją schronów żelbetowych, ich adaptacją i udostępnianiem do celów turystycznych. Autor kilku książek i wielu artykułów, przewodników i map popularyzujących fortyfikacje z okresu II wojny światowej.

www.odkrywca.pl

ZAWODOWCY

RADOSŁAW BICZAK

EKSPLORATOR, POSZUKIWACZ, PODRÓŻNIK, AUTOR KSIĄŻEK. KOPANIE ROWÓW MELIORACYJNYCH I ZBIERANIE ZŁOMU NIE SĄ MU OBCE. KIM BĘDZIE JUTRO NIE WIE NIKT, NAWET SAM ZAINTERESOWANY.

Archeolodzy i poszukiwacze. Sacrum i profanum. Czysty podział jak w westernie – dobro w opozycji do zła. Właściwie stan stały trwający od lat. Pamiętam, jak w okolicach początków XXI wieku przeprowadzałem rozmowę dla „Odkrywcy" z Panem Markiem Rubnikowiczem, archeologiem, który wówczas pełnił funkcję zastępcy Generalnego Konserwatora Zabytków. Na wstępie dostałem prawym prostym. Na moje pytanie, dlaczego archeolodzy nie chcą współpracować z poszukiwaczami amatorami, usłyszałem, że to logiczne. Archeolodzy są zawodowcami, a definicja słowa amator również jest jasna: „amator, to osoba, która zajmuje się czymś bez fachowego przygotowania", wszak termin: amatorszczyzna jest pejoratywny. Trafił w punkt, chociaż miało to charakter demagogiczny. Dalsza rozmowa potoczyła się zupełnie rzeczowo i na panu Marku psów wieszać nie zamierzam, chociaż czytałem, że na prowadzoną przez niego placówkę Muzeum Okręgowego w Toruniu posypały się jakieś gromy, bo zwolnił kogoś bezpodstawnie, bo jakiś mobbing ktoś wynalazł. Nie moja sprawa, wszak to zawodowiec.

Muszę przyznać, że pan Marek lata temu mnie zainspirował. Wykluczył z mojego języka słowo: „amator" oraz natchnął, żeby zastanowić się nad słowem: „zawodowiec". Do dzisiaj wszyscy poszukiwacze potykają się o słowa: „archeolog tak powiedział", to „zawodowy archeolog" etc. To właściwie wystarczy, żeby uciąć wszelki dyskurs. Archeolog wie lepiej – jest zawodowcem. Tylko czy na pewno? Duża część mistrzów archeologii, którzy produkują swoje opinie negujące i potępiające poszukiwaczy, jest magistrami archeologii i uzurpuje sobie monopol wiedzy. Fakty są takie, że jeśli ktoś skończył studia archeologiczne, to owszem z wykształcenia jest archeologiem, ale z zawodu… Z zawodu jest tym, na czym właśnie zarabia. Jeżeli zdałem kurs na prawo jazdy, to pozwala mi tytułować siebie zawodowym kierowcą? Nie. Jeżeli skończyłem studia archeologiczne, ale zarobek przynosi mi praca w fabryce kiełków spożywczych i aktorzenie w paradokumencie, czy mogę głosić, że jestem zawodowym archeologiem? Nie. Zawodowym archeologiem jest osoba, która wykłada na uniwersytecie i jeździ na wykopkowe praktyki ze studentami. Zawodowcem jest osoba, która ma swoją firmę i realizuje prace lub nadzory archeologiczne przy różnych inwestycjach. Cała reszta ma wykształcenie archeologiczne i powtarza to, co usłyszała na wykładach, dlatego w kwestii poszukiwań są dla mnie tak samo wiarygodni jak moja żona, która prawo jazdy posiada, ale od lat nie jeździła samochodem. Na szczęście ona nie wpada na pomysł, żeby w materii prowadzenia auta mnie pouczać. Mam kilku znajomych zawodowych (zwróćcie uwagę na brak cudzysłowu) archeologów, którzy rzeczywiście mają wkrętkę w to, co robią. Kilka razy z nimi współpracowałem, chociaż pieniądz płacą marny. Jednak oni nie są wrogami poszukiwaczy. Uczymy się od siebie nawzajem, a że przypadkowe znaleziska ocierające się o XIX czy XX wiek nie mają dla nich znaczenia i pozwalają poszukiwaczowi przygarnąć je do siebie, to świadczy o ich wiedzy i klasie.

Czas na meritum i wnioski końcowe. Zawodowi archeolodzy dostają pieniądze za swoją pracę. Jak chociażby zawodowcy ze Słupska, którzy później część tej kasy przekazywali pani z urzędu konserwatora. Fakt, trąciło to amatorstwem, bo moneta szła przelewem na konto pani, która prace zlecała i tutaj zawodowcy wtopili. Raptem 1 200 000 zł, niewielka kwota dla polskiej archeologii. Wiem. Teraz wielu archeologów dostanie piany i będzie krzyczeć, że to był odosobniony przypadek, wyjątek, że to, co piszę, jest generalizowaniem i wrzucaniem wszystkich archeologów do jednego worka. Poważnie? A co robią od wielu lat archeolodzy, nagłaśniając sprawę każdego poszukiwacza, który handlował, otarł się o stanowiska archeologiczne, został złapany na jakichś niecnych działaniach? Również stosują zasadę odpowiedzialności zbiorowej. Dlatego prośba do poszukiwaczy – sprawdzajcie archeologów, czy są zawodowcami i mówcie, że wy jesteście tylko hobbystami. .

www.odkrywca.pl

Odkryj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

Ziw Almog „13 Flotylla", opr. twarda, str. 196, wyd. Tetragon. Cena: 54,90 zł.

Pełen tytuł: „13 Flotylla. Komandosi izraelskiej marynarki wojennej na Morzu Czerwonym 1967–1973". 13 Flotylla (Szajetet) to elitarna jednostka komandosów morskich. Przez wiele lat samo istnienie tej jednostki nie było podawane do publicznej wiadomości – wiele z jej akcji bojowych wciąż jest utajniona. Admirał Ziw Almog – wieloletni żołnierz Flotylli, następnie jej dowódca, a w latach 1979–86 dowódca Marynarki Wojennej Izraela – opisał przełomowy okres jej istnienia: podniesienie się z zapaści prowadzącej do porażek w wojnie sześciodniowej (1967 r.), działania w wojnie na wyczerpanie (1968–70) i wojnie Jom Kippur (1973 r.).

Janusz Ledwoch „437 Panzerbefehlswagen Sd Kf", opr. miękka, str. 54, wyd. Militaria. Cena: 33,60 zł.

Kolejny zeszyt z serii „Tank Power". W okresie II wojny światowej niemieckie jednostki pancerne i zmotoryzowane zostały uzbrojone w specjalne wozy dowodzenia wyposażone w dodatkowe radiostacje przeznaczone do nawiązywania łączności ze sztabem jednostki wyższego szczebla. W niniejszym opracowaniu zostały omówione wozy dowodzenia Panzerbefehlswagen Sd Kfz 266,267 i 268 oraz Panzerbeobachtungswagen III Sd Kfz 143. Publikacja zawiera wiele danych technicznych, przekrojowych planów omawianych wozów, kolorowych plansz i czarno-białych, unikatowych fotografii.

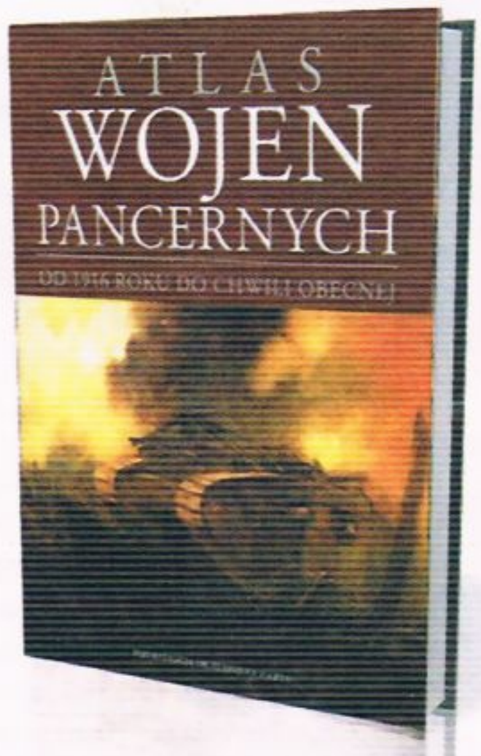

„Atlas wojen pancernych od 1916 roku do chwili obecnej", red. S. Hart, opr. twarda, str. 224, wyd. Vesper. Cena: 68 zł.

Pierwsze czołgi weszły do walki w 1917 roku i były wielkimi, opancerzonymi maszynami uzbrojonymi w śmiercionośne armaty, siejącymi panikę wśród broniących się niemieckich żołnierzy. Pokolenie później również Niemcy przyjęli tę nową technikę i wykorzystali ją z zabójczą skutecznością w czasie Blitzkriegu w 1940 roku, w wyniku czego znaleźli się o włos od wygrania drugiej wojny światowej. Książka ta analizuje rozwój i wykorzystanie czołgów od dnia wprowadzenia ich do akcji w pierwszej wojnie światowej do chwili obecnej.

„Bydgoszcz wojskowa", red. A.S. Kotowski, S. Sadowski, opr. miękka, str. 406, wyd. Muzeum Wojsk Lądowych. Cena: 21 zł.

Niniejsza publikacja składa się z dwóch części. W pierwszej z nich zawarto artykuły, dotyczące dziejów garnizonu bydgoskiego. Część druga natomiast opisuje jednostki, infrastrukturę, wpływ garnizonu na życie miasta, najważniejsze wydarzenia i biogramy postaci związanych z garnizonem. „Wojsko i czynniki militarne odgrywały w Bydgoszczy ważną rolę jeszcze w czasach przedlokacyjnych (…). Garnizon ten wywierał znaczący wpływ, między innymi na życie społeczne, gospodarkę, architekturę, kulturę miasta, ale przede wszystkim kształtował specyficzną społeczność wojskową, której głównym zadaniem było przygotowanie instytucji, jednostek i urządzeń wojskowych do realizacji zadań militarnych w ramach systemów obronnych Niemiec i Polski".

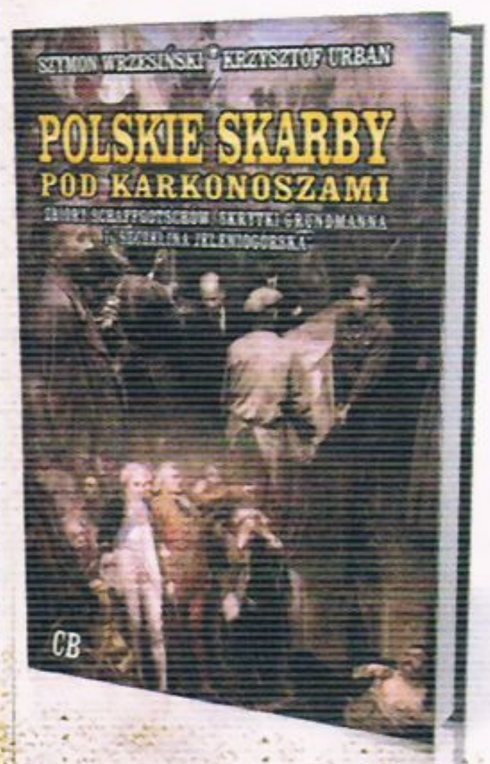

Szymon Wrzesiński, Krzysztof Urban „Polskie skarby pod Karkonoszami", opr. miękka, str. 236, wyd. Agencja Wydawnicza CB. Cena: 29,40 zł.

Autorzy ukazują w tej książce historię jednej z największych i zarazem najcenniejszych kolekcji w Europie. Do 1945 roku jej właścicielom – rodzinie von Schaffgotsch, udało się zgromadzić ponad 80 tysięcy woluminów, setki militariów, rzadkich medali, miedziorytów, stalorytów oraz szereg innych cymeliów i artefaktów. Wśród nich wiele było związanych z historią Polski. W publikacji przeczytamy także o skrytkach, które przygotował Gunther Grundmann w celu ukrycia skarbów z Berlina, Wrocławia, Legnicy i klasztoru w Lubiążu. Autorzy podjęli także temat „Szczeliny Jeleniogórskiej".

Przemysław Dymek „Poznańska 7. Grupa Artylerii 1929–1939", opr. twarda, str. 362, wyd. Napoleon V. Cena: 72,80 zł

Niniejsze opracowanie stanowi próbę opowiedzenia dziejów 7. Grupy Artylerii z siedzibą dowództwa w Poznaniu, działającej w latach 1929–1939 na obszarze Okręgu Korpusu Nr VII. W opracowaniu oparto się głównie na materiale archiwalnym zgromadzonym w CAAW WBH w Warszawie – zespole akt poświęconych 7. GA, który niestety nie jest imponujący i obejmuje jedynie pięć skromnych objętościowo jednostek archiwalnych z lat 1929–1939. Zawierają one rozkazy dzienne oraz materiały o charakterze szkoleniowym, takie jak programy i wytyczne szkolenia kadry oficerskiej i podoficerskiej, założenia i szkice ćwiczeń aplikacyjnych, rozkazy organizacyjne i wytyczne do szkoły ognia, rozkazy i sprawozdania ze strzelań bojowych podczas szkoły ognia i koncentracji dywizyjnych oraz sprawozdania z ćwiczeń pułkowych, koncentracji dywizyjnych i manewrów międzydywizyjnych.

Znajdź nas na
www.odk.pl

Przyjdź
na ul. Narutowicza 46 w Łodzi

Odkryj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

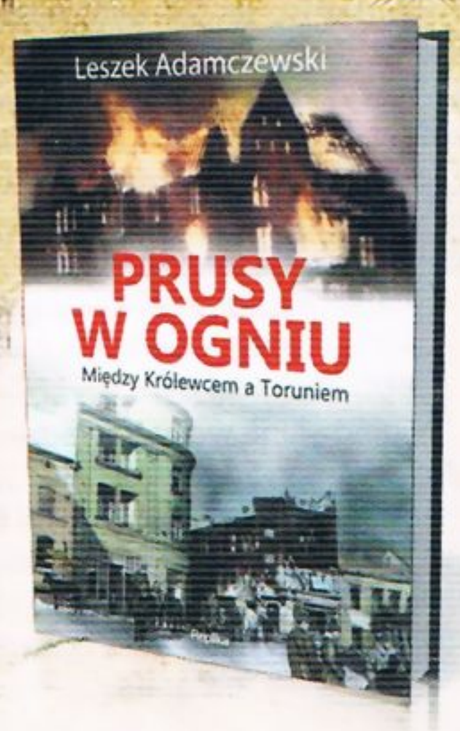

Leszek Adamczewski „Prusy w ogniu", opr. miękka, str. 396, wyd. Replika. Cena: 36,30 zł.
Wędrówka po Prusach, czyli kolebce zaborczego państwa niemieckiego, w ostatnich latach jego istnienia. W swoich reportażach historycznych Leszek Adamczewski przedstawia mało znane fakty z dziejów Prus Wschodnich, Wolnego Miasta Gdańska oraz utworzonej w 1939 roku prowincji Gdańsk-Prusy Zachodnie. Poznamy spóźnioną ofiarę „nocy długich noży" i człowieka, który nie rozmawiał z Adolfem Hitlerem, ale opisał „fakt" tak sugestywnie, że wprowadził w błąd rzesze historyków. Przeczytamy o głośnym zamachu na pociąg Hitlera, który okazał się wykolejeniem pociągu pospiesznego na linii Königsberg–Berlin i wiele innych historii.

Gabriel Chevallier „Strach", opr. twarda, str. 302, wyd. Katmar. Cena: 37,30 zł.
„Strach" jest wyjątkowym i przerażająco szczerym zapisem doświadczeń młodego człowieka zaplątanego w wojnę, która – jak większość wojen – jest konfliktem możnych i potężnych, pokarmem dla przemysłowców i narkotykiem dla ogarniętych patriotycznym (szowinistycznym?) obłędem mas. Wojna Chevalliera jest inna, mroczna, niechciana, bezsensowna. Wojna, na której nie ma bohaterów, jest tylko… strach. Jak pięknie powiedział John Berger, to książka, w której nie ma kartek, jest w niej tylko krzyk. Chyba nawet głośniejszy niż w „Na zachodzie bez zmian" Remarque'a czy w „Dymach wojny" Aramiljewa. I tym straszniejszy, że absolutnie nic, co napisał autor, nie przestało być dzisiaj aktualne.

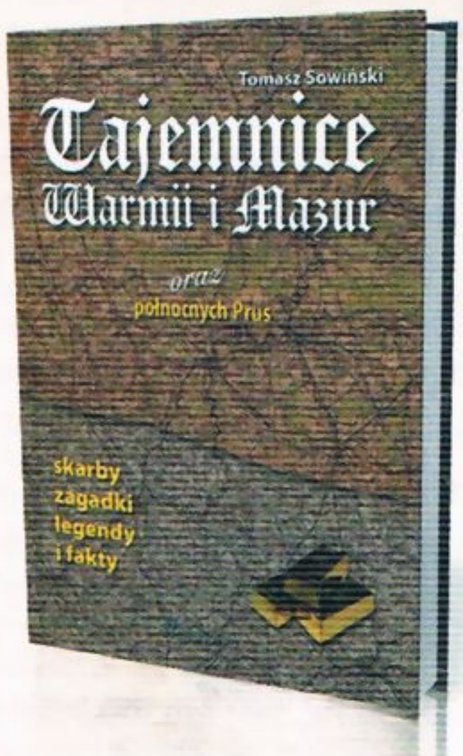

Tomasz Sowiński „Tajemnice Warmii i Mazur oraz północnych Prus", opr. miękka, str. 304, wyd. Regionalista. Cena: 29,40 zł.
Czwarta część serii „Tajemnice Warmii i Mazur". Autor zaprasza czytelników na kolejną wyprawę po tych terenach, tropami nieznanych wydarzeń i tajemniczych pozostałości. Od autora: „Dawne Prusy Wschodnie po II wojnie światowej Stalin sztucznie przedzielił na pół. Zatem dobrze poznawać ich historię i zagadki jako całości, bo szczególnie w północnej części miało miejsce wiele niesamowitych oraz zagadkowych zdarzeń. Ukryto tam jeszcze więcej dóbr i skarbów niż na naszej południowej stronie".

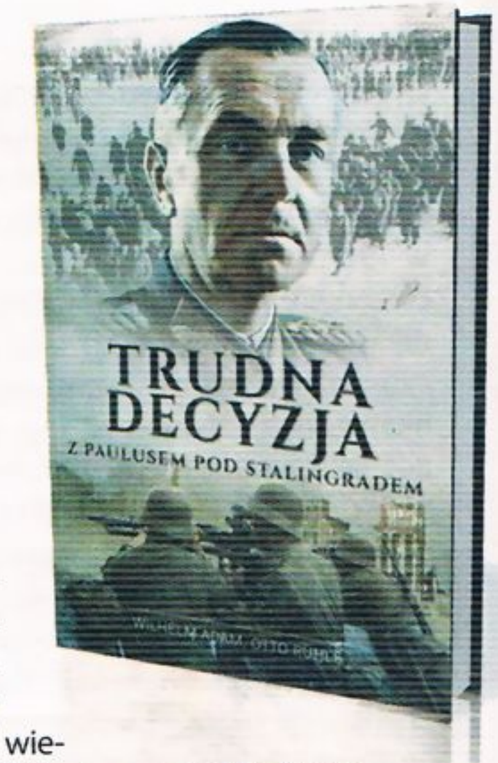

Wilhelm Adam, Otto Ruhle „Trudna decyzja", opr. miękka, str. 512, wyd. Vesper. Cena: 35 zł.
Wspomnienia gen. Wilhelma Adama pozwalają nam zajrzeć do wnętrza 6. Armii pod Stalingradem, przyglądać się jej działaniom. Umożliwiają także prześledzenie losów części niemieckich jeńców wojennych już po zakończeniu bitwy o Stalingrad, jednego z największych i najważniejszych starć drugiej wojny światowej. W każdym swoim fragmencie niosą więc informacje cenne, a czytelnikowi przybliżają skomplikowanie dziejów drugiej połowy XX wieku. Czytając książkę „Trudna decyzja. Z Paulusem pod Stalingradem", może nie zrozumiemy lepiej, dlaczego one się wydarzyły, ale na pewno więcej będziemy wiedzieć o tym, co się wydarzyło.

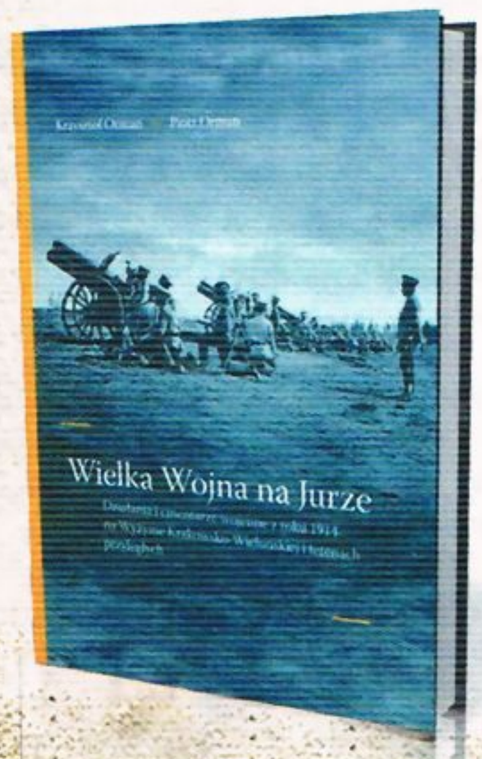

Krzysztof Orman, Piotr Orman „Wielka wojna na Jurze", opr. miękka, str. 781, wyd. Libron. Cena: 56 zł.
Wyżyna Krakowsko-Wieluńska (potocznie zwana Jurą) stała się areną zaciętych walk między wojskami rosyjskimi z jednej, a niemieckimi i austro-węgierskimi z drugiej strony. Wielka Wojna na Jurze poświęcona jest genezie, przebiegowi i rezultatom tych zmagań, a także poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie, dlaczego wydarzenia te – mimo że odcisnęły swe piętno na całym regionie, a także wywarły wpływ na dalsze, strategiczne decyzje walczących stron – stosunkowo szybko popadły w prawie całkowite zapomnienie. Podobna sytuacja dotyczy jurajskich cmentarzy i kwater wojennych, które jako materialne pamiątki toczonych tutaj walk są niewątpliwie warte bliższego poznania.

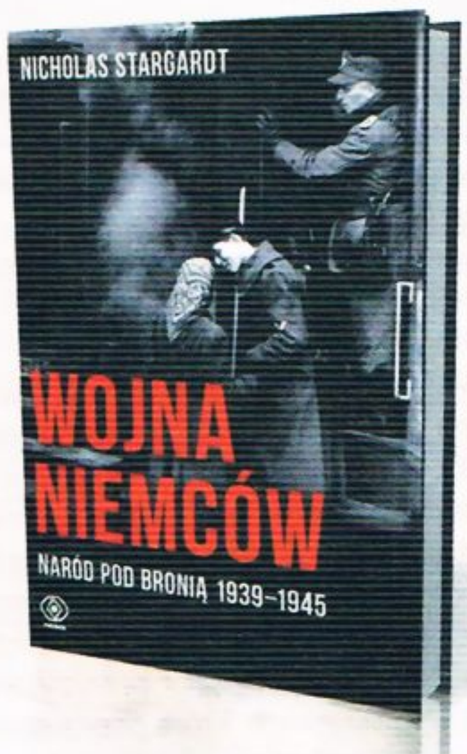

Nicholas Stargardt „Wojna Niemców. Naród pod bronią 1939–1945", opr. twarda, str. 856, wyd. Rebis. Cena: 58,80 zł.
Wybuch wojny w 1939 roku naród niemiecki przyjął z głęboką niechęcią, lecz bez jego zaangażowania nie byłoby możliwe jej kontynuowanie przez sześć następnych lat. A zatem jaka była ta wojna dla Niemców? Jak jej zmienne koleje wpływały na zmianę ich opinii i oczekiwań? I kiedy po raz pierwszy Niemcy zdali sobie, że prowadzą wojnę ludobójczą? „Wojna Niemców" to próba wejrzenia w niemieckie doświadczenie drugiej wojny światowej. Ta mistrzowsko napisana historia, przedstawiona z punktu widzenia tych, którzy wtedy żyli – żołnierzy, nauczycieli i gospodyń domowych, nazistów, chrześcijan i Żydów – ukazuje w nowym, niepokojącym świetle przekonania, nadzieje oraz obawy ludzi, którzy rozpętali i prowadzili tę brutalną wojnę.

Książki można zamawiać na stronie Księgarni www.odk.pl, telefonicznie 42 631 10 97, 42 630 71 41 (pon.-pt. godz. 10–18) lub e-mailem na adres: zamowienia@odk.pl

RUTUS
DETEKTORY METALI

Z nami się odnajdziesz

Alter71

- Płynne przestrajanie częstotliwości (4,4 - 18,4 kHz)
- 8 szybkości reakcji
- Nowatorskie przedstawienie identyfikacji obiektu
- Całkowicie automatyczne strojenie do gruntu
- Maskowanie niepożądanych sygnałów
- Praca statyczna, dynamiczna i jednoczesna
- Pin-point
- 7 programów fabrycznych
- Możliwość tworzenia własnych dźwięków
- Lekka, rewelacyjnie wyważona konstrukcja
- Duży, czytelny wyświetlacz graficzny
- Wbudowany cyfrowy nadajnik audio
- Duże zasięgi

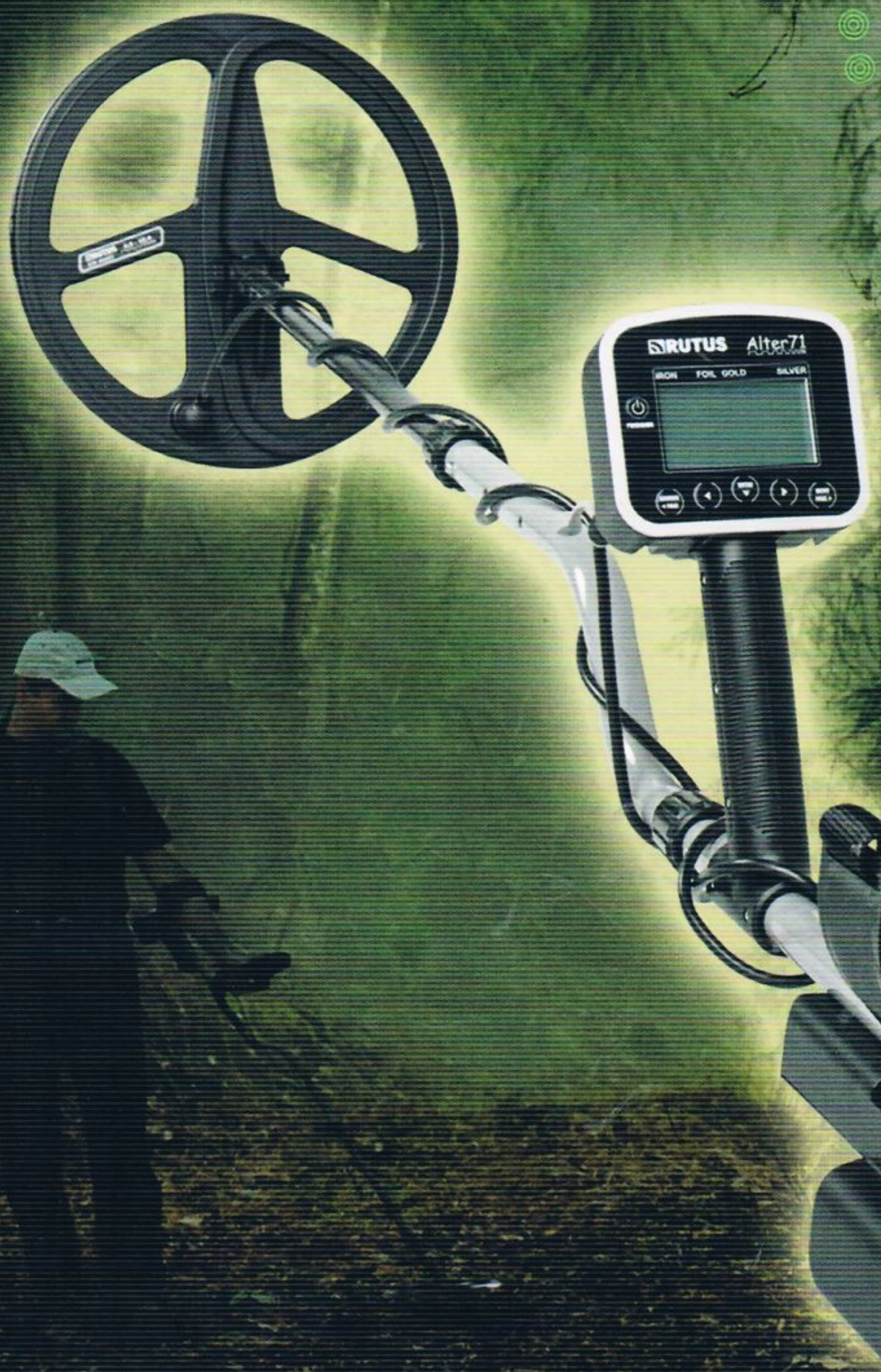

RUTUS
www.rutus.com.pl
tel. 58 679 33 14
601 284 371

Odkryj nowe możliwości

NOWA SERIA MODELI

WRZESIEŃ 1939

JUŻ W SPRZEDAŻY!

Z OKAZJI 75 ROCZNICY WYBUCHU II WOJNY ŚWIATOWEJ WSPANIAŁA KOLEKCJA MODELI I FIGUREK WOJSKOWYCH

www.wrzesien1939.pl